



LEO LIPSKI

Niespokojni


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

LEO LIPSKI

Niespokojni

*Prawie wszystkie prototypy osób, występujących
w tej książce, zginęły.*

Typy — nie istnieją.

Może to i lepiej.

Kob 3, 5

*Wiem, że wielu ludzi powie,
iż książka ta jest bezużyteczna,
a będą to ci, o których Demetriusz
rzekł, że nie więcej zważa na wiatry
wywołujące w ich ustach słowa niż
na wiatry wychodzące tyłem...*

Leonardo

ŚW. PAWEŁ

Czarna burza krąży jak jastrząb nad miastem; uderza skrzydłami o domy, o niebo. Niech roznieście to wszystko; mnie też.

Burza

Mój współlokator i jego gość grają w karty. Ludzie nauczyli się zabijać swój czas, to znaczy zabijać życie. I zabijają go na wiele sprytnych sposobów.

Czas

Męczą się, pracując z wywieszonym językiem, i myślą, że pracują po to, by go mieć, by nim dysponować. A gdy go mają w końcu, okazuje się, że są już samą pracą; niczym więcej; samym wysiłkiem. I bawią się w zabijanie czasu.

Burza toczy się nad nami. Błyskawice rozrywają chmury o płonących wnętrzach. Siedzę w kącie. Przez okno leje się woda i kapie na mnie. Oni nie przestają mówić o tym, ile kosztuje marmolada, co jedli na kolację, ile numerów robili, gdy byli w moim wieku i inne rzeczy. Są uprzejmi nawet wobec mnie: to jest najgorsze. Męczą ich tylko hemoroidy.

Burza

Siedzę więc w kącie na łóżku, jak osaczony kot. Zamykam oczy. Wchodzi Marta, spokojna duża dziewczyna, która — nim się to wszystko zaczęło — mieszkała w tym mieście, co ja. Siada na moim łóżku i siedzi. Nic mnie ona nie obchodzi, ale teraz, gdy nie lubię nikogo, obmazuję ją przygodnie uczuciami, które sączą się ze mnie jak śluz, lepkie, umizgujące się jak stara kokota; przebieram je w nonszalancję i wyciskam poza siebie. Muszę.

Wiatr wieje od morza, drzewa rzucają głowami. Bełkoć coś do siebie i mówię na koniec:

— *Finish*¹.

Ona śmieje się.

— Dlaczego się śmiejesz?

— Perskie kokoty², gdy były bardzo zajęte — wiesz? — pytały amerykańskich żołnierzy: „*Finish Johnny?*”.

Milczy chwilę.

¹*finish* (ang.) — koniec; kończyć. [przypis edytorski]

²*kokota* (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

Zaczęło mi się przewracać w głowie, patrzyłem poza nią, za okno, miałem półotwarte usta.

— Przypominasz mi lalkę, którą miałam, gdy byłam mała. Miała rozbitą głowę. Spałam z nią zawsze, mimo że miałam ładniejsze.

Zawołała:

— Słyszysz, jesteś lalką z rozbitą głową!

Ci przy kartach zaczynają się podniecać i krzyczeć. Mówię:

— Rzuć im coś w łeb. Flaszkę. Szkoda, że tu w hotelu nie ma nocników.

Kładzie się na łóżko i pyta półserio, ostrożnie:

— Mogę cię pomacać trochę?

Nie mam na to ochoty, ona wie o tym. Ale dziś jest trochę pijana, sześć koniaków. Mówi:

— Proszę cię, pocałuj mnie.

Kiwam głową, że nie. Uparła się. Wygląda jak gdyby zwariowała. Burza mruczy, zaraz uśnie. Deszcz nie pada. Bełkocę cicho:

— Muszę teraz iść. Umówiłem się. Pa.

Kłamię. Nie umówiłem się. Muszę iść. To jest nieokreślone, ale pewne.

Miasto jest ciemne, zaciemnione. Światła pelzają ostrożnie po jezdniach, jak ameby. To jest znowu nieznanne miasto i obcy zapach. Znajomy jest wiatr, woń zgniłych ryb, wodorostów i muszli... Tu są bulwary, tu chodzą dziwki.

Włóczenie się jest czynnością rytualną, prastarą jak miasta i kurwy, które na Forum Romanum odciskały drewnianymi pantoflami, jak pieczętkami, na kamiennych taflach napisy: „Chodź do mnie”, a w Berlinie tatuowały sobie na wewnętrznej stronie ud: „*Immer hinein*”³ i strzałkę.

Włóczenie się w niepokoju ulicami, które odpoczywają, jest rzeczą dobrą, prawie religijną. Najlepiej wieczorem, po deszczu, kiedy czujesz to, co się dzieje w zamkniętych domach i oglądasz zataczające się latarnie, cienie sobowtórów na ścianach; zresztą sam jesteś cieniem. To stara i pewna recepta.

Ciemność i morze gotują się. A to siedzi we mnie. Nie można tego wypluć. Łażę wzdłuż bulwarów, ale nie pomaga. Zwierzę, któremu utkwiała strzała w grzbiecie; tarza się, biega, ryczy, pluje, krew zalewa mu oczy; strzała tkwi. Nie ma ludzi i nikt nie wyciągnie strzały. Każdy z nas jest zamknięty we własnej nocy, sam.

Słyszę, jak czas przepływa za plecami, jak gdybym leżał nad brzegiem rzeki. Kobiety w moim wieku są coraz starsze. Gniję pomалу. Wyciekam z siebie powoli, zostaje miękka skorupa, zdeformowany kształt. Jem przeszłość, jak gdybym jadł własny kał, przeżuwasz ją ciągle na nowo i znów od początku. To jak łykanie śliny, gdy się chce pić.

Nienawidzę dnia, złego snu, gdy zanurzam się w noc jak w wodę, w której pływa księżyc i spełnione twarze sprzed siedmiu lat. Dziewczęta mają wargi zimne i mokre i oczy wyblakłe jak na starych fotografiach. W ich włosach rosną wodorosty, w granatowej, połyskującej wodzie falują ich odbarwione ciała, z wody wychodzi mokry księżyc, metalowy żółw.

Wracam do domu.

Chodzę po pokoju i udaję, że nie wiem, o co chodzi. Ale gdy widzę papier, dostaję mdłości i słyszę, że jest we mnie cicho jak w trupiarni... Na szybie odciskam swoje wargi, jak dawniej.

Tak jak zawsze, odkąd zaczęła się ta historia, wojna, nie mogę zwymiotować na papier i męczy mnie to. Zęby szcękają mi z obrzydzenia, z podniecenia. Przechodzić wytartą, oślinioną drogę Odysei. Tysiącami mówią, sepleniąc, ślimacząc się, wyciskają uroczyście swoje męki, jak węgry, swoje nienawiści i zły los.

Obrazy leżą we mnie zastygłe, wyschnięte jak rośliny w zielniku, jak piersi starej kobiety. Ogłupiałam jestem od luminalu, bromu, chloralu. Trupy leżą na drodze, która mnie od nich dzieli, jak progi kolejowe. Wojna: kłęb rodzących się dróg, które rosną, schodzą się, rozlatują nieobliczalnie, niespodziewanie, mimo to prawidłowo i nieuchronnie. Bu-

Miasto, Ciemność

Woda, Księżyc

³*Immer hinein* (niem.) — Zawsze do środka. [przypis edytorski]

soni⁴ na wydaniu Bacha⁵, które miałem w domu, na końcu przedmowy napisał: „*New York im dritten Jahre der Kriegsflucht*”⁶. Zaczynam to rozumieć.

Papier jest bezczelnie biały. Chodzę koło niego jak pies dookoła suki. Krążę uparcie. Próbuję zająć z jednej strony, z drugiej. Ściany pochylają się nade mną i wyginają, jak widziane przez wodę. Oglądam w lustrze wygniecioną twarz, która już dawno przestała być moją twarzą.

Siadam. Mówię:

— Nie bądź wariatem. Proszę cię. Spokój.

Otwieram książkę. To Nowy Testament. Czytam św. Pawła list „Do Rzymian”: po-gański.

Alem grzechu nie poznał, jeno przez Zakon⁷; bo nie wiedziałbym o po-żądliwości, gdyby Zakon nie mówił: „Nie będziesz pożądał”. Lecz grzech, wzięwszy podniętę z przykazania, sprawił we mnie wszelką pożądliwość. Al-bowiem bez Zakonu grzech byłby martwy. I żyłem niegdyś bez Zakonu. Lecz gdy przyszło przykazanie, grzech ożył, a ja umarłem; i okazało się, że przykazanie, które miało być ku żywotowi, stało się śmiercią.

Nie ma dla mnie grzechu, nie ma dla mnie Zakonu i nie on mnie zabił. Ale coś poruszyło się we mnie, niby nieznacznie. Związek odwrócony i podziemny z tym, co przeczytałem.

I siedzę na dnie i czekam. Jestem podobny do mokrej szmaty, do psów po deszczu. Moje czekanie jest napięte i wyteżone.

Czekam, aż obrazy podniosą się przede mną, jak przed zaklinaczem węże, obrazy owszonych i żywych, wciskających usta w wargi trupów, obejmujących je udami, aż zmieszają się w wielkim składzie potu, łajna, strachu i otepienia i odsłonią to, co było przedtem — iżby okazało się, że ja, który byłem przeznaczony ku śmierci, stałem się dla żywota, że zostałem zabity, aby stworzyć ze zdań i słów życie, które wyrośnie na nawozie ze mnie i z tych, którzy zgnili.

I wydaje się to nagle najbardziej proste i wielokrotnie zawile, droga prymitywna, zwycięska i przewrotna.

Czy będę pół bogiem, pół czarnoksiężnikiem, aby mieszać, lepić i rozplądzać ludzi?

JOANNA I

„.....

P. wyjechał i nie wiem, czy znajdzie się tak prędko ktoś, kto potrafi robić to tak, jak on. Obiecał, że będzie przysyłał pieniądze co miesiąc. Twierdzi, że wraca za 3 mies.

Wczoraj byłem u k. (piszę naumyślnie przez małą literę, bo przez dużą nie jest wart). Zatelefonowałam do niego pierwszy raz od wyjazdu P. Był mile zdziwiony. Żądał, żebym tym razem przyszła na całą noc. Idiota. Po co ja się z nim w ogóle zadaję? Stosunek z nim nie sprawia mi w ogóle żadnej przyjemności. Poza tym jest skąpy. Jeden plus, że można z nim iść do kawiarni i pogadać.

Więc byłem u k. Przygotował się kretyn do tej nocy bohaterskiej jak toreador. On ze swoimi mizernymi orgazmami. Było też dużo rzeczy do jedzenia, jakbyśmy mieli przez tydzień nie wychodzić z pokoju. Mówi do mnie per „dziecinko”.

W szufladzie od stołu zobaczyłam przygotowanych 6 prezerwatyw i myślałam, że umrę ze śmiechu. Odsunęłam powoli 4 i zostawiłam 2. On się zmieszał i powiedział: — Mogą być na wszelki wypadek. On załatwił na mnie szybko swoje sprawy. Myślałam podczas tego o P., jak on to robi, i zaczerwieniłam się. Mały k. myślał, że to z powodu niego. Potem obróciłam się do ściany i chciałam spać.

⁴Busoni, Ferruccio (1866–1924) — włoski kompozytor, pianista i dyrygent, znany gł. jako wirtuoz i autor fortepianowych aranżacji muzyki Bacha. [przypis edytorski]

⁵Bach, Johann Sebastian (1685–1750) — wybitny niem. kompozytor i organista epoki baroku, jeden z największych artystów w historii muzyki. [przypis edytorski]

⁶New York im dritten Jahre der Kriegsflucht (niem.) — Nowy Jork w trzecim roku fugi wojennej. [przypis edytorski]

⁷zakon (daw.) — prawo. [przypis edytorski]

Nie mogłam usnąć, bo k. musi leżeć pod pierzyną. Było mi gorąco jak cholera, ale koniec końców usnęłam. Wstałam o piątej, ubrałam się, zjadłam chleb z wędliną i popiłam winem, i poszłam do domu.

Po wyjeździe P. jest próżnia. Leżę w łóżku do dwunastej, nie chce mi się ubierać. Mam 23 lata i nic mi się nie chce. Nie chcę nawet dużo pieniędzy. Chcę mieć spokój i wygodę. Mam tylko od czasu do czasu małą zachciankę, małą ochotę na 3-dniową przygodę, nic więcej. Wydaje mi się, że płynę po życiu jak napęczniały, biały topielec po letniej, brudnej wodzie. Ale gdy widzi się, jak wszyscy latają koło swoich interesów, jak pies za suką, jak robią się ważni, to może już lepiej pływać.

Dziś powinnam mieć miesięczkę i nic. Inna rzecz, że to z P. było całkiem na wariata. Czekam jeszcze 4 dni, potem idę do dra D. On mi się trochę podoba. To byłaby trzecia skrobanka.

Wczoraj widziałam tych dwóch 18-latków, którzy bywają u »ciotki« Emilii. Jeden z nich tam, zdaje się, mieszka. Chyba ten niebieskooki. Siedzieli wczoraj wieczorem w parku i trzymali się jak zakochani za ręce. Obaj są ładni i mają takie czerwone usta, jakby się ciągle całowali. Nie mogę powiedzieć, że nie mam na nich ochoty. Poznam ich.

Dlaczego nie mam koleżanek? Znam różne dziewczęta, ale nie spotykam ich prawie. Chodzę zawsze sama albo z mężczyznami.

Była u mnie Ewa. Wyrosła, ma już prawie 17 lat. Przypomina mi czasy, kiedy nie miałam forsy i mieszkałam w tej zaszrannej dzielnicy nad rzeką. Boże, jak tam śmierdzi! Ona tam mieszka jeszcze, jest śliczna, trochę postrzelona, ma dzikie oczy, miękkie i równocześnie ostre i niepokojące. Nic dziwnego, jej mama jest zwariowana, a tacie też niczego nie brakuje.

Mała jest biedna i potwornie ambitna, chce czegoś bardzo, tylko na razie nie wie czego. Ale będzie wiedzieć i myślę, że osiągnie to. Przychodzi do mnie wtedy, gdy w domu są awantury. Nie przyznałaby się do tego za Boga. Czasem sypia u mnie.

Już strasznie znudzili mi się ci mężczyźni z forszą i szykiem. Mam ochotę iść z jakimś gówniarzem na wodę sodową.

.....”

Komentarz: Tym razem Joanna była niesprawiedliwa. Mały k. ma lat 60 i nie można od niego dużo wymagać.

DROGI DONIKĄD

Na zboczach góry, wrzeźbiony w skałę, stał pensjonat. Na parterze, w pokoju numer osiem, budził się Emil.

Wyciągał ramiona, mruzczał, prycał, wyginał kręgosłup jak łuk, krzyczał przez chwilę wysokim falsetem⁸. Wstał, podszedł do okna i zobaczył niebieską mgłę. Otworzył drzwi, szedł wolno w piżamie wzdłuż korytarza wykładanego zielonym linoleum. Przed białymi drzwiami stały wyczyszczone buty: przed numerem trzynastym olbrzymie buty Anglika, który uczył się grać u Finsena; przed numerem piętnastym, oprócz damskich Krystyny, duże męskie, przesadnie sportowe („Przyjechał narzeczony”). Przed drzwiami właścicielki pensjonatu — osamotnione sandaalki Eli.

Z asfaltowego tarasu było widać mgłę, prześwieconą słońcem, błyszczącą, różową, leżącą na górach, które wydawały się dalekie i bliskie. Usiadł na leżaku i zamknął oczy. Po chwili poczuł, jak słońce dotyka jego powiek, delikatnie, językiem ciepłym i miękkim, jak kot. Różowe koła ze światła i krwi toczyły się jak baletnice.

Otworzył oczy. Ktoś stał przy nim. To była Ela, o jasnych włosach i oczach, w piżamie.

— Dziś są moje urodziny.

— Ile lat kończysz?

— Dwanaście.

Milczała chwilę. Odwrócił głowę, bo słońce świeciło mu w oczy.

— Proszę pana, czy ja mogę pana pocałować?

Odpowiedział wolno:

— Możesz.

Słońce

Pocałunek

⁸*falset* — nienaturalnie wysoki głos męski. [przypis edytorski]

Podeszła do niego od tyłu, objęła rękami jego podbródek i pocałowała go w policzek uważnie, bez cmokania. I dotknięcie jej było jak słońce, leżące na powiekach. Odsunęła się i stała przy nim. Szeroko otwartymi oczami patrzyła prosto w słońce. Była błada.

— Dziś są twoje urodziny, więc zapraszam cię na lody.

To było przyjemnie niekonsekwentne, bo postanowił się stąd wyprowadzić ze względu na małą.

— Tak.

— Powiesz mi podczas śniadania, czy mamusia ci pozwoliła.

— Tak.

Odeszła, cofając się wolno, tyłem, jak teatralny paź.

Podczas śniadania zobaczył, że narzeczony Krystyny jest dziobaty. „Może ma ukryte zalety” — pomyślał. Spotkali się na korytarzu, Krystyna uśmiechnęła się, przedstawiła go narzeczonemu i powiedziała:

— Wiesz, to jest ten inteligentny kawaler, który miał ochotę, opowiadałam ci, pocałować mnie. Prawda, że jest przyjemny?

Dopiero później ocenił, że to było beczelnie sprytne. Na razie duży pan i mały pan uśmiechali się, a duży pan zrobił pobłażliwą minę.

Po śniadaniu, mniej więcej o dziesiątej, Ela czekała w hallu i oglądała w lustrze swoją nową różową sukienkę. Szli najpierw przez las i plamy światła leżały na ziemi, i ona szła przy nim, próbując dorównać mu kroku, poważna, niby dorosła.

— Czy widzisz te krowy tam?

— Tak.

— Jak one wyglądają?

— Jak gwiazdy.

— Hoooo. Jak gwiazdy... — i uśmiechnął się. Wtedy ona uśmiechnęła się też i otworzyło się małe kocie niebo i pokazało rząd równych zębów.

— Ja panu coś powiem. — W jej oczach ukazały się wesole błyski. — Nim pan przyjechał, ja zawsze wiedziałam, z którego miasta są goście.

— Co? W jaki sposób wiedziałaś?

— No, wiedziałam po prostu.

— Bez kartki meldunkowej?

— Bez.

— A czy ktoś jeszcze wie o tym?

— Buruburu, ten stary portier.

— I od mojego przyjazdu nie odgadujesz więcej?

— Nie.

Weszli do parku, w którym grała orkiestra, błądy zdrojowy park. Spotkał tam Alinkę, córkę znanego logistyka, przyjaciela ojca.

Była duża, wyglądała jak niedźwiadek (zgrabny). Skończyła pierwszy rok chemii.

— Co robi twój papa? — zapytał, bo lubił go.

— Och, och! Nie wiem: mieszka w hotelu „Pod Różą”.

— Przecież ty mieszkasz we „Florydzie”...

— No tak, ale on mieszka tam z jedną panią.

Wróciła do grupy chłopców i dziewcząt, krzyknęła:

— Twoja towarzyszka ma śliczną sukienkę...

Uśmiechnął się tak, aby to mogło na wszelki wypadek wszystko oznaczać.

Potem już było miasteczko i kawiarnia.

— Co pani zamówi? — zapytał, gdy przyszedł kelner.

Ela patrzyła na niego i nic nie mówiła.

— Co zjesz, mała? — zapytał, a ona płakała.

— Malinowe?

Skinęła głową.

— Czekoladowe?

Skinęła głową.

— Jakie jeszcze?

Wykrztusiła w końcu:

— Poziomkowe.

Kelner przyniósł lody i trzy grube, okrągłe wafle, wetknięte w usta lodów.

— One wyglądają jak cygara — i Ela była znów niby dorosła, poważna.

Ludzie wchodzili i wychodzili i Emil myślał o Krystynie, o zdarzeniu przy śniadaniu. I potem wracali przez las, z góry widać było pociąg, który gwizdał, i ona szła obok niego, nie patrząc na niego, i on schował się za drzewo. Wtedy ona uszła jeszcze kilka kroków, z uśmiechem zawróciła i znalazła go, bez szukania. I on wyszedł przestraszony, i ona nie mogła zrozumieć, dlaczego.

Szli dalej i plamy światła leżały na ziemi, i ona powiedziała:

— One są jak Bernard.

— Kto to jest Bernard?

— Bernard to jest nakrapiany pies, który zdechl zeszłego roku.

Wrócili na obiad. Na stole zastał dwa listy i dużą kopertę. Od ojca i od Janka.

List

„Drogi Synu!

Zawiadamiam cię, że równocześnie z niniejszym listem odsyłam ci dwa rentgenogramy. Jako niekompetentny w sprawach chorób płuc, dałem je do obejrzenia docentowi F. wraz z historią choroby, którą mi przysłałeś. Stan chorej — budowa klatki piersiowej wskazuje bowiem, że mamy do czynienia z kobietą — jest na tyle poważny, że leczenie i pobyt w górach będą się musiały przeciągnąć na długo, przypuszczalnie do końca życia. Odmy w prawym płucu doc. F. nie radzi robić z powodu olbrzymich zrostów, metoda zaś elektrycznego przepalania ich nie jest jeszcze wypróbowana. Torakoplastyka⁹ — musiałaby być zresztą bardzo obszerna — jest niewskazana nie tylko ze względów kosmetycznych, ale również z powodu wady serca, o której piszesz. Tyle mam do powiedzenia o tej pani.

Teraz pozwolę sobie zaznaczyć, abyś w przyszłości nie zajmował mnie sprawami tego rodzaju z dwóch względów: 1) Czas, który tracę, jest niewspółmierny do wątpliwych korzyści, jakie ci dają. 2) Nie lubię brać udziału w intrydze, jako lekarz.

Chcę ci poza tym donieść, że za miesiąc wychodzi moja epidemiologia. Przy jej pisaniu, jak i przy korekcie, G. oddał mi poważne usługi. Jak się tego spodziewałem od dłuższego czasu, matka Twoja będzie się musiała poddać resekcji nerki.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Twój Ojciec”.

List od Janka:

List

„Wyobraź sobie, że w tym upale, przy tym śmierdzącym fortepianie, ciężkim i leniwym — pracuję. Mały napad pracy, choroba lenistwa. *Mefisto*¹⁰ idzie cudownie. Gram pierwszy temat zupełnie po pijacku, zupełnie zataczając się. Z sonatą b-mol męczę się potwornie. Chodzę po całym mieście i wypożyczam do niej płyty. Toccata C-dur poszła niespodziewanie łatwo; całuję codziennie adagio na dobranoc.

Czytam i nudzę się.

Pa

Janek.

Muzyka

Twój ojciec zaprosił mnie na kolację. Pytałem go o różne głupstwa, np. jak to jest możliwe, żeby się człowiekowi iskry sypały z włosów itd. Przygotowałem Ci niespodziankę”.

Na stole leżały dwa otwarte listy, rentgenogramy w grubej kopercie. Emil patrzył przez okno. Krystyna zostaje tu na całe życie. Stary jest uroczy i komiczny. Jak obojętny jest na pozór list Janka. Nie nazywali nigdy po imieniu tego, co było między nimi. Nie

⁹torakoplastyka (z gr. *thoraks*, D. *thorakos*: pierś, klatka piersiowa) — skrócenie lub usunięcie żeber, stosowane dawniej w leczeniu chorób płuc i opłucnej. [przypis edytorski]

¹⁰*Mefisto* — zapewne pierwszy, najbardziej znany z czterech *Walców Mefisto*, utworów fortepianowych skomponowanych przez Franza Liszta (1811–1886). [przypis edytorski]

zastępowali tego gwarą. Nie dawali listom nagłówek, aby nie używać pewnych słów. Byli oszczędni w gestach.

Emil wyrwał kartkę papieru z zeszytu, bo miał wstręt do pozorów systematyczności, do kartotek, brulionów. Uważał, że to są formy przymusu. Pisał:

„Jakie to jest komiczne i wielokrotnie dziwne. Znam Gide’a¹¹ *Falszerzy* i *Coridona*, i *Nourritures Terrestres*¹², wiem prawie wszystko, co można legalną drogą wiedzieć o Wilddie¹³, czytałem *Śmierć w Wenecji*¹⁴, wiem, co o tych sprawach myśli Platon¹⁵ i Owidiusz¹⁶, znam wreszcie współczesną literaturę psychologiczną, i mimo wszystko to jest tak samo nowe i świeże; mimo mego głodu wiedzenia naprzód, głodu władzy nad przyszłością, aby się nie dać zaskoczyć przez życie, mimo że wiem, że się to niedługo skończy, czuję to jednak tak, jakby to miało być nieskończenie długie.

Czy mogę z J. zrobić wszystko, co zechcę? Przed rokiem mógłbym. Ale teraz, kto wie? Przed rokiem, tu, na wakacjach, kiedy był przylepiony do mnie (po *appendicicie*¹⁷). Mieszkaliśmy w chłopskiej chałupie, był jeszcze taki słaby, że trudno mu było samemu chodzić. Gdy oczekiwałem go na stacji, gdy mnie zobaczył, trzeba było widzieć jego oczy. Szkoda”.

Wrzucił kartkę do tekturowej teczki (takie notatki uważał też za rodzaj przyszłego „materiału”), wyjął dużo innych podobnych kartek; to była nowela, którą kończył.

Był mały pięcioletni Jano i jego świat magii. Ręce za szybą i grysik, którym go karmiła służąca Marysia. Poza tym jest Anna, matka. Zbliża się do szafy, gdzie wiszą suknie i płaszcz.

— Mamo, czy odchodzisz?

— Nie. (On wie, że ona kłamie).

W pokoju obok leży ojciec, umierający na raka. Jego oczy wpadają powoli do wnętrza czaszki. Anna odchodzi do Emila, który ma osiemnaście lat. Anna ma dwadzieścia cztery. Jano zostaje sam. Ojciec jęczy. Jano wchodzi do kuchni. Marysia chrapie i dyszy przez sen. Na wpół obłąkany ze strachu Jano budzi Marysię.

„Jej nogi były czerwone aż do kolan, wyżej białe. Jej duże piersi podnosiły się i opadały, podnosiły się i opadały. Jano krzyknął:

— Marysiu!

Otworzyła oczy, zanurzone w śnie. Uderzył ją w ramię. Wyciągał ją z ciężkiego snu jak z bagna.

— Marysiu!

Sen spelzał powoli z jej oczu.

— Czego chcesz?

— Idź po mamę!

Była ogromna, biała, ciepło buchało od niej.

— Co?

— Idź, przyprowadź mamę.

— Śpij, smarkaczu!

Zobaczył, że zasypia. Wziął nóż kuchenny i podszedł do niej.

— Marysiu!”

¹¹Gide, André (1869–1951) — francuski pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla (1947); indywidualista, odrzucający tradycyjne normy moralne. [przypis edytorski]

¹²*Nourritures Terrestres* — *Pokarmy ziemskie*, poemat prozą A. Gide’a, napisany pod wpływem książki *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego, wyd. w 1897, zyskał rozgłos ćwierć wieku później. [przypis edytorski]

¹³Wilde, Oskar (1854–1900) — irlandzki poeta, dramaturg i prozaik; w swojej twórczości prezentował estetyzm, amoralizm i hedonizm; w 1895 oskarżony o praktyki homoseksualne, skazany na dwa lata więzienia; po odbyciu kary, opuszczony przez rodzinę i bojkotowany przez opinię publiczną, przybrał fikcyjne nazwisko i wyjechał do Francji. [przypis edytorski]

¹⁴*Śmierć w Wenecji* — nowela Tomasza Manna wyd. w 1912, opowiadająca o platonicznej miłości starzejącego się pisarza do młodego chłopca. [przypis edytorski]

¹⁵Platon (427–347 p.n.e.) — gr. filozof, twórca klasycznego idealizmu; w dialogu *Uczta*, omawiającym kolejne szczeble miłości, m.in. analizuje i pochwała męską miłość homoseksualną. [przypis edytorski]

¹⁶Owidiusz, właśc. *Publius Ovidius Naso* (43 p.n.e.–17 lub 18 n.e.) — jeden z największych poetów rzymskich, znany głównie z utworów o tematyce miłosnej. Tu zapewne nawiązanie do zamieszczonej w jego *Metamorfozach* (X.155) mitologicznej opowieści o Ganimesie, pięknym młodzieńcu, którego przemieniony w orła król bogów Zeus porwał i uczynił swoim kochankiem i nieśmiertelnym podczaszym bogów. [przypis edytorski]

¹⁷*appendicit* — popr.: *appendicitis acuta* (łac.), zapalenie wyrostka robaczkowego. [przypis edytorski]

I tak dalej.

Ona w końcu wstaje, bierze go na ręce, on czepia się rękami klamek i wrzeszczy.

Emil płynie powoli po własnych zdaniach. Co ma powiedzieć Jano w ostatecznym, błagalnym i rozpaczliwym momencie? Wraca znów z prądem słów, natrafia na ten sam zakręt. Powoli przetrzuca swoją przeszłość, swoje rozmowy z dziećmi. Jest przez chwilę naciągnięty jak struna, nim się ją puści, nim wyda dźwięk.

Mały chłopiec prosi go w parku:

— Daj mi zegarek, zobaczysz, ja ci dam też, daj mi...

— Co mi dasz?

Tamten odpowiada na serio i poważnie.

Emil pisze:

„Jano krzyczy: — Proszę cię, proszę cię! Czekaj, dam ci dom i złoto!”

To była mała błyskawica, mały strach, na krótką część sekundy zatrzymane uderzenie serca. Reszta jest prawie napisana. Ludwik (ojciec Jana) staje przed murem, przed śmiercią. Jano jest zamknięty w pokoju ojca. Rozmowa Jana z ojcem, rozmowa pięcioletniego chłopca z trzydziestoletnim ojcem o śmierci.

„Ojciec:

— Dlaczego ty myślisz, że ja już nie jestem człowiek? Musisz mi pomóc, synku, musisz. Będę się opierał o ciebie i o ścianę i podejść do okna. Potem ty wyjdiesz...”

Jano pomaga. Czuje, że ręka ojca jest bardzo ciężka. Ludwik staje przy oknie: na dole Anna i Emil trzymają się za ręce i ona uśmiecha się. Jano jest mały, a okno jest wysoko. Ale czuje wielkie napięcie między górą i dołem. Ludwik myśli o Annie i o śmierci. To jest to samo, to już wkrótce będzie to samo. Więc przestaje się wahać i nie rzuca się z okna.

Gdy matka wraca, Jano mówi tylko:

„— Mamo, tak bardzo czekałem na ciebie.

I o tej nocy nie powiedział nic więcej”.

Nareszcie. Jest zadowolony z rozmowy ojca z synem, gdy śmierć odkrywa swoją twarz. Cieszy się z męczącego crescendo¹⁸, które załamuje się wtedy, gdy Ludwik staje przy oknie, które kończy się szczytem, pianissimo¹⁹:

— Mamo, tak bardzo czekałem na ciebie.

Była godzina czwarta po obiedzie. Emil wiedział, że Krystyna schodzi teraz z leżaka i pójdzie do pokoju, że jej narzeczony załatwia coś w mieście. Dlatego poszedł do pokoju numer piętnaście.

Leżała na łóżku w białych, krótkich spodenkach i białym golfie. Na podkurczonym kolanie trzymała książkę. Ponad kostką, na nodze, miała cienki złoty łańcuszek. Była lekko opalona.

Nie poruszając głową, powiedziała: — Siadaj, mały — wskazując na łóżko.

Mały usiadł.

— Zły jestem.

— Zły jesteś? Przecież masz ładne włosy, zwłaszcza gdy je rozrzuca wiatr. Traktuję cię jak dziewczynkę, bo nią trochę jesteś. No... zresztą nie będę prawila komplementów, bo jesteś dostatecznie zarozumiała. Gdzie są moje roentgeny? Chyba nie chcesz, abym musiała się zgrywać na panią Chauchat²⁰?

— Przyniosłem je.

— Dobrze. Teraz powiedz, dlaczego jesteś zły?

— Bo on cię...

— ...ma — dokończyła ona i zaczęła się śmiać. — Kto mię ma? Kto mię w ogóle może mieć?

Chwilę kiwała nogą, tą ze złotym łańcuszkiem.

— Z konwencjonalno-fizjologicznego punktu widzenia to on mię miał pewną ilość razy. Powiedz lepiej...

Emil tego już nie słyszał. Krew zaczęła mu napływać do głowy, podobnie jak pewnego razu w szkole, przed wielu laty, podczas historii z zadaniem o albatrosach.

¹⁸*crescendo* (wł., muz.) — coraz głośniej. [przypis edytorski]

¹⁹*pianissimo* (wł., muz.) — bardzo cicho. [przypis edytorski]

²⁰*pani Chauchat* — postać z powieści Tomasza Manna *Czarodziejska góra* (1924), piękna Rosjanka, w której zakochuje się główny bohater, Hans Castorp. [przypis edytorski]

Wtem otworzyły się drzwi. W drzwiach stała Ela. Krystyna powiedziała:

— Wejdz.

Ale ona nie weszła. Miała szeroko otwarte oczy.

Odnajdywała go wszędzie i ciągle, ze zwierzęcą, jasnowidzącą pewnością. Tropiła go jak pies, chodziła za nim jak lunatyczka. Krystyna powtórzyła:

— Wejdz.

Ale ona nie weszła.

Emil, nie patrząc na Elę, bo bał się jej wzroku:

— Chcę cię dzisiaj widzieć.

— Wiesz, że to niemożliwe.

— Bardzo chcę.

— Nie bądź śmieszny. Jest mi przykro, gdy się wygłupiasz.

— Chcę.

— Możesz chcieć.

Wstał i wyszedł z pokoju, omijając Elę szerokim łukiem.

Na czterech fortepianach, w czterech krańcach pensjonatu, ćwiczyli uczniowie Finse-
na. Książę gruziński o ukośnych oczach grał początek Wallensteinowskiej²¹ na przyjem-
nym Bechsteinie²², wśród dymu papierosów; był giętki, wysoki, trzydziestoletni. Z wście-
kłością wypracowywał i wyrzeźbiał precyzyjnie trzynaste pierwsze taktów, dokładność
akcentów, tętniący, ukryty, zduszony rytm.

Emil stał za dużą palmą i oglądał księcia. Wczoraj siedzieli do późna w nocy i rozmawiali o muzyce, o pianistach, o Paryżu. Książę przeszedł nagle z niemieckiego na francuski, otoczył się dymem papierosa jak niebieską zasłoną, zaczął opowiadać o Niżyńskim, Diagilewie i Lifarze²³; potem przeszedł szybko z „vous” na „tu”²⁴.

— *Est-que tu l'as vu, petit?*²⁵

— *Oui, je l'ai vu une fois... ici-même, dans les montagnes.*²⁶

— *Il est beau, n'est-ce pas?*²⁷

— *Il est très beau.*²⁸

— *Il n'aime pas les femmes. Le sais-tu?*²⁹

— *Je le sais: il est rare que des célèbres danseurs aiment les femmes. D'ailleurs, la danse elle-même contient quelque chose de féminin. Il m'est difficile de l'expliquer en français. Rangopal aussi est homosexuel. J'ai lu ses lettres d'amour, des lettres très naïves et très belles, adressées à mon... à un de mes amis.*³⁰

— *Ah!*

Książę strzepnął popiół z papierosa. Jego jasnoniebieskie, koloru lodu, skośne i gruzińskie oczy, wysunęły się z mgły.

²¹Wallensteinowska — sonata fortepianowa nr 21 C-dur opus 53 Beethovena, znana jako *sonata Waldsteinowska* (1804), zaczynająca się od serii szybko powtarzających się akordów, granych pianissimo. Dedykowana księciu von Waldstein (niektórzy członkowie tego rodu nosili nazwisko Wallenstein). [przypis edytorski]

²²Bechstein — tu: renomowana marka fortepianów z wytwórni zał. w 1853 przez niem. przedsiębiorcę Carla Bechsteina. [przypis edytorski]

²³Niżyński, Diagilew, Lifar — Wacław Niżyński (1889–1950): wybitny rosyjski tancerz baletowy i choreograf polskiego pochodzenia; Siergiej Pawłowicz Diagilew (1872–1929): rosyjski impresario baletowy, założyciel słynnego zespołu *Les Ballets Russes* (fr.: Balety rosyjskie), do którego należał był m.in. Niżyński; Serge Lifar, właśc. Siergiej Michajłowicz Lifar (1905–1986): francuski tancerz i choreograf pochodzenia rosyjskiego, członek zespołu Diagilewa. [przypis edytorski]

²⁴przeszedł szybko z „vous” na „tu” — przeszedł szybko z „pan” na „ty”, mówiąc po francusku. [przypis edytorski]

²⁵*Est-que tu l'as vu, petit?* (fr.) — Widziałeś go, mały? [przypis edytorski]

²⁶*Oui, je l'ai vu une fois... ici-même, dans les montagnes* (fr.) — Tak, widziałem go raz... nawet tutaj, w górach. [przypis edytorski]

²⁷*Il est beau, n'est-ce pas?* (fr.) — Jest piękny, nieprawdaż? [przypis edytorski]

²⁸*Il est très beau* (fr.) — Jest bardzo piękny. [przypis edytorski]

²⁹*Il n'aime pas les femmes. Le sais-tu?* (fr.) — Nie lubi kobiet. Czy wiesz? [przypis edytorski]

³⁰*Je le sais: il est rare...* (fr.) — Wiem: rzadko słynni tancerze lubią kobiety. Poza tym sam taniec ma w sobie coś kobiecego. Trudno mi to wyjaśnić po francusku. Rangopal też jest homoseksualistą. Czytałem jego listy miłosne, listy bardzo naiwne i bardzo piękne, skierowane do mojego... do jednego z moich przyjaciół. [przypis edytorski]

— *Je veux que tu sois à moi. Tu as le visage d'un faune juvenile, tes mouvements sont doux, ta peau est dorée par le soleil...*³¹

Emil uśmiechnął się i powiedział:

— *Non.*³²

Oczy księcia zgasły i zaszły gęstym dymem.

— *Est-ce que c'est la dame qui s'appelle Christine qui t'a perverti de cette façon?*³³

— *Pourquoi employez-vous ce terme de „pervertir“?*³⁴

— *Quelle pitié... Tu me sembles avoir beaucoup lu, et malgré cela tu ne connais pas les choses qui sont en toi, tu ne sais pas ce que tu pourrais ressentir. A ce moment-même tu passes à côté d'un monde immense que tu ignores complètement, tu passes comme un cheval à qui on a bandé les yeux.*³⁵

Przez chwilę było cicho w pokoju i pasma papierosowej mgły wyginały się wolno nad czarnym fortepianem. Książę wstał, powiedział: — *Bonne nuit*³⁶ — i wyszedł.

Emil stał za palmą i oglądał księcia. Potem ubrał się i wyszedł.

Mała, teatralna trochę dolina, wyrzeźbiona przez strumień w wapieniu. Nad wodą bełkoczącą stała drewniana kawiarenka, w której jadał truskawki ze śmietaną. Na zboczach rosły niebieskawe jodły. Przy stoliku w kącie siedział siwowłosy profesor logistyki, zagięty jak pytajnik, z młodą dziewczyną. Obok inne dziewczęta śmiały się głośno, trzymały się za ręce, zerkaly na wszystkie strony, śmiały się znów, i ich śmiech opadał jak mały wodospad. Głupie smarkate.

Wrócił do pensjonatu, który nazywał się „Złocien”. Jeszcze było przed kolacją i nudził się, i przykrzyło mu się. Zatelefonował do Alinki, ale nie było jej w domu. Poszedł do łazienki i mył się zbyt długo. Napisał list do Janka, w którym donosił mu, że zamierza pozostać tu jeszcze około dwóch tygodni, i nie wysłał go. Potem chodził po willi, próbował wszystkich czterech fortepianów, szukał Eli, która wyszła do miasteczka. W końcu spotkał pewnego dancing-bubka i dowiedział się od niego, że Krystyna idzie po kolacji do kawiarni.

Podczas kolacji, w sali jadalnej, było cicho, bo jedzono kurczęta; to wymagało skupienia. Krystyna siedziała tyłem do Emila, ubrana w suknię w kwiaty, przez którą przeświecały ramiączka biustonosza.

Siedział przy stoliku ze starszą panią i młodym małżeństwem i mówił wielką ilość głupstw, większą niż zwykle. Pewna liczba mieszkańców pensjonatu uważała go za idiotę — sprawiało mu to przyjemność, gdyż był megalomanem.

Nie czekając na deser, zszedł wolno ze schodów. Ciepły wiatr gwizdał między jodłami, które chwiały się i trzeszczały w ciemności. Stanął pod drzewem, przed oczami miał oświetlony prostokąt: brama. Brunatny księżyc pełzał po zboczu. Cień przeciął oświetlony prostokąt. Krystyna. Podeszedł do niej. Zapytała:

— Idziesz też do miasta?

— Czekam na ciebie.

— Na mnie? No, to odprowadź mnie.

Wziął ją pod rękę. Po chwili mruknął wyraźnie, z uporem, jak dziecko:

— Ja chcę...

— Czego chcesz?

— Ciebie chcę.

Zaśmiała się, szli na przelaj przez las, który huczał.

³¹*Je veux que tu sois à moi...* (fr.) — Chcę, żebyś był mój. Masz twarz młodego fauna, twoje ruchy są miękkie, skóra złota od słońca... [przypis edytorski]

³²*Non* (fr.) — Nie. [przypis edytorski]

³³*Est-ce que c'est la dame qui s'appelle Christine qui t'a perverti de cette façon?* (fr.) — Czy to ta dama imieniem Krystyna zdeprawowała cię w ten sposób? [przypis edytorski]

³⁴*Pourquoi employez-vous ce terme de „pervertir“?* (fr.) — Dlaczego używa pan słowa „zdeprawowała”? [przypis edytorski]

³⁵*Quelle pitié... Tu me sembles...* (fr.) — Jaka szkoda... Wydaje się, że jesteś czytany, a mimo to nie wiesz, co w tobie tkwi, nie wiesz, co czujesz. W tej chwili przechodzisz obok ogromnego świata, który całkiem ignorujesz, przechodzisz jak koń z kłapkami na oczach. [przypis edytorski]

³⁶*Bonne nuit* (fr.) — Dobranoc. [przypis edytorski]

— ...dlatego, że on przyjechał — zawołała przez wiatr.
— Prawdopodobnie.
— Mój mały, wiesz chyba, że jesteś...
— Posłuchaj. Książę też mówi do mnie „mój mały” i ma na mnie ochotę. Ja na ciebie, może ty na księcia?
— Może?
Zbliżali się do miasteczka.
— Jeśli chcesz, poczekaj na mnie w ogrodzie. Wróć kolo dwunastej. Porozmawiamy. Dobrze?

Do jedenastej Kempf z Monachium grał Beethovena³⁷ i Bacha. Emil siedział w ogrodzie, poprzez otwarte okna słyhać było początek *Appassionaty*³⁸, koci, niepokojący, gotowy do skoku. Oświetlone okna, kołyszące się drzewa.

Muzyka

Emil: „Janek siedzi teraz przy aparacie. Gdybym ja tylko wiedział, że to jest najlepsze wykonanie *Appassionaty*, byłoby to bardzo trudne do zniesienia. Zwłaszcza że nie mógłbym tego zdania zmienić. Wariaci też nie mogą zmienić. Gdy miałem trzynaście lat, przeżyłem taką noc. To było straszne. Wtedy uważałem, że jestem wszechwiedzący. Wielkie napięcie, pianissimo, przed końcem pierwszej części. Nareszcie zryw. W tym miejscu zawsze chce mi się płakać. To była noc strasznej samotności. Zbocze, pokryte jodłami, szumi jak organy. Zbocze, wryte w niebo. Początek *Fantazji C-mol*³⁹. Chciałbym, aby Krystyna zobaczyła w kawiarni na dnie kieliszka moją twarz. Wierzę częściowo, że to jest możliwe. Przy pomocy magii...? Ojciec zahipnotyzował sowę, która rzucała się w klatce. Potem zbliżył się do stołu i wpatrywał się w kieliszek. — Przecież on jest martwy. — Chciałem zobaczyć, czy nie da się go podnieść samym wzrokiem. W tym czasie wyszła jego książka o zmienności gatunków bakterii. Profesor Wincenty twierdzi, że stary jest — obok Nicolle’a⁴⁰ — największym znawcą tego zagadnienia w Europie. Ile w tym było dziecinnej magii?”

Muzyka

Księżyc wędrował nad jego głową. Kempf skończył grać. Cienie chmur pęłzały po górach. Księżyc o zgaszonej do połowy, szarej tarczy, jak wybite oko. Pierwsza. Druga. Koguty piał. Szyby połyskiwały matowo, jak ołowiane. Zielony kot wskoczył cicho na ławkę i wtulił się pod ramię. Nie zauważył, jak przyszła i usiadła obok niego.

Księżyc

— Myślałam, że śpisz.

Była trochę pijana i wesola. Emil popatrzył na nią ze zdziwieniem. Pomału zaciskało się coś w nim. Chowało się, jak ślimak w skorupę. Jego oczekiwanie nie odnosiło się do Krystyny. Bo oczekiwanie nie odnosi się nigdy do zdarzenia, na które czekamy. Najważniejszą cechą oczekiwania jest to, że zmienia niedostrzegalnie substancję zdarzenia, nadmuchuje je, wyolbrzymia, przesuwa jego środek ciężkości, destyluje — tak, że to, co nadchodzi, nie jest prawie nigdy tym, na co czekamy.

— Chcesz mnie pocałować?

Powiedział: — Nie — i wstał.

Ona krzyknęła za nim:

— W takim razie pocałuj ode mnie księcia.

Poszedł spać. Śnił mu się ociekający wodą, zwęglony księżyc, który wynoszono z domu. Równomierne ruchy znanej mu ręki na poręczy, które były drugim motywem *Appassionaty*.

Sen

Księżyc

Rano wyjechał. Z dworca zatelegrafował do Janka. Przedtem zostawił Eli zabawkę: włochatego, trochę wylusiałego niedźwiadka, którego wszędzie woził ze sobą.

W tym czasie Ela, z niedźwiadkiem w rękach, zapukała do pokoju Krystyny.

— Proszę.

— Dzień dobry pani.

— Dzień dobry, Ela.

³⁷Beethoven, Ludwig van (1770–1827) — kompozytor niemiecki, zaliczany do tzw. klasyków wiedeńskich, a zarazem prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

³⁸*Appassionata* — sonata fortepianowa nr 23 f-moll op. 57 Beethovena. [przypis edytorski]

³⁹*Fantazja C-mol* — zapewne pierwsza część J. S. Bacha *Fantazji i fugi C-mol* (BWV 562). [przypis edytorski]

⁴⁰Nicolle, Charles (1866–1936) — francuski lekarz i bakteriolog, laureat Nagrody Nobla (1928). [przypis edytorski]

Krystyna, w niebieskim szlafroku, robiła sobie manicure.

— Dlaczego tak dziwnie zachowywałaś się wczoraj? Czy to z powodu...

— Pan Emil wyjechał.

— Wyjechał...?

Krystyna spojrzała na niedźwiadka, którego znała tak dobrze, i wtedy Ela przycisnęła go kurczowo do siebie.

Wieczorem Emil zobaczył już z daleka dwie wieże jego miasta, ułożone w białawej mgłę, jak w wacie. Potem wjechał na dudniący most. Nad spokojną rzeką, napęczniałą i dojrzałą, stali nieruchomi rybacy. Nagie dzieci biegały wzdłuż brzegu. Stały i machały rękami w stronę pociągu.

OBCY ZAPACH

Emilowi otworzyła stara kucharka, którą nazywał Meduza.

— O, panicz przyjechał!

— Czy tatuś jest w domu? A mamusia? (zapomniał, że jest chora). Niech Meduza, z łaski swojej, zanieś rzeczy do mojego pokoju (zwracał się tak uprzejmie tylko do kucharek i pokojówek).

Wszedł do pokoju matki i pocałował ją wyjątkowo; miał wyrzuty sumienia, że zapomniał o jej chorobie. Gdy znalazł się u siebie, położył się natychmiast na tapczanie. Uwielbiał tę pozycję.

— Gdybym był dziewczyną, tobym na pewno był kurwą — pomyślał, ale zaraz wstał. Nie znosił chorobliwie, aby mu cośkolwiek ruszano w pokoju, i z tego powodu nie lubił sprzątań. Mówił: — Takie to porządki, że wszystko leży ułożone i niczego nie można znaleźć.

Więc skontrolował przede wszystkim dwie rzeczy, najbardziej narażone na niebezpieczeństwo: małą kolejkę, zabawkę dziecinną, która za naciśnięciem ukrytego w tapczanie guzika wyjeżdżała zza kotary i przywoziła papierosy i książki, i maszynę do pisania, czy mu przypadkiem Staszek czegoś nie zmajstrował przy niej. Najmniejszą zmianę pozycji pamiętał dokładnie.

Nagle zauważył, że dochodzi siódma, godzina spotkania z Jankiem. Poszedł na rytualne miejsce, na pewien niepozorny róg dwóch ulic. Mieli nastawione zegarki dokładnie na tę samą godzinę i byli bardzo punktualni. Emil przychodził zwykle o pięć minut wcześniej i czekał.

Przechodziły koło niego kobiety i, jak komety, ciągnęły za sobą smugi zapachów. Z daleka zapalono lampy semaforów kolei elektrycznej, która pęzła po drutach: fosforujący pająk.

Dziesięć po siódmej. Poczul strach. Mężczyźni krążyli koło prostytutek, jak tokujące gołębie; śmieszne. Zaczął przełykać ślinę i zapatrzył się na chwilę.

Ich przyjaźń. Nie nazywali tego przyjaźnią, nie nazywali tego wcale. I mieli rację. Bo pewnych rzeczy nie należy nazywać. Wszelkie nazwy będą fałszywe. „Większa część naszych cierpień psychicznych pochodzi stąd, że umiemy je nazwać i opisać” — pomyślał Emil.

Mieli piętnaście lat. Chodzili do jednego gimnazjum, do różnych oddziałów tej samej klasy. Padał deszcz, gdy wyszli ze szkoły. Schowali się na centralnej pocztce, w dużej hali. Z teczkami pod pachą, rozmawiali o przeczytanych książkach. Gdy mówili o Rollandzie⁴¹, Janek zapytał:

— Czy chcesz, aby było między nami tak, jak między Oliverem i Krzysztofem⁴²?

Skinął głową. To było wszystko, co na ten temat powiedzieli.

Gdy deszcz minął, poszli po raz pierwszy do Emila do domu. Tam Janek zobaczył fortepian i zapytał (głos miał kobiecy, przypominający głos skrzypiec zza ściany):

— Czy grasz?

— Trochę.

— Co?

Przyjaźń

Muzyka

⁴¹Rolland, Romain (1866–1944) — francuski pisarz, autor m.in. 10-tomowej powieści rzeki *Jan Krzysztof* (1904–1912); nagrodzony literacką Nagrodą Nobla (1915). [przypis edytorski]

⁴²Oliver i Krzysztof — w powieści *Jan Krzysztof* poeta Olivier Jeannin był przyjacielem muzyka Jana Krzysztofa Kraffa. [przypis edytorski]

— Teraz ćwiczę mazurek Chopina.

— Mógłbyś zagrać?

Zagrał go. W punktach kulminacyjnych robił *diminuenda*⁴³, co było jego nowym odkryciem.

— Czy ja też mogę zagrać?

— Grasz?

— Tak.

Podszedł do fortepianu dziwnie miękko. Powiedział:

— Mazurek Cis-moll — i zagrał go tonem Edwina Fischera⁴⁴, rozpoczynającego fugę Bacha, całkiem prosto, egzotycznie, niemal wstrząsająco. Wtem otworzyły się drzwi i weszła matka Emila, mówiąc:

— Jak ładnie grasz dzisiaj. Co się...

Troje zaczerwienili się z całkiem różnych powodów.

— Pozwól, mamó, to jest mój kolega.

Potem kłótnie, przypominające sceny małżeńskie. Tylko na tematy teoretyczne. Wybuchala z nich wtedy nienawiść. Nie ukrywali jej, ale nie mogli odejść od siebie, aby nienawiść minęła. Nie widzieli, jak ją powstrzymać. Ona wciąż rosła, jak ziarno fakira, aż do punktu, kiedy w jednym z nich załamywała się, a wtedy równocześnie załamywała się i w drugim. Czasem (zdarzało się to bardzo rzadko) jeden z nich przełamywał pierścień nienawiści i uciekał z niejasnymi uczuciami, bo nie wiedział, czy odchodzi jako pogniwany. Była to tylko gra przed tym drugim i sobą zarazem, komedia nieunikniona i podniecająca. I jeden szedł zazwyczaj tak wolno, żeby drugi mógł go dogonić. Wtedy następowała ulga tak głęboka, że robiła wrażenie zapadania się, znikania, zlewania się z otoczeniem, nieistnienia.

Kłótnia

Janek przyszedł pewnego razu z miną, która oznaczała „coś się stało”.

— Przyrzeknij mi, że się nic nie zmieni, myślę... między nami.

— Przyrzekam. Co się stało?

— Wstydzę się powiedzieć, ale to jest coś takiego, co może mieć wpływ.

— Lubisz kogoś?

— Ale skąd...

— Nie ma innej rady, jak powiedzieć?

— Nie ma.

— No, to powiedz.

— Ale nie będziesz się ze mnie śmiał? Zmieniam głos.

— W jaki sposób?

— Byłem u lekarza i powiedział, że będę mówił nisko... może nawet basem.

— Co to znaczy? Nic nie rozumiem.

— Byłem u lekarza i powiedział, że mam normalnie rozwinięte struny głosowe i z jakichś tam powodów psychicznych mówię falsetem. Tobie się podobał ten głos... Żeby do niego trzy razy w tygodniu przychodził i robił ćwiczenia, to za dwa tygodnie będę mówił basem.

Milczeli obaj. Wydało im się to naprawdę tragiczne, więc Janek mówił dalej drżącym głosem:

— Będziemy musieli przez dwa tygodnie przestać się spotykać, a potem z nowym głosem...

Emil połykał ciągle ślinę. Połykał więc ślinę z powodu tego przeszłego już zdarzenia, ze zdenerwowania i z powodu tego, że była już 7.30. Janek nie przyszedł na spotkanie pierwszy raz od trzech lat.

Postanowił iść do niego. Otworzyła mu pani, którą nazywali ciotką Emilią.

— Czy jest w domu?

— Nie, ale...

Nie słuchał jej.

⁴³*diminuendo* a. *decrescendo* (wł., muz.) — stopniowe zmniejszanie dynamiki (głośności dźwięków) we fragmencie utworu muzycznego. [przypis edytorski]

⁴⁴*Fischer, Edwin* (1886–1960) — wybitny szwajcarski pianista i dyrygent, wsławiony gł. z wykonaniami dzieł Bacha i Beethovena. [przypis edytorski]

W pokoju Janka kasztan wsadzał głowę przez okno. Było ciemno i nie zapalił światła. Zaledwie można było rozróżnić zarysy dzbanka i miski na wodę. Prawie całe miejsce zajmował długi fortepian, o którym Emil wiedział, że jest ciężki w uderzeniu. W kącie stało składane łóżko. Stołu nie było.

Była to godzina przedwieczorna, milcząca, nieruchoma. Kasztan zaczął z wolna wydzielać swój nocny zapach. Wsadził głowę między jego liście, i to mu przyniosło ulgę, bo męczył się bardzo.

Radio grało z daleka na pełnym głośniku łzawy szlagier, ohydnie sentymentalny. Otarł się — jak kot — o melodię, poniżającą dla niego; otarł się właśnie dlatego, że była poniżająca. (Jak kot ociera grzbiet o nogi albo krzesło). Potem zanurzył się w nią całkiem.

Wtem poczuł, że coś się niedostrzegalnie zmieniło w nim albo poza nim. Obrócił się. Janek. Otarli się o siebie milcząco policzkami i Emil poczuł bardzo lekki zapach perfum. Usiedli razem na łóżku i oparli głowy o ścianę. Siedzieli tak i nie myśleli o niczym. Emil miał wrażenie, jakby go prąd czasu wyrzucił na brzeg i płynął dalej, omijając go, i on był poza czasem. Leżał na brzegu w spokoju, nie istniejąc wcale, w spokoju, który da się określić tylko przez wiele negacji. W końcu:

— Dlaczego nie przyszedłeś?

— Bo mi nie dałeś znać, że przyjeżdżasz.

— Depesza.

— Nie było mnie cały dzień w domu. Depesza pewno gdzieś tu leży.

Pauza.

— Niespodzianka...?

Janek wstał powoli i podszedł zgarbiony do fortepianu, dziwnie miękko, jak wtedy, przed trzema laty. Usiadł.

Była to pieśń Schuberta *Gretchen am Spinnrade*⁴⁵. Zaczynała się niespokojnym akompaniamentem, niepodobnym do żadnego kołowrotka świata, naśladowującym jednak kołowrotek. Między jego tony wkradła się sama pieśń, oddalona od akompaniamentu w sam raz, ani za dużo, ani za mało, chwiejąca się na nieskończenie wąskiej linii, która była idealnym oddaleniem, piano, płynęła wolno, jak struga gęstego płynu o barwie fioletowej, raz jaśniejącej na chwilę niebiesko, raz przechodzącej w granat, prawie czarny, śpiewająca o tym, skąd nie ma powrotu — to się wiedziało na pewno — śpiewająca, że „już nigdy” i „na zawsze”, słowa, od których się cierpnie.

Była to pieśń niesamowita, zawarta jedynie między piano⁴⁶ a forte⁴⁷, zostawiająca po sobie smugę nienasycenia, niesamowita, ale nie wprost, lecz jakąś drogą okólną trafiającą w samo jądro niepokoju. I nigdy nie została zepsuta żadną tercją⁴⁸ czy kwartą, nigdy nie próbowano wzmocnić tonu przez oktawę. Ciągnęła się samotna i naga. Gdy zakończyła się tym, co było jej początkiem, został jeszcze kołowrotek, jednostajny, aż zahaczył się o coś i on. I stanął nagle, tak jak musi stawać serce.

Skończył i pokój był przesycony zapachem kasztana. Milczeli. Trzeba było rozbić ciszę, tak stężała. Potem:

— Czyja to transkrypcja?

— To właściwie wcale nie jest transkrypcja. To jest oryginał, zrobiony z możliwie najmniejszą ilością zmian, na fortepian. Chciałbym dojść do tego, by móc sobie pozwolić tym zakończyć koncert. Nie po wirtuozowsku... Przypominasz sobie to miejsce po „Kuss”⁴⁹? Jest zrobione nieco inaczej. Poza tym w niektórych miejscach akompaniament o tyle tylko...

Emil dziwił się, że Janek tyle mówi. Był zgorzsony. Powiedział:

— Chodźmy.

Było po deszczu, parowała rozmokła ziemia, w parku ławki już wysychały. Mimo wszystko od Janka pachniało lekko jakimś obcym zapachem. Trzymali się za ręce. Emil

⁴⁵ *Gretchen am Spinnrade* — *Małgorzata przy kołowrotku*, pieśń Schuberta z 1814 do fragmentu tekstu z dramatu *Faust* Goethego. [przypis edytorski]

⁴⁶ *piano* (wł., muz.) — cicho, delikatnie. [przypis edytorski]

⁴⁷ *forte* (wł., muz.) — mocno, głośno. [przypis edytorski]

⁴⁸ *tercja*, *kwarta* (...) *oktawa* (muz.) — nazwy interwałów muzycznych pomiędzy dwoma dźwiękami. [przypis edytorski]

⁴⁹ *Kuss* (niem.) — pocałunek. [przypis edytorski]

nie odczuwał tego z żadną jeszcze kobietą: tego prądu, idącego przez rękę, jakby coś najważniejszego w nim przechylało się na tę stronę.

Wałęsali się, milcząc, wśród olbrzymich cieni drzew, czasem prążkowanych światłami, w ciemni, ubitej przez pary ludzi, którzy się tu przychodzili kochać. Oczy im się rozszerzały, brązowe oczy Emila i niebieskie Janka. Mówili szeptem, bo wieczorem w parku nie mówi się głośno; każdy rozumie, że tego robić nie wolno. Coraz to nowe fale ciemności opadały na nich, jak czarny śnieg; wolno prószyla ciemność.

Krążyli w poszukiwaniu miejsca, aż znaleźli placyk w kształcie koła, obrośniętego dookoła krzakami, na którym w dzień bawiły się dzieci. Ławki były poustawiane w regularnych odstępach, było ich kilkanaście. Obrócone tyłem, na każdej ławce siedziały zarysy mężczyzny i kobiety. Niektórych ławek nie było widać. Wtem ktoś zapalił papierosa i zobaczyli wolną ławkę, jedyną wolną, jakby na nich czekała. Zaczerwienili się. Podeszli do niej i poczuli obaj ostry zapach, jaki wydziela podniecona kobieta. Usiedli i ławka była jeszcze ciepła. Usiedli przodem do wnętrza koła, na złość. Delikatnie ocierali się o siebie policzkami i Emil poczuł, że jest teraz cały w policzku. Potem Janek go pocałował w szyję, a raczej musnął ją delikatnie wargami. I uciekł twarzą, jakby przestraszony, i w ruchu tym była kokieteria. Emil przemknął mu wargami tuż koło ust. Tak to trwało może kwadrans: nie całując się, dotykali się nawzajem wargami. Nie mogło być chyba subtelniejszej radości dotyku; ich naskórki unosiły się w powietrzu, oderwane od ciała.

Janek myślał:

— Jestem nadzwyczajny również dlatego, że potrafię sobie przeczyć w poglądach i uczynkach, pozostając konsekwentnym.

Emil myślał:

— Można od tego zdechnąć. (Sformułowanie nadchodziło o wiele później, o ile w ogóle nadchodziło).

W końcu dali temu spokój. Emil odczuwał strach i opór przed posuwaniem się dalej, Janek — ani strachu, ani oporu. Po prostu przestał dlatego, że Emil przestał.

Siedzieli milcząc, zanurzeni w zapachu kobiety, która stąd odeszła. Emil zaczął wydobywać pomału historię swoich wakacji, ale zauważył, że Janek jest zmęczony. Potem próbował mówić o Russellu⁵⁰ i nazwał go Chrystusem intelektualizmu, ale Janek był coraz bardziej zmęczony, i wtedy sam, znużony, opadł.

Komary latały dookoła nich. Drzewa były bardzo wysokie. Siegały aż do luny nad miastem.

Wstali. Gdy znaleźli się w rytualnym miejscu, w którym żegnali się zawsze, podali sobie ręce. Oddalali się teraz w przeciwnych kierunkach i wciąż obracali głowy za siebie i patrzyli na siebie. To było też rytualne.

Gdy Emil znikł za rogiem, zaczął biec i biegł tak aż do domu. Odczuwał niezrozumiały niepokój i wiedział, że jutro albo pojutrze zrozumie go. Tak było zawsze. Myślał zbyt wolno i dlatego był szczęśliwy, że umie pisać. Udawały mu się czasem cięte odpowiedzi, ponieważ dużo czytał. Ale nie mógł prowadzić rozmowy, której przedtem nie obmyślił szczegółowo. Dlatego w towarzystwie częściej milczał, rzadziej zaś mówił: krótkie, przemyślane i mądre na ogół rzeczy. (To było wtedy, gdy mu nie zależało na tym, by go miano za idiotę). Tylko z Jankiem mógł sobie pozwolić na improwizowanie, na podejmowanie i kończenie myśli powstałych przed paru godzinami.

Więc biegł aż do domu i wydawało mu się, że wyładował w tym biegu niewiadome. Ale w domu okazało się, że tak nie jest.

Gdy wszedł do swego pokoju, zastał kurę na zimno, chleb z masłem i dwie pomarańcze. Poczuł, że jest bardzo głodny, kurę złapał rękami i ręce mu się trzęsły, gdy obierał pomarańcze. Potem położył ołówek i papier przed sobą, co nie było jego zwyczajem. Wiedział, że musi coś napisać, ale myśli jego krążyły dokoła miejsca, którego nie widział; czuł opór i strach, jak wtedy w parku, z Jankiem. Gdy się rozbierał, ciskał swoją garderobę szczególnie daleko, po różnych częściach pokoju. A potem położył się i patrzył uporczywie w sufit, przez który było widać gwiazdy.

⁵⁰Russell, Bernard (1872–1970) — brytyjski filozof, matematyk i logik, a także działacz polityczny i społeczny, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1950); jeden z najbardziej aktywnych intelektualistów swoich czasów, liberał, socjalista i pacyfista; krytykował tradycyjną moralność w zakresie życia rodzinnego i seksualności. [przypis edytorski]

Myśli przechodziły koło niego, jak duchy. Jedna stanęła nad jego łóżkiem i pochyliła się. Rozmowa o pewnej młodej wiolonczelistce, która miała właśnie mieć koncert.

Janek powiedział:

— To będzie strasznie trudne do zniesienia, gdy ona będzie miała taki duży instrument między nogami.

Teofil, który był hrabią, po serii nerwowych tików zapytał:

— Jaki ona tam instrument będzie miała?

— Wiolonczelę.

— Co to jest?

Janek wykonał kilka ruchów, oznaczających poruszenia smyczkiem i mogących, od biedy, oznaczać co innego, bo nie bardzo wypadły.

— Więc po co panowie tam idziecie?

Wiolonczelistka była ładna i grała tak, że to nie przeszkadzało na nią patrzeć. Zresztą Emil myślał o czymś innym. To, co zobaczył, poza śmiesznością jej pozycji, było dziwne i poniosło go.

Obejmowała całym ciałem łagodnie wygięty instrument, którego szyja leżała na jej ramieniu; obejmowała go nogami, ruchami rąk. Kołysała się wraz z nim, poddająca się melodiom, które wychodziły z niego, które wywoływała. Musiała czuć dotyk rączki wiolonczeli na policzku. Było to dziwne, podobne do czegoś, co widział, co było ładne i niepokojąco dwuznaczne: *Łabędź i Leda*⁵¹ Leonarda.

W nocy miał sen. Długimi korytarzami gonił nagą kobietę. Odległość między nimi nie zmniejszała się. Zaczynał odczuwać znużenie. Ona znalazła się w korytarzu bez wyjścia. Myśli: „Nareszcie mam ją”. Ona klęka. Cały czas jest obrócona do niego plecami, dlatego nie widać, czy śmieje się, czy płacze. Nagle strach i boi się do niej podejść. Wtem on odwraca głowę. Ma twarz Janka.

MAŁY EMIL

Emil nie lubił przymusu. Wietrzył go wszędzie i gdy mu się tylko zdawało, że go czuje — wierzył jak koń. Wykraczało to daleko poza to, co się nazywa nieposłuszeństwem.

Najczęściej, gdy mu nie dawano spokoju, wchodził pod łóżko i trzeba go było stamtąd wyciągać laską ojca. W krańcowym wypadku zamykał się w klozecie, i mama, i kucharka namawiały go godzinami, by zechciał wyjść. Ale on wiedział, że jeśli wyjdzie, to go zbiją, i że im dłużej siedzi, tym bardziej go będą bili. Wtedy oglądał na ścianach magiczne znaki i obrazy, którymi, jak ludzie pierwotni jaskinie, pokrywał klozet, i gryzł palce ze złości, strachu i zdenerwowania. W końcu mówił:

— Mamo...

— No co?

— Jeśli ja wyjdę, to nie zbijesz mnie?

— Nie. (Wiedział, że to nieprawda).

— Na pewno?

— Na pewno. (Wiedział, że to nieprawda).

— I nie pójde jutro do szkoły?

— Nie pójdziesz. (Wiedział, że to nieprawda).

I nie otwierał.

Za drzwiami matka krzyczała. On czekał, aż przyjdzie ojciec, pan z długą brodą i niebieskimi oczami, który nie pozwalał go bić, ale interesował się nim zbyt mało.

I zdarzyło się raz, gdy miał siedem lat i był w drugiej klasie, że ojciec wyjechał do Paryża na zjazd bakteriologów. Siedział w klozecie już od szesnastu godzin, gdy wyważono drzwi; siedział w kącie, na ziemi, błady, ze zlepionymi włosami opadającymi na czoło. Nie poruszał się, gdy weszła matka, pokojówka Janka i stróż Antoni. I nie zbito go wtedy po raz pierwszy, bo matka zobaczyła jego półobłąkane oczy, między opadającymi włosami, jak oczy zwierzęcia między liśćmi.

⁵¹„Łabędź i Leda” Leonarda — *Leda z łabędziem*, obraz Leonarda da Vinci ilustrujący mitologiczną opowieść o żonie króla Sparty uwiedzonej przez Zeusa, który przybrał postać łabędzia; dzieło zaginione w XVII w., znane ze szkiców i kopii. [przypis edytorski]

Muzyka, Erotyzm

Sen

Dziecko

Bona⁵² zaprowadziła go do łóżka. Leżał w półmroku, bo bał się ciemności. Lubił widzieć zarysy mebli, bo były punktem zaczepienia. W ciemności czuł się jak w dużej wodzie i bał się zanurzyć w sen. Trzymał się kurczowo świadomości. Wydawało mu się, że gdy ją straci, umrze. Czuwając tak, patrzył na mlecznobiałe okno i widział na nim olbrzymią nienawiść do matki i strach o nią.

I zabijał matkę wiele razy wszystkimi kuchennymi nożami, jakie pamiętał: począwszy od tego do krajania mięsa, a skończywszy na małym do obierania owoców; i siekierą od węgla też. Potem wstał, była już dwunasta, i poszedł w długiej, białej koszuli do jej sypialni. Ona już spała, a on słuchał, czy oddycha, czy nie umarła. Zobaczył, że żyje, i poczuł nagle, że jest zmęczony.

Powoli znikł — jedyny i straszny — obowiązek i przymus czuwania, który sprawiał, że źle sypiał po nocach. Sen wypełził cicho z boku jak czarny, miękki wąż.

Drgnął jeszcze raz.

„Czy ja jeszcze myślę?”

Myślał o wspaniałych lokomotywach, które odjeżdżają. Potem usnął.

Gdy ojciec przyjechał z Paryża, zaprowadzono Emila do pewnego młodego docenta neurologa, który nie był głupi.

Lekarz rozmawiał najpierw z matką, a Emil siedział w poczekalni i miał tremę.

Czekanie przyprawiało go zawsze o lekki ból brzucha i potrzebę oddania moczu. Gdy pewien wujcio robił przed nim stracha i mruczając, zbliżał się powoli do niego, nie znosił tego zbliżania się. Podbiegał do tego, kogo się bał, aby już szybko był z tym koniec. I zrobiłby to samo, gdyby nawet wiedział, że to jest śmierć (zresztą w tym czasie uważał, że jest nieśmiertelny). Tu tkwiło źródło jego przyszłej niemożności czekania, gdy umawiał się z kobietami, i przymus zbliżania się do tych, na które czekał.

Po chwili mama siedziała w poczekalni, a Emil na dużym fotelu przed panem o przezroczyстых oczach i wąskich ustach. Pan trzymał papierosa pomiędzy długimi palcami i patrzył w okno.

— Czy wiesz, dlaczego cię mama tu przyprowadziła?

— Pan jest doktor i ja nie jestem chory.

— Nie jesteś chory. Ale czasem doktorzy pomagają dzieciom i matkom, gdy matki mówią, że dzieci nie są grzeczne i gdy dzieci nie umieją być grzeczne.

Neurolog zgasił papierosa.

— Nie chcesz chodzić do szkoły, prawda?

— Nie chcę.

— Czy bawisz się z chłopcami w parku?

— Czasem.

— Bawisz się w zbója i policjanta?

— Bawię się.

— Kim lubisz być, zbójem czy policjantem?

— Lubię być policjantem... ale jestem zbójem.

— W co się bawisz jeszcze?

— W kolej. U nas w domu.

— Z kim?

— Sam albo z Fredkiem. Główna stacja jest koło pieca.

Emil zaczerwienił się, bo uważał, że powiedział to niepotrzebnie. Mając lat siedem, czuł już, jak należy postępować z lekarzami.

— Czy jesteś silniejszy niż ci chłopcy, z którymi się bawisz?

— Fredek jest słabszy.

— Twoja mamusia powiedziała, że nie będzie cię więcej biła. Mamusia jest nerwowa i robi czasem takie rzeczy, których nie chce robić. Ty robisz zresztą to samo. Wiesz o tym i wiesz też, że ona cię kocha.

Emil nie odpowiedział.

— Czy w szkole jest ci przyjemnie?

— Nie.

— Dlaczego?

⁵²bona (daw.) — wychowawczynie małych dzieci w zamożnych rodzinach. [przypis edytorski]

— Bo muszę...

— Co musisz?

— Tam chodzić.

— Wcale nie musisz chodzić do szkoły, ale gdy ci wytłumaczę, zrozumiesz, że tak trzeba i że tak jest dobrze. I będziesz sam chciał.

— Jak ja zrozumieć, to będę musiał. Nie chcę rozumieć... i nie chcę musieć... i chcieć też nie.

— A gdy się bawisz?

— Samo się bawi. Jak chcę i muszę, to nie mogę.

Teraz neurolog po raz pierwszy popatrzył na Emila. Opuścił powoli swoje przezroczyste oczy i jego usta stały się jeszcze bardziej wąskie. Przypomniał sobie dwa nazwiska: Ludwig Klages i Theodor Lessing⁵³. Podszedł do dużego fotela obitego skórą. Emil był tak mały, że poręcz fotela sięgała dużo wyżej niż jego głowa. Dlatego neurologowi było nieco trudno pogłaskać go po głowie.

W tym czasie Emil był zakochany w pewnej dziewczynce, z którą chodził do szkoły i która nazywała się Zosia. Na pauzie bawiono się w zabawę, podczas której kawalerowie wybierali sobie damy. I Emil nigdy nie wybierał Zosi.

Po południu, przy zestawianiu pociągu, gdzie wagonami były pudełka, zdarzało się, że oglądali sobie z Fredkiem jądra i obmacywali poślądki. Mieli czerwone uszy i byli nie bardzo przytomni. Zawsze jednak słyszeli, jak nadchodziła bona.

Fredek umiał się dobrze bawić, ale był godny pogardy. Nie umiał zatrzymać moczu i zanim zdołano cośkolwiek zrobić, miał mokre majtki. Bona biła go za to bardzo, ale to nie pomagało. W takich chwilach Emil patrzył z uwagą na jego twarz, tak jak patrzył na glisty w parku. Widział, jak marszczy mu się czoło, jak kąciki ust opadają w dół, jak zaczyna płakać. Wtedy bona biła Fredka, trzymając go za kołnierz, i mruczała z pasją.

— Nie rycz, bo cię zatłukę.

Fredek zwisał jak worek. To było bardzo przyjemne i interesujące.

Pewnego razu w szkole, gdy Zosia nie napisała zadania, a nauczycielka zaczęła krzyczeć, zdarzyło się Zosi coś podobnego jak Fredkowi. Dzieci udawały, że nie wiedzą, o co chodzi, tylko jeden Lolo, dureń, powiedział na głos:

— O, leje się coś.

Emil zbladł prawie tak bardzo, jak wtedy w klozecie, zrobiło mu się niedobrze. Pani wyprowadziła Zosię na korytarz; za chwilę Emil wyszedł na podwórze i wymiotował długo pod pięknym kasztanem.

W trzecim oddziale⁵⁴, w rok później, zaszło pewne zdarzenie, które zadecydowało w pewnym sensie o przyszłości Emila.

Temat zadania szkolnego: „Opisać wycieczkę”.

Przez piętnaście minut Emil nie wiedział, co pisać (bo nie był nigdy na wycieczce), i myślał o różnych rzeczach, które nie miały związku ze szkołą: o zagryzaniu kur; o kimś, kto gonił go w ciemnym przedpokoju, i czy to był sen, czy nie; o morzu i o tym, jak rozumiał, że wiatr wiejący z boku w żagle może pchać okręt naprzód (to wytłumaczył mu ojciec). Postanowił pisać o morzu, o jechaniu okrętem, bo uważał, że to też była wycieczka. Pisał: „...albatrosy wrzeszczały i leciały pod niebem, wieczorem gwiazdy podnosiły się i opadały i niebo się kiwało”. Wtedy przebiegł go dreszczyk, jak mała mysz, wzdłuż kręgosłupa. Nacisnęło mu coś lekko oddech i serce, zęby zaczęły mu szczekać.

Widział dokładnie i pamiętał dokładnie, jak kolysał się okręt, jak ojciec mu tłumaczył:

⁵³Ludwig Klages i Theodor Lessing — Ludwig Klages (1872–1956), niem. filozof, psycholog i grafolog oraz Theodor Lessing (1872–1933), niem. filozof pochodzenia żydowskiego, zamordowany przez sympatyków nazizmu, na podstawie wypowiedzi Nietzschego rozwinęli filozofię życia: antyintelektualną i antycywilizacyjną, największą wartość przypisującą „duchowi”, spontaniczności i biologicznej sprawności. [przypis edytorski]

⁵⁴oddział (daw.) — klasa w szkole podstawowej. [przypis edytorski]

— To zdaje się tak, widzisz, że księżyc jest raz z jednej strony, raz z drugiej strony masztu, lecz się nie porusza, przynajmniej porusza się dużo wolniej.

Ale na złość sobie i temu, co wiedział — a było to wspanialsze niż odkrycie możliwości manewrowania żaglami — dopisał: „Niebo wahało się i niebo kiwało się”.

Na drugi dzień tak zwana pani przyniosła poprawione zadania i powiedziała:

— Emil, masz swój zeszyt. Albatrosy nie wrzeszczą, i to nie jest ładne wyrażenie. A niebo nie może się kiwać.

Emil patrzył na nią i był czerwony. Mruknął:

— No, to co?

Wtedy ona też poczerwieniała i przestała mówić. Wczoraj czytała po raz pierwszy Rimbauda⁵⁵ *Statek pijany* i Verlaine'a⁵⁶ *Pieśń jesienną*. Została nauczycielką niedawno i starała się jeszcze rozumieć pewne rzeczy. Dlatego dodała:

— A może odpisałeś? Może słyszałeś, jak czytał ktoś coś podobnego? Byłoby ładnie, gdybyś pamiętał.

To było nieoczekiwane. Coraz więcej gorąca napływało mu do twarzy i zasłaniało oczy. Zdawało mu się, że ma głowę zanurzoną we krwi.

Lolo szepnął cicho do Zosi:

— Słyszysz, jak on zgrzyta zębami? Mój brat też tak robi w nocy.

Emil miał o trzy lata młodszego brata. Pewnego razu ojciec zawołał go i powiedział:

— Wiesz Emil, będziesz miał brata albo siostrę.

— Kiedy?

— Dziś albo jutro.

— A kiedy ją będę widział?

— Za kilka dni.

Wtedy Emil poszedł do klozetu i zaczął się modlić.

Ponieważ chciał mieć brata, a był głęboko przeświadczony o przewrotności Pana Boga, mówił:

— Panie Boże, ja chcę, żeby była siostrzyczka. Nie brat. Panie Boże itd. — tak Go zaklinał i prosił. Potem zrobił w ścianie dziurę gwoździem na znak tego zdarzenia.

Cała ta historia nie obchodziłaby go teraz, gdyby nie musiał chodzić z boną tego małego i trzymać wózków ręką. To chodzenie na spacer było jeszcze nudniejsze niż siedzenie w domu. Nuda drażniła go jak wiercenie zęba u dentysty, zjadała go i męczyła. Była w nim otchłań nudy i senności, niezaspokojonej, przerosłej samoobserwacji, która jak głodne zwierzę szukała zdarzeń, aby je pożreć.

— Mamo, co ja będę robił? — gdy go ubierano w paletko.

— Pójdiesz się bawić.

— W co?

— W klasy... W co chcesz...

— Z kim? Ja nie lubię w klasy...

— A czego ty chcesz?

— Ja nie wiem, mnie się nudzi.

W szkole dostawał wymiotów, w domu chodził po pokojach, wykręcał się od robienia zadań, od lekcji gry na fortepianie, od lekcji francuskiego. Bolała go głowa i oczy. Czasem nalewał wody do wanny i robił okręty z papieru. Częściej bawił się w kolej, bo pociągi, które odjeżdżają, które zabierają ludzi, które znikają, były niepokojące i pociągające.

Gdy mały Staszek zostawał w domu i on miał iść z Polą na spacer, matka dawała mu pieniądze na peronówkę⁵⁷ i szedł na dworzec. Stał na peronie, oglądał ruch i przyjazdy, oglądał spoczone lokomotywy.

⁵⁵Rimbaud, (Jean) Arthur (1854–1891) — francuski poeta, zaliczany do tzw. poetów wyklętych, wybitny przedstawiciel symbolizmu. [przypis edytorski]

⁵⁶Verlaine, Paul (1844–1896) — francuski poeta, zaliczany do tzw. poetów wyklętych, wybitny przedstawiciel symbolizmu. W latach 1871–1873 w burzliwym związku z młodym poetą A. Rimbaud, dla którego porzucił żonę i syna. [przypis edytorski]

⁵⁷peronówka (pot.) — bilet peronowy, uprawniający do przebywania na peronie, ale bez prawa podróży koleją. [przypis edytorski]

Przed snem zaglądał pod łóżko, czy tam ktoś nie leży. W nocy sypiał źle, uczepiony myślenia: świadomości, która była śmiesznym, lekko świecącym korkiem, pływającym w olbrzymiej ciemnej wodzie, rozpruwającym, jak dziób statku, niewiadome i czarne morze, zamykające się znów, natychmiast i wciąż na nowo, w tyle, za śrubą. W końcu zanurzał się z zaciśniętymi zębami w sen i przepływał w nim na drugą stronę nocy, jak w czólnie.

W tym czasie czytał już książki. Przeszedł szybko przez Verne'a i Maya do powieści kryminalnych. Potem czytał Londona. Kochał Indian, detektywów, włamywaczy i psy. Ale nie chciano mu kupić psa, a zmartwienie i poczucie nieszczęścia z tego powodu były większe niż to, które by miał jego ojciec, gdyby stracił katedrę na uniwersytecie. Zwariowany chodził za psami na ulicy, całował je i lizał. Mówił do nich pieszczotliwie i władczo, jak do Pana Boga:

— Mój kochany, mój kiciuniu, chodź do mnie, już w tej chwili, chodź, przyjdź do mnie, miły — tak mówił do pewnego małego i czarnego.

To było świństwo, że mu nie kupiono psa.

W tym mniej więcej czasie przyszedł po raz pierwszy niewołany do ojca, do gabinetu. Wszedł tam na palcach, mimo że ojciec miał na uszach słuchawki radiowe, pod słuchawkami filcowe poduszeczki, pod poduszeczkami watę, zanurzoną w oliwie. To wszystko po to, aby nic nie słyszeć. Stał przy mikroskopie, na biurku leżał stos otwartych książek. Poczul, że ktoś wszedł. Po chwili zdjął słuchawki z uszu i był zdziwiony... Potem wyjął watę.

Emil zaczął dyplomatycznie:

— Zdaje się, że ty jesteś mądry.

— Zdaje się, że umiem niektóre rzeczy.

— Więc czy ja mogę się o coś zapytać?

— Możesz.

I zaproponował, po wielu omówieniach, stworzenie Instytutu Badania Trzasków Nocnych, które jego zdaniem „są, a nie powinny być”.

Ojciec jego Filip nie był już młody, gdy Emil się urodził, i teraz miał siwą brodę, jak Miecznikow, Pasteur, Ehrlich, Wassermann i Nicolle⁵⁸. Był w życiu bardzo zajęty kobietami i zagadnieniem przemiany gatunków bakterii. Popatrzył na Emila z wielkim zdziwieniem. Potem powiedział:

— Pogadamy o tym dokładnie wieczorem. Chcesz, pokażę ci teraz króliki.

Wziął Emila za rękę i poszli powoli przez korytarz, na którego końcu była pracownia: tam przebywały króliki, szczury i myszy. Ojciec wziął jednego za uszy.

— Patrz, teraz mu wbiję igłę do serca. To go będzie trochę tylko bolało. Potem znów będzie zdrowy. Przytrzymaj mu nogi.

I gdy igła doszła do serca, królik zrobił zdziwioną minę, przestał się poruszać i strzykawka napełniła się krwią.

Gdy Emil miał lat jedenaście, wrzeszczące albatrosy i kołyszące się niebo spały, ukryte głęboko, a Emil pisał powieść miłosno-kryminalną o Billu i Ellen, ze sceną miłosną pod latarnią, sceną, którą uważał za świętą. Fredek, który specjalizował się w układaniu rebusów, podziwiał go i codziennie przepisywał na czysto pięć stron. Pismo Emila było zupełnie nieczytelne, a gdyby nawet było inne, toby mu się nie chciało przepisywać. Było to za panowania kucharki Stefani II, która była pierwszą i jedyłą czytelniczką powieści. Z początku, a może i potem też, nie chciała wierzyć, że Emil jest jej autorem, dopominała się jednak co wieczór o dalszy ciąg. Mniej więcej o jedenastej wieczorem Emil przynosił ciąg dalszy. Stefania czytała na głos wolno i uroczyście. Gdy dochodziła do scen miłosnych, ściszała głos, robiła głupkowate miny, patrzyła spod oka na Emila, który przybierał nic

⁵⁸Miecznikow, Pasteur, Ehrlich, Wassermann i Nicolle — słynni mikrobiolodzy XIX w. i I. poł. XX w. [przypis edytorski]

niewiedzący wyraz twarzy.

Na następny dzień Fredek pytał:

— No i co? Czytała? I co mówiła?

W tymże czasie wyrzucono Emila ze szkoły za opowiadanie nieprzyzwoitych dowcipów. Pewien chłopiec wygadał wszystko matce, matka poszła do dyrektora i wtedy zawołano Emila do kancelarii. Tam spisano protokolarnie wszystkie dowcipy, z wszystkimi nieprzyzwoitymi wyrazami, i trzech głównych winowajców podpisało protokół. Emilowi z trudnością przyszło wypowiedzianie pewnych słów w obecności dyrektora i wychowawcy klasy.

Emil przestał chodzić do szkoły, mimo że dzięki wpływom ojca mógł do niej powrócić. Uparł się i powiedział, że nie chce widzieć tego kretyna, dyrektora. Filip był też o dyrektora tego samego zdania, ale mama przeprowadziła rewizję wśród rzeczy Emila (była ładna, nerwowa, nierozsądna i dumna) i znalazła ową powieść, którą spalono nie mniej uroczysto niż dużo wcześniej dzieła Giordana Bruna⁵⁹.

Filip chciał mieć spokój i dlatego nie wtrącał się do tych wszystkich spraw, mimo że Emil na niego liczył. Natomiast pewnego razu, w pracowni przy królikach, powiedział:

— Możesz wiedzieć, co chcesz, ale jest jeszcze niestety zbyt wielu idiotów, aby można było mówić wszystko, co się myśli. A ty nic sobie z tego nie rób.

Ale Emila długo jeszcze męczyły sprawy wywleczone z niego na widok publiczny, jak u rzeźnika, w jatce, flaki, i wszyscy mogli widzieć i macać to, co było jego własnością, którą rozdzielał według uznania i chęci.

I czuł się tak osaczony, że korzystał częściej niż zwykle z dwóch miejsc, w których był bezpieczny: z klozetu i łóżka.

Klozet był miejscem tradycyjnym, rytualnym i samotnym: kąpiel dla psa, gdy chce zjeść swoją kość, miniaturowa klinika popsutych lalek, ojczyzna jedenastoletniego pustelnika. Można by na jego ścianach odcyfrować całe dzieciństwo Emila, zeszkrobując delikatnie farbę i pokost, docierając do coraz to głębszych warstw tynku. Spały tam daty ważnych zdarzeń, rysunki anatomiczne, tytuły przeczytanych książek.

Łóżko — sen, śmierć, miłość, narodziny... zwłaszcza gdy się może koldrę naciągnąć na głowę.

Przyszły noce, kiedy ciemność zaczęła się żarzyć, kiedy mówił do siebie i zażądał od siebie:

— Ja chcę dziewczynę, ja chcę dziewczynę, daj mi, daj już. Albo Jankę, co nosi krótkie suknie, albo Helę, co nie nosi stanika.

(To były kuzynki: styl jego monologu nie zmienił się od czasu przemówień do Boga i do psów).

Słowa opadały na noc jak na gorącą blachę, ciemniały, kruszyły się, i w końcu zostawał z nich popiół. Znajdował tylko swoje ręce i swoje nogi.

Burza nadchodziła powoli, nadciągała z głębi jego dwunastu lat, które dojrzewały, pęczniały, zaokrąślały się, jak wolno nadymana piłka nożna; i pękły.

Przeczytał *Jana Krzysztofa*, który uderzył w niego, dźwięczał w nim długo, rezonował, potem zaczął się staczać w dół, jak lawina, pociągając za sobą niepokój, obłąkane sny.

I stało się, że pewnej nocy runęli bogowie, już dawno nadpsuci i nadgnili, tak że jego przerażenia nie powodował sam fakt upadku, lecz to, że odbył się on z tak małym hałasem. Została po nich w jego świecie duża wyrwa i olbrzymia pustka, i zobaczył, że jest sam wszechwiedzący, samotnie wszechwiedzący, silny i słaby, zawieszony jak gwiazda w próżni.

Szczękając zębami, wyszedł z łóżka i chodził po pokoju, który wydawał mu się nowym światem, tym samym, a jednak zupełnie innym.

Zobaczył, że nie jest sobą, że coś obcego wdarło się w niego i że jest ich dwóch: on i on.

W strachu i wściekłości bełkotał:

⁵⁹ Bruno, Giordano (1548–1600) — włoski filozof przyrody, panteista, humanista; uznany za heretyka i spalony na stosie przez inkwizycję. [przypis edytorski]

— Tylko ja...?

— Tylko ty...?

Pomału podniosły głowę krzyczące albatrosy i kołyszące się niebo, i zobaczył swoją przeszłość, która posuwała go wolno, przymykając mu oczy, na to miejsce straszne i urzekające, na brzeg przepaści, gdzie stał po raz pierwszy twarzą w twarz z przestrzenią. I modlił się do Boga, którego nie było, i modlił się do siebie, nie wierząc, że to będzie jego przeznaczeniem.

Wyrwał dwie kartki z zeszytu i pisał:

„Postanawiam dużo o sobie wiedzieć. Chcę wiedzieć to, co będę przeżywał za dwa lata, to, co można w ogóle przeżywać. Nie chcę tracić czasu na przeżywanie tego, co zostało opisane. Chcę poznać się, wiedzieć z góry jakie... i robić takie rzeczy (przekreślone wyrazy), czuć takie rzeczy.

Nie chcę tracić czasu, chcę zyskać na czasie przez wiedzenie o tym, co może być”.

Rozpoznał w nocy swoje mieszkanie, idąc boso wzdłuż korytarza, w stronę królików. Tam, grzebiąc długo w ciemności, znalazł flaszkę z eterem i wrócił do łóżka. Nalał eteru na chustkę i wdychał go powoli.

Ciało jego unosiła woda, wokół krążyły gwiazdy.

JOANNA II

».....

Ten drugi pojechał na wakacje. J. został sam, więc miałam łatwą robotę. Z początku był bardzo nieśmiały, ale już przy trzecim spotkaniu zażądał, aby mu pokazywać figury. W pierwszej chwili miałam ochotę powiedzieć mu »wynoś się«, ale potem, nie wiem sama dlaczego, pokazywałam mu różne.

Raz przyniósł fotografie porn. I zaproponował, abyśmy spróbowali naśladować. Właściwie zaczęło się od grania, bo u mnie w pokoju jest rozklekotane pianino. Ja się nie znam na muzyce, ale on gra b. dziwnie i ładnie się przy tym rusza. Nie wiem sama, czy ruchy, czy gra działają na mnie. Poza tym przy stosunku zachowuje się też dziwnie. W połowie przerywa i nie chce dalej, aż ja nie wykonam najdziwniejszej figury. Czasem mnie to b. boli.

Nie wiem, jak on mnie opętał, bo to nie jest ani bujanie się w nim, ani go nie kocham. Czasem przerywa, aby podejść do fortepianu. Nie wie, że dzięki temu mnie gra jego podnieca, bo mi przychodzi na myśl tamto. To jest błędne koło, z którego nie ma wyjścia.

Ostatnio już przychodzi ze mną tylko spać, a ja sobie przypominam, jak chciałam, żeby przychodził tylko po to. Ja myślałam, że to będzie tylko »na trzy dni«, a stało się inaczej. On przychodzi do mnie jak do kurwy. Sama nie wiem, co piszę, taka jestem ostatnio roztrzęsiona. Więc muszę powiedzieć, że traktuje mnie jak psa. Czym bardziej mnie tak traktuje, tym ja bardziej jestem gotowa więcej rzeczy dla niego zrobić.

Czasem obiecuję sobie, że go wyrzucę, że go w ogóle nie wpuszczę. Ale ani to, ani tamto.

Stosunek z nim nie sprawia mi ani połowy takiej przyjemności, jak z P. Nie wiem, dlaczego robię to wszystko, czego on chce.

Aha, muszę opisać, co działo się wczoraj. Mieliśmy normalny stosunek i J. miał dziwne oczy. W pokoju było ciemno, okiennice były zamknięte i J. nie kazał robić światła. Potem podszedł do lustra, aby się przyczesać, a ja zostałam na tapczanie. Był nagi. Jest b. brzydko zbudowany i chudy. Nie rozumiem, jak mogę się z tym pogodzić. I nagle z jego włosów zaczęły się sypać iskry aż na podłogę. Podszedł do mnie z miną czarnoksiężnika, dotknął mi sutki i też strzeliła iskra. Przestraszyłam się, wiem, że było jeszcze dużo iskier, zwłaszcza tam, gdzie są włosy, i jego niebieskie oczy wyglądały fioletowo. Potem zaczął gonić jak wariat dookoła stołu i wykrzykiwać coś i gdzie dotknął fotela albo jakiegoś sprzętu, tam wylatywała iskra. Potem siadł nagi przy fortepianie i zaczął grać. To zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Przerwał w połowie, a gdy ja spytałam, co to było, odpowiedział dwa słowa, z których zrozumiałam tylko pierwsze: Mefisto? Wyglądał naprawdę jak diabeł, gdy tak nago gonił po pok. Potem był zmęczony, położył się i zamknął oczy. Powiedział do mnie z zamkniętymi oczami: »Przynies swój pamiętnik. Ja nie jestem ciekawy, co tam jest, tylko...«. Nie pamiętam. Przyniosłam. Napisał: »Jan I, władca Joanny«. Powiedział: »Ma przyjechać mój kolega, muszę już iść«. Zapytałam go, który, czy ten Emil? Nie

odpowiedział i poszedł.

Ja w ogóle nie wiem, co on robi, jak żyje. Pewno kłamał. Nie wiem, co zrobić. Zabić go czy co? Spytałem małego k., w jaki sposób jest możliwe, żeby się iskry sypały z człowieka.

.....”

Komentarz: Mały k. to jest ojciec Emila. Dlatego nazywa się mały k., bo Joanna uważa, że jest podobny do kota.

Université Perverse

— Wtedy, kiedy ja przyjechałem, to było?

— Tak.

Emil czuł, że się dusi.

— I dlatego spóźniłeś się wtedy?

Janek patrzył niebieskimi, niewinnymi oczami. Milczenie pod ciśnieniem. Emil musiał głęboko oddychać co parę minut.

Powiedziano mu o tym, o czym już dawno wiedział; ale był oszołomiony, że tak było *na pewno*; a przepaść dzieli te dwa stopnie pewności.

— To musiało się tak skończyć.

— Wiem.

To było powiedziane głosem, który nie powstał w krtani; głosem brzuchomówcy. Myślał zawsze, że on „to” skończy, nie Janek.

— Ale dlaczego musiało być właśnie wtedy?

— Nie martwisz się, że było wtedy. Z całkiem innego powodu.

— Z jakiego?

— Nie gniewaj się, że będę przykry.

— Mów.

— Że ty nie możesz odgrywać tej roli, którą ja odgrywam.

— Nieprawda.

— Ja jeszcze nie skończyłem. Po prostu zmiana ról wytrąciła cię z równowagi. A ty byłeś raczej predestynowany⁶⁰ do mojej roli. Gdyby było odwrotnie, to mielibyśmy również zmartwienie, ale odpowiadające naszym poprzednim stosunkom; łagodne zmartwienie.

Ciśnienie ustępowało jak powietrze z dziurawego balonu. Obaj odetchnęli głęboko.

— Co teraz będzie?

Janek uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nic się nie zmieni. Będziemy się tak dalej spotykać jak dotychczas.

Oczywiście, że będą się spotykać, ale nie tak, jak dotychczas. To było skończone. Emil zaczął czarować, żeby choć odwrócić role.

Zachował dużo cech dziecińczych. Liczył tafle na chodniku. Bawił się, idąc ulicą, jak mu się nudziło, w kolejkę. (Sam był kolejką). Przechodząc wzdłuż sztachet, przejeżdżał po nich patykiem, co robiło hałas podobny do jadącego motocykla. Dawało mu to pewien nieskazon, świeży obraz świata, naturalnie, gdy chciał go użyć. (Suknia tej pani ma wysypkę — mówił, gdy widział suknię z wypukłym nieregularnym wzorem). Gdy był zdenerwowany, żuł liście. (Dostaniesz promienicy⁶¹ — ostrzegł go ojciec). Więc teraz żuł liście, bo był zdenerwowany.

— Co teraz będzie? — powtórzył. Po chwili: — Ja wiem, co teraz będzie. Dokładnie wiem. Ale nie chodzi o to. Ja pytam siebie, bo muszę się wewnętrznie urządzić jakoś i w żaden sposób nie mogę. Czy możesz mi coś powiedzieć o niej?

— Mogę. Ona jest miła i dość ładna kokotka. Ja się wobec niej czuję skrępowany i nieśmiały.

To kłamstwo — to była pokuta, a równocześnie przyjemność; nie uważał, żeby był nieśmiały wobec Joanny, a kłamanie sprawiało mu przyjemność. Zwłaszcza że tak długo mówił Emilowi prawdę. (Ale tylko jemu). Dzięki Joannie oswobodził się z ostatniego człowieka, który mu nie pozwalał być całkiem sobą. W nagłym przypiływie radości pocałował Emila w usta, i Emil pomyślał: „Do takich gestów jest się zdolnym tylko wtedy,

⁶⁰predestynowany — przeznaczony. [przypis edytorski]

⁶¹promienica — przewlekła choroba zakaźna, wywołwana wniknięciem bakterii promieniowców przez drobne zranienia jamy ustnej. [przypis edytorski]

gdy jest się już zupełnie obojętnym”. I nie miał racji. Obaj zaczerwienili się. Emil — bo wstydził się za Janka; Janek — bo wiedział, co myśli Emil.

— Pójdźmy już...

— Przecież powiedziałeś, że nie chcesz tam iść.

— Już chcę, mimo tego, że uważam to wszystko za rozpustę umysłową.

Emilowi sprawiło ulgę przeniesienie rozmowy na płaszczyznę teoretyczną.

— Rozpusta umysłowa jest potrzebna, aby wyładować irracjonalne części naszego intelektu.

Szli ulicą. Z otwartego okna było słycać radio. Melodia, jak ciężki, czarny ptak, wzbijała się z basów w górę na niespokojnych pasażach. I w tę melodię zatopił się smutek Emila, jak sztylet; dziwne, że nie została zabita.

— To jest sprzeczne samo w sobie.

— Ale która rzecz istniejąca nie jest sprzeczna sama w sobie?

— Może.... ale jestem zmęczony.

Mieszkanie Pawła. Emil nacisnął dzwonek i pomyślał, że będzie tam Adam o wielkiej kudłatej głowie, która chwiała się, gdy chodził. Wczoraj obserwował go na ulicy. Adam stał co chwile, jakby chodzenie przeszkadzało mu w myśleniu. Mówił do siebie, potem zgiął się komicznie, jak żaba gotująca się do skoku, jakby dostał uderzenie w dołek, i było widać, że się bardzo cieszył. Potem szedł dalej, potem znów zaczynało się wszystko od początku, potem otworzono drzwi.

Gdy weszli, jeszcze z przedpokoju usłyszeli Adama deklamującego:

W ponurej nocnej porze,
gdy wilki wyszły na żer,
jechał po bocznym torze
smutny, zwyczajny pasażer.

Gdy wilki w strasznym skowycie
gryzły bydlęce kości,
pasażer dojechał o świcie
do kresu swych możliwości.

Były tam dwie dziewczyny: kochanka Adama i Pola, która pozwalała na wszystko, tylko nie na „to”. Powitał ich śmiech: wszyscy byli trochę podchmieleni. Pola złapała Emila za rękę:

— Coś ci muszę powiedzieć. Wspaniałego.

Usiadł na fotelu, ona usiadła na poręczy.

— Co?

— Adam powiedział przy wszystkich na plaży: „Klalcu; luszyć cię w plecki...”. Miziali się tak długo. No, i co ty na to?

Emil pomyślał o nim: wielki, kudłaty łeb, czarne oczy proroka, ironiczny głos, cięty dowcip.

— Prawda, że się chce wymiotować?

Emil poruszył głowę w nieokreślonym kierunku. Pomyślał o Klarze: z lekka obskurna, o wydatnych piersiach. Tak, ten epizod był niesmaczny.

Poznali się w konserwatorium. Ona grała na skrzypkach nijako, on na fortepianie — najczęściej Bacha — ze wzruszającą, niezdarną uczuciowością. Była od niego o dwa lata starsza. Postanowiła, że się od niego nie odczepi.

Cała historia zaczęła się niewinnie. Ponieważ nie mieli odpowiedniego lokalu, kochali się na stole w konserwatorium po godzinach urzędowych. On nie robił z tego tajemnicy. Przeciwnie. Opowiadał szeroko o jej piersiach w swoich wykładach na Université Perverse⁶². (Ta instytucja została założona przez uczniów gimnazjum, do którego chodził Emil). Jego pół uczone, pół absurdałne wykłady, poparte cytatami z Platona, św. Tere-

⁶²Université Perverse (fr.) — zdeprawowany uniwersytet. [przypis edytorski]

sy⁶³, Havelock Ellisa⁶⁴, gestykulacją, nabrzmiałą do czerwoności twarzą, napuchniętymi żyłami na szyi i skroniach — wywoływały histeryczny śmiech. Ja, Leo, mam wielką ochotę przytoczyć tu jeden wykład, ale boję się. On też był pierwszym i ostatnim rektorem Uniwersytetu.

Czasem Paweł wykladał o nieistniejących stworzeniach, fałdach, których istotą jest — udowadniał — nicość. Dowód ten był odwróceniem jednego z dowodów istnienia Boga św. Tomasza z Akwinu. Emil wykladał spokojnie teorię absurdologii, jak zwykle — zbyt serio.

Tymczasem Adam wypróbował wszystkie pozy, opisane od czasów starokreteńskich do Magnusa Hirschfelda⁶⁵. I pomału pokochał swoją lubieżność, włożoną w Klarę. Zaczął przylepiać się do niej, zdrabniać jej imię, nazwy części ciała. Wkładał w nią swoją uniżoną czułość, z którą nie wiedział, co robić, a ponieważ była lepka, jak wszystkie jego uczucia — przykleiła się do niej.

— Prawda, że chce się wymiotować? — powtórzyła Pola.

Mrużyła silnie niebieskie, teraz prawie granatowe, oczy i opuszczała rzęsy wstydliwie i wszystkowiedząco, z uśmiezkim średniowiecznej kurtyzany.

Janek siedział przy fortepianie i improwizował utwór programowy pt. *Orgazm. Potem Sonatę Moczopędną*.

— Proces twórczości jest podobny do tworzenia się perły: najpierw musi być muszla zapłodniona ziarnkiem piasku...

— Zestawienie: twórczość — perła, wywołuje mdłości.

— Są takie słowa, wielokrotnie oślinione i śliskie, które należy brać do ust tylko przez opłatek cudzysłowu.

— „Opłatek cudzysłowu” należy wziąć w cudzysłów.

— Czy znacie tekst pieśni Schuberta *Der Tod und das Mädchen*⁶⁶? Jest dziwnie dwuznaczna. Dziewczyna mówi o śmierci „*lieber*”⁶⁷ i broni się tak, jakby się broniła przed kochankiem: „...*rühre mich nicht an*”⁶⁸: to „nie” dziewcząt. Śmierć już mówi całkiem pieszczotliwie: „*Gib deine Hand, du schön und zart Gebild!*”⁶⁹. A to jest przecież śmierć.

— Z moją skłonnością do pisania jest tak, jak z tubą pasty do zębów. W tej chwili jestem odprężony od wewnątrz i nic mnie nie naciska od zewnątrz: dlatego nic ze mnie nie wychodzi.

Mówili bezładnie. Emil podszedł do Adama.

— Co u ciebie słyhać, to znaczy — co czytasz?

— *Złotego osła*⁷⁰ i *Ars amatoria*⁷¹.

Adam czytał po łacinie i grecku tak, jak Emil T. Manna po niemiecku, a Manna⁷² tak swobodnie, jak Emil po polsku S. I. Witkiewicza *O pojęciu istnienia*⁷³. Z francuskim i angielskim nie było gorzej. To by było jeszcze do zniesienia, gdyby Adam był tylko fenomenem językowym.

⁶³św. Teresa z Ávili, właśc. *Teresa Sánchez de Cepeda y Ahumada* (1515–1582) — hiszpańska karmelitanka, znana z doświadczenia stanów mistycznych połączonych z ekstazą. [przypis edytorski]

⁶⁴Havelock Ellis, właśc. *Henry Havelock Ellis* (1859–1939) — brytyjski lekarz, jeden z twórców nowoczesnej seksuologii, autor *Studies in the Psychology of Sex* (Studium psychologii seksualnej, 1896), współautor *Sexual Inversion* (Inwersja seksualna, 1897), pierwszej angielskiej książki medycznej o homoseksualności. [przypis edytorski]

⁶⁵Hirschfeld, *Magnus* (1868–1935) — niemiecki lekarz, seksuolog, założyciel Instytutu Wiedzy Seksualnej w Berlinie, działacz ruchu na rzecz równouprawnienia homoseksualistów. [przypis edytorski]

⁶⁶*Der Tod und das Mädchen* — *Śmierć i dziewczyna*, pieśń skomponowana przez Schuberta do niemieckiego tekstu Matthiasa Claudiusa. [przypis edytorski]

⁶⁷*lieber* (niem.) — kochany. [przypis edytorski]

⁶⁸*rühre mich nicht an* (niem.) — nie dotykaj mnie. [przypis edytorski]

⁶⁹*Gib deine Hand, du schön und zart Gebild!* (niem.) — Daj mi swą dłoń, piękna i delikatna postaci. [przypis edytorski]

⁷⁰*Złoty osioł* — popularny tytuł fantastycznej, frywolnej powieści przygodowej *Metamorfozy*, rzymskiego pisarza Apulejusza (ok. 125–ok. 170). [przypis edytorski]

⁷¹*Ars amatoria* — *Sztuka kochania*, poemat rzym. poety Owidiusza. [przypis edytorski]

⁷²*Mann, Thomas* (1875–1955) — jeden z najwybitniejszych prozaików niemieckich XX w., laureat literackiej Nagrody Nobla (1929); jego najlepsze i najsłynniejsze dzieło to powieść *Czarodziejska góra* (1924). [przypis edytorski]

⁷³*O pojęciu istnienia* — właśc. *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia* (1935), podstawowe dzieło filozoficzne S. I. Witkiewicza. [przypis edytorski]

Opowiedzieli sobie kilka dowcipów, kilka plotek, nieco ciekawostek naukowych. O tym, że: istnieje wspólny chwyt logiczny do sformułowania teorii nieoznaczoności Heisenberga⁷⁴ i trudności introspekcji (Heisenberg: cząsteczka musi posiadać albo prędkość, albo zajmować pewne miejsce, lecz obu tych właściwości posiadać jednocześnie nie może; Emil i Adam: można albo obserwować, albo przeżywać, lecz jednocześnie obu tych czynności wykonywać nie można); w XVI wieku w Rzymie prostytutki musiały się przebierać za chłopców, aby mieć powodzenie; Lifar był z wizytą u obłąkanego Niżyńskiego i tańczył przed nim jak Salome przed Herodem albo jak Dawid przed Bogiem; Peter Lewis pisze ciekawe kompozycje jazzowe, które składają się z zupełnie abstrakcyjnej melodii i z podkładu niesamowicie synkopowanego⁷⁵; można rysować muzykę na taśmie dźwiękowej.

W końcu Adam powiedział szorstko i jakby od niechcenia:

— Jeśli moje wiadomości z filologii klasycznej będą ci potrzebne... albo streszczenia książek w językach, których dobrze nie znasz... służę.

Nie spotykali się często. Mieli dla siebie dziwną sympatię i szacunek — z daleka. Ale słuchali o sobie plotek z prawdziwą przyjemnością.

Emil powiedział do Janka:

— Chodźmy.

Pola, która to usłyszała:

— Idę też. Ale muszę się uczesać i zrobić.

— Co myślisz o tym, aby Polę wziąć na kolację? Ojciec lubi ładne dziewczęta.

— Co? O mnie?

Mówiła przez zęby, bo trzymała między nimi szpilki do włosów.

— Chcemy cię wziąć na kolację.

— Mmmmmmmmm....

Emil lubił patrzeć na szminkujące się i czeszące kobiety. Wyraz nateżonej do ostateczności uwagi, skupienia. Jakby chciały tę w lustrze zahipnotyzować. Równocześnie ulegają hipnozie tej z lustra. Zbliżają się do lustra, oddalają, robią wrażenie lunaticzek. I ich ruchy powolne, prawie obrzędowe: czesanie brwi, czesanie rzęs. I głos nieobecny, roztargnione: — Tak. Tak. Nie. Nie. Jakby miały zemdleć. Potem nagle przebudzenie.

— Gotowe — zawołała Pola. Na ulicy:

— Do jakiej restauracji idziemy?

— Do mnie do domu.

— Ja nie chcę. Ja boję się twojego taty. On ma takie niebieskie, porcelanowe oczy i tak dziwnie patrzy. Pewnie pożera dziewczęta.

W domu. Matka Emila czuła się źle i leżała w łóżku, Staszek był na meczu (oświetlony lampami łukowymi stadion), Filip miał niedługo nadejść z pracowni.

Siedzieli we troje wokół staromodnego, dębowego stołu. Obowiązkowych dwanaście krzeseł. Pola, zdenerwowana i ciekawa, paplała ze sztuczną swobodą; Jankowi dzwonił w uszach rozklekotany fortepian Joanny i jego własny dawny głos, który zadał cierpienie Emilowi (jak bardzo był dumny wtedy...); Emil starał się sobie wyobrazić, jak to będzie bez Janka.

Nadszedł Filip, przywitał się z Polą, mruknął do Janka:

— No, cóż? — i usiadł.

Nie przeniósł się jeszcze na płaszczyznę kolacji i myśli jego były zajęte zarazkami, które nie zatrzymują się na żadnym filtrze, a które można zobaczyć przy pomocy ultramikroskopu (widzi się te najmniejsze w postaci nieróżnicowanej masy) albo ich nie zobaczyć i że wielkość ich równa się wielkości pewnych drobin, że tu właśnie leży problem życia,

⁷⁴teoria nieoznaczoności Heisenberga — popr.: zasada nieoznaczoności (a. nieokreśloności), sformułowana w 1927 przez niem. fizyka Wernera Heisenberga, będąca konsekwencją dualizmu korpuskularno-falowego; Heisenberg: cząsteczka musi posiadać albo prędkość, albo zajmować pewne miejsce, lecz obu tych właściwości posiadać jednocześnie nie może: faktyczny sens zasady nieoznaczoności jest inny: nie można z dowolną dokładnością wyznaczyć jednocześnie położenia oraz pędu cząstki. Im dokładniej mierzy się położenie, tym mniej dokładnie można określić pęd i odwrotnie, gdyż akt pomiaru jednej z tych wielkości wpływa na drugą. [przypis edytorski]

⁷⁵synkopowanie (muz.) — zaburzanie naturalnego rytmu w toku utworu przez przesuwanie akcentu metrycznego na dźwięk nieakcentowany, wykorzystywane jako środek stylistyczny w muzyce jazzowej i bluesie. [przypis edytorski]

powiedzmy benzen C_6H_6 , na fotografii ultramikroskopowej widać tak ładnie wzajemne położenie atomów w drobinie, których odległość wynosi, zdaje się... zdaje się... 1,39 angstromów⁷⁶, powiedzmy białko mięśni, myosin⁷⁷, którego wzajemne położenie atomów i grup można ustalić za pomocą dyfrakcji promieni Roentgena, i czyby się to nie dało tak zrobić, żeby sikało cząstkami bakterii jak rad w komorze Wilsona⁷⁸.

Filip miał pomysły bardzo dziecinne i bardzo poważne, co nie jest, jakby się wydawało, tak bardzo różne.

Siadał pomału, gdy nagle odczuł nienawiść wobec pokojówki Józki. W tej chwili Pola zobaczyła i usłyszała, jak wałnął pięścią w stół i zaraz potem wstał i wyszedł z pokoju. Emil zaczął się śmiać histerycznie, Janek zdziwił się, a Pola zbladła. Emil obmacał wszystkie krzesła, na których wierzchu siedziała skóra, a w środku mieszkały sprężyny. Wybrał jedno i zamienił z krzesłem ojca.

— Pokojówka pomyliła się i zapomniała dać ojcu jedyne miękkie krzesło. U wszystkich coś szwankuje. Ja nie odczuwam różnicy, ale prawdopodobnie z wiekiem zaczyna się ją odczuwać. Jutro będzie pie...

W tej chwili wszedł Filip zupełnie tak, jakby wchodził po raz pierwszy. Przywitał się z Polą, mruknął do Janka: — No, cóż? — i usiadł.

Pomyłka pokojówki sprowadziła Filipa już zupełnie na płaszczyznę kolacji i niecierpliwie czekał na swój kleik. (Musiał być na diecie). Ponieważ żona uważała na niego bardzo i nie pozwalała mu jeść tego, co chciał, musiał uciekać do jedyne miejsca niekontrolowanego — do kasy ogniотrwalej. Po kleiku szedł zwykle do laboratorium, wyjmował dużego śledzia i chleb, i jadł. Od trzydziestu lat nie kupował sobie nic do jedzenia i jeszcze teraz czerwienił się mocno, gdy mówił w sklepie:

— Proszę mi dać trzy śledzie.

Był tak zatopiony w myślach o śledziu, że Janek, który był komunistą, musiał kilka razy powtarzać:

— Jakie jest pana stanowisko?

— Wobec czego?

— Wobec socjalizmu, komunizmu, anarchizmu i tak dalej.

— Ja się na tym nie znam.

— Ale musi pan przecież wobec decydujących i zasadniczych spraw zająć jakieś stanowisko. Czy wie pan, że ten, kto nie z nami, ten przeciw nam?

Filip zrobił się czerwony i dusił się z oburzenia.

— To jedno z najbardziej barbarzyńskich i irracjonalnych haseł, jakie znam. A już w tak zwanym dwudziestym wieku... Zaraz wytłumaczę.

Gdy odsapnął i uspokoił się:

— Jeśli ja, powiedzmy, zadam ci pytanie, co myślisz o stosunku teorii falowej do teorii molekularnej światła, to odpowiesz mi całkiem słusznie, że nic nie myślisz, bo się na tym nie znasz. Otóż problemy, które każesz mi rozstrzygać, są dużo bardziej skomplikowane, ponieważ dotyczą ludzi. Ludzi, rozumiesz? A stosunki między ludźmi komplikują się szybciej niż nauka o tych stosunkach. Mam tu, naturalnie, na myśli stosunki społeczne, chociaż nie tylko... Wydaje się, że dzieje ludzkości coraz to bardziej przypominają historię ucznia czarnoksiężskiego.

Oświadczam: Ja — się — na tym — nie — znam. Jeszcze paręset lat temu mogłem nie być żołnierzem, jeśli mi nie płacono lub jeśli nie wiedziałem, o co się walczy; mogłem nie mieć swoich poglądów na formę rządu, jeśli uważałem za stosowne ich nie mieć. Dziś zdarza się coraz częściej, że pod groźbą utraty stanowiska, majątku czy życia muszę oświadczyć koniecznie, że kocham tego, nienawidzę tamtego. Nie wolno mi powiedzieć: — Powieście się, ja chcę żyć. Nie wiem, który z danych mi do wyboru domów wariatów bardziej mi odpowiada. Muszę wiedzieć to, czego nie mogę wiedzieć. Ale może wojna,

Polityka

⁷⁶angstrom — jednostka długości używana do wyrażania bardzo małych rozmiarów i odległości, równa 1/10 nanometra, tj. jednej dziesięciomilionowej milimetra. [przypis edytorski]

⁷⁷myosin (ang.) — miozyna, białko będące gł. składnikiem kurczliwych włókien w mięśniach. [przypis edytorski]

⁷⁸komora Wilsona (fiz.) — urządzenie do rejestracji promieniowania jonizującego zaprojektowane przez szkockiego fizyka Charlesa Wilsona w 1911, uhonorowanego za tę metodę Nagrodą Nobla (1927). [przypis edytorski]

która nadchodzi, przyniesie tu jakieś zmiany na lepsze...

— To, co pan mówi, jest bardzo logiczne, ale w swojej logiczności... absurdalne. Istnieją problemy, które domagają się szybkiej interwencji, które się musi rozstrzygnąć nawet w wypadku, gdy się nie jest pewnym, czy rozwiązanie jest bezwzględnie właściwe.

Proszę sobie wyobrazić, że jest chory, który umrze, jeśli się czegoś nie postanowi. Robi pan wtedy to, co ma największe prawdopodobieństwo powodzenia. Nie mamy czasu czekać na wyniki laboratoryjnej socjologii czy ekonomii. Życie przechodzi nam ponad głowami.

— Powtarzam: Niech polityką zajmują się przynajmniej specjaliści. Przy łóżku twojego chorego siedział lekarz, a nie na przykład architekt. A ponieważ specjalistów takich, i to specjalistów w pełnym znaczeniu tego słowa, albo dotąd nie ma wcale, albo też nie są dopuszczani do rządów, niech się więc bawią w to nadal magicy i kupcy. Im za to płacą, niech się grzebią w gównie. Ja nie muszę im w tym pomagać.

— A jeśli system rządzenia zacznie wkraczać w pańskie osobiste życie? Jeśli powiedzą: „Pańska książka nie może ukazać się w ustroju A, lecz może się za to ukazać w ustroju B”.

— Wtedy odpowiem, że wolę ustrój B, ze względu na moją książkę. A ponieważ jest to dla mnie sprawa wielkiej wagi, jestem gotów zrezygnować z korzyści, jakie daje ustrój A. Robię po prostu bilans.

— Więc przyznaje pan, że w praktyce musi się uczynić wybór?

— Jest się *zmuszonym*.

— Ja też tak myślę — powiedziała Pola.

— No, muszę iść do swojej roboty — powiedział Filip i poszedł do swojego śledzia.

— Ja twojego starego bardzo lubię, i to jest w swoim rodzaju morowy typ. On by chciał, żebyśmy czekali tysiąc lat. Ale swoją drogą nie będzie źle, gdy takie nieuspołecznione jednostki będą już należały tylko do zabytków.

— Może. Ale swoją drogą sprawa jest diablo skomplikowana. Bo przedmiot nauki, teren, na którym ma być zastosowana, i jednostki badające — są tym samym.

— A mnie się podobało to, co on mówił, a najbardziej zdanie: „Stosunki między ludźmi komplikują się szybciej niż nauka o tych stosunkach”.

— Uwaga, Pola zaczyna myśleć.

Filip jadł śledzia i mruczając deklamował wiersze: najpierw fragmenty *Żab* Arystofanesa⁷⁹, potem *Remedia Amoris*⁸⁰, potem koniec pierwszej części *Fausta*⁸¹, potem *Bołotnyj popik*⁸² Błoka, potem *Wielki Testament*⁸³ Villona, potem *La lune*⁸⁴ Musseta — wszystkie w oryginale i z komiczną dystynkcją... nagle coś sobie przypomniał. Zaczął mnożyć stałą *h* Plancka⁸⁵ przez jakąś inną liczbę i twarz mu poczerwieniała z wysiłku.

Emil był też nieprzytomny tego wieczoru. Siedział przy stole, jadł machinalnie leguminę, nie czując jej smaku, nie słyszał, co Janek mówił do Poli, i jego oczy były nieobecne. Pola musiała nim potrząsać, zanim oprzytomniał.

— Chcesz iść do kina na *Hôtel du Nord*⁸⁶?

— Nic nie chcę.

— On ma już na dzisiaj dosyć, daj mu spokój — powiedział Janek, uśmiechnął się niepewnie i poczerwieniał.

⁷⁹*Arystofanes* (ok. 445–ok. 385 p.n.e.) — grecki komediopisarz, najwybitniejszy z twórców komedii starożytnej. [przypis edytorski]

⁸⁰*Remedia Amoris* — *Lekarstwa na miłość*, poemat dydaktyczny rzymskiego poety Owidiusza, napisany w 2 r. n.e. [przypis edytorski]

⁸¹*Faust* — obszerny, dwuczęściowy dramat niemieckiego poety i dramaturga Johanna Wolfganga von Goethego, napisany w latach 1773–1832. [przypis edytorski]

⁸²*Bołotnyj popik* (*Болотный поник*) — wiersz wybitnego rosyjskiego poety Aleksandra Błoka, napisany w 1905. [przypis edytorski]

⁸³*Wielki Testament* — obszerny poemat dygresyjny przeplatany balladami, napisany przez francuskiego poetę François Villona, ukończony w 1462. [przypis edytorski]

⁸⁴*La lune* — właśc. *Ballade à la lune* (*Ballada do księżycy*), wiersz francuskiego poety, dramaturga i prozaika Alfreda de Musseta [przypis edytorski]

⁸⁵*stała Plancka* (*fiz.*) — jedna z podstawowych stałych fizycznych, charakterystyczna dla mechaniki kwantowej, oznaczana literą *h*. [przypis edytorski]

⁸⁶*Hôtel du Nord* — francuski melodramat Marcela Carné z 1938 r. [przypis edytorski]

PROLOG

Czarna burza stoi na zachodzie. Nieruchoma: coś z Golema⁸⁷. Cisza zawisła między wodą a niebem.

Burza

Palce Ewy sypią iskry w oczekiwaniu, oczy jej są nieruchome. Cisza nakrywa ją, jak dzwon.

Odetchnęło niebo głęboko, jak człowiek mówiący „nareszcie”, i wtedy wiatr zerwał się z uwięzi i unosił mewy i jastrzębie, jak liście, i ciskał je o wodę, i ciskał je o ziemię.

„Kraby wyrzucą morze, ryby rozbijają głowy o skały, delfiny uciekają w głąb, co robią meduzy?”

Wtem błyskawica rozpruła chmury, jak nóż pierzynę, i obnażyła ich macice z ognia. I stało się.

Marynarz w gumowym płaszczu i gumowych butach zniósł ją półutopioną z mola na brzeg.

DZIECIŃSTWO EWY

Ewa jako sześćoletnia dziewczynka była brzydka i chuda. Same tylko oczy. Bawiła się z zasmarkanymi dziewczynkami na ulicy, bez względu na porę roku. W zimie przychodziła z ulicy z nogami posiniaczonymi i odmrożonymi. Bawiła się też z zasmarkanymi gówniarzami. Owi zasmarkańcy rysowali na płotach olbrzymie genitalia obojga płci. W ten sposób dostawała pierwsze lekcje anatomii.

Dzieciństwo

Gówniarz 1, Gówniarz 2, Gówniarz 3 (szczególnie zasmarkany), Ewa.

G. 1. — Bawmy się w srólki⁸⁸.

G. 2. — (turla się przez całą długość jezdni w śniegu. Wygląda jak bałwan ze śniegu).

G. 1. — (głośniejsze) Bawmy się, no, no, no.

Ewa — Bawmy się.

G. 3. — (szczególnie zasmarkany. Opiera się o płot i patrzy w niebo).

G. 2. — (wstając) Co...?

(Potem przebiega jezdnię, siada na ziemi, wyjmując srólki).

Ewa i G. 1. (siadają też).

G. 3. (marzycielskim tonem) — Róbmy ślizgawkę.

G. 1. (przez chwilę zastanawia się, ale gdy G. 2. rzuca srólki, bawi się. Na zmianę chodzą wszyscy troje na miejsce rzutów; na czterech nogach).

G. 3. (szczególnie zasmarkany) — Róbmy bałwana. (Ale nikt go nie słucha).

G. 2. (zrywa się nagle, turla się po śniegu).

G. 1. (do Ewy) — To jest pięć.

Ewa — Nieprawda.

G. 1. — To jest pięć.

Ewa — Nieprawda, nieprawda.

G. 2. (wraca i zabiera srólki).

G. 1. — Jeszcze nie koniec.

G. 2. (przypomina sobie, że to jeszcze nie koniec).

Ewa (ma szklany wzrok i patrzy daleko).

G. 1. (korzystając z tego, rzuca jeszcze dwie srólki).

Ewa (przypomina, widzi dwie srólki, krzyczy) — To jest nieważne, to jest nieważne, ja byłam gdzie indziej.

G. 3. (poważnym tonem) — Ona była gdzie indziej.

(G. 1. i G. 2. patrzą na G. 3. W końcu G. 2. chowa srólki do kieszeni i turla się po śniegu).

G. 1. — Bawmy się w ślizgawkę.

G. 3. (szczególnie zasmarkany, patrzy w niebo).

G. 3. — Ja coś mam.

Wszyscy (doskakują do niego) — Powiedz, powiedz.

G. 3. (milczy)

⁸⁷*Golem* — w legendzie żydowskiej ulepiony z gliny bezduszny olbrzym, ożywiony magicznym słowem. [przypis edytorski]

⁸⁸*srólki* (daw., pot.) — zabawa dziecięca, polegająca układaniu na otwartej dłoni kilku kamyków, a następnie ich podrzucaniu tak, by złapać jak najwięcej. [przypis edytorski]

Wszyscy — Powiedz.

G. 3. (sięga do kieszeni i wśród ciszy nadmuchuje starą prezerwatywę).

Więc gówniarze rysowali genitalia na parkanach, a zwłaszcza na tym, gdzie był dwuznaczny napis: „Skład mąk”. Poza tym Ewa (*vide*⁸⁹ powyżej) miewała chwile duchowej nieobecności, zamyślenia, kiedy nie wiedziała, co się do niej mówi. Te chwile nazywała „mnie nie było tu” lub podobnie. Chodziła namiętnie do kina i nazajutrz miewała takie stany. Wykręcała się, jak tylko mogła, od szkoły i od robienia lekcji, na ulicę, gdzie było zawsze coś interesującego. Była taka mała, mimo swoich teraz już ośmiu lat, że znalazł się pewien dorosły pan, może zwyrodnialec, a prędzej taki typ jak Emil, który obnosił ją — zamkniętą w walizce — po ulicy. Miała otwory w tej walizce, żeby się nie udusiła. Sprawiało jej to dużą przyjemność. No, i po co miała siedzieć w domu?

Ojciec i matka siedzieli jeszcze wówczas w sklepie, nie miał kto na nią uważać. Tłukli i pieścili ją oboje na przemian; na złość sobie nawzajem. Przychodziła do domu, kiedy chciała, zazwyczaj taka umorusana, że matka nie mogła jej się doprać. Patrzyła na wystawy, z nosem i wargami przyklejonymi do szyby, a zwłaszcza przed kinami, przed wystawami fotosów. Już wtedy, gdy lekko przymykała oczy, przesuwają jej się przed oczami sceny, których nigdy nie widziała przedtem.

Gdy miała lat dziesięć i pół, zaonanzowała na śmierć psa. (Po kryjomu).

Gdy miała lat jedenaście, nastąpiła w niej gwałtowna zmiana. Zaczęła się nienormalnie szorować, i to jej zostało. Zależało jej na tym, aby była czysto ubrana. Pewnego dnia przyszła do klasy i zrobiła awanturę, że „...tu śmierdzi pierdzeniem i gównem, bo nikt sobie nie podciera”. Matka była przerażona. Musiano ją przenieść do innej szkoły, bo w starej szkole „śmierdzi, śmierdzi”.

W tym czasie mniej więcej dostała pierwszej miesiączki.

Zaczęła się bardzo dobrze uczyć, i to uczyć całymi wieczorami. Tymczasem rodzice bogacili się gwałtownie, ale nie chcieli się wyprowadzić, bo się już przyzwyczaili i ponieważ uważali zgodnie (!), że powodzenie jest związane z miejscem. Mieszkali więc nadal w dwóch i pół pokojach, gdzie było obskurnie. Wtedy właśnie zaprzyjaźniła się z kuzynką Joanną, starszą o siedem lat. Przyjaźń polegała na tym, że tamta opowiadała smarkatej swoje miłosne historie, co się zdarza częściej, niż można by przypuszczać.

W tym właśnie czasie zdarzyła się Ewie niezrozumiała przygoda, która jej się jeszcze w przyszłości kilka razy powtórzy. Zaczepił ją na ulicy pewien pan, który zaproponował, aby pojechała z nim na wycieczkę rowerem, za miasto. Pan ten miał duże czerwone ręce, owłosione, ochryple głos, od którego dreszcz przechodził jej po kręgosłupie. Był poza tym w najwyższym stopniu wstrętny. Odpowiedziała: „Dobrze”. „Kiedy?” „W niedzielę”.

Wyglądała wtedy tak: cierpiała na zanik nosa na perkato. Wystające kości policzkowe, usta prawie murzyńskie, cera krostowata, nogi za grube w kostkach, co jej również zostało.

Nie była nieświadoma tego, na co się naraża. Znała aż za dużo historyjek z małymi dziewczynkami. Cały czas do niedzieli udawała przed sobą, jakby się nic nie stało, jakby w ogóle ani myślała pójść. I w niedzielę, jak lunatyczka, poszła.

Miał może czterdzieści lat. Gdy ją przywitał, nie miał już ochryplego głosu i cały czar znikł. Była zbyt nieśmiała, aby nie pojechać. Wziął ją na ramię i pojechali. Za miastem odbyło się wszystko według programu. Pan zaczął ją z lekka ruszać i całować, ale był to widać początkujący pan. Ugryzła go w rękę i uciekła pieszo do miasta.

Gdy miała lat dwanaście, nauczyła się gwizdać. Zaczęła się też walka o suknie i pokój. Zwłaszcza o osobny pokój. Robiła awantury z wyciem, mówiła, że musi go mieć do uczenia się (co było prawdą), głodowała i siedziała w domu, aby rodzice nie myśleli, że je poza domem. Gdy widziała po roku, że nic nie pomaga, napisała list do matki, że popełnia samobójstwo. (Zamierzała pójść do kuzynki Joanny). Matka znalazła ją w stanie „ja byłam gdzie indziej” nad morzem, pod skałą. Dostała pokój. Urządzała go cały rok: wszystkie pieniądze wydawała na maskotki — same koty, tylko jedna małpa.

Dostała rower. Miała piętnaście lat. Koleżanki, wychodząc ze szkoły, uciekały przed autami. Ona zatrzymywała je przez podniesienie ręki i — nie śpiesząc się — przechodziła na drugą stronę jezdni. Niektórzy szoferzy znali ją już.

⁸⁹*vide* (lac.) — zobacz. [przypis edytorski]

Ze zdziwieniem zauważyła, że w jej domu mieszka dwóch starszych chłopców. Uczyli się na ganku, gdzie cuchnęło, ale oni nie zauważali tego. Mieszkali tam pięć lat przed narodzeniem Ewy. O piętro niżej. Odkąd ich w ogóle zauważyła, zaczęła popiół i śmiecie zrzucać im na głowę. Zrzucała ruchami nonszalanckimi: królowna rzuca perły w morze. Na żadne wołania, wrzaski nie zwracała uwagi. Tak, jakby ich w ogóle nie słyszała. Może ich nie słyszała naprawdę. Raz jeden z nich złapał ją na schodach i spytał:

— Dlaczego to robisz?

— Bo jesteście brzydzy. Dlatego. Prawda, Liza? — spytała siostrę.

Chłopak był tak zdziwiony, że zapomniał ją sprać.

Miała piętnaście lat. Lubiła o zachodzie słońca i po zachodzie jeździć wokół domu, na bulwary; jechała wtedy najwolniej, że rower prawie stawał, patrzyła przed siebie, na most kolejowy, który powoli zatapiał się w ciemność, za most, i wracała do domu, gdzie nie było nikogo, cesała się wolno, lubiła się cesać, przebierała się wolno, wychodziła przez okno, i znów na rowerze krążyła, jak ćma wokół żarówki, wokół niepokoju, wokół tajemnicy, wchodziła przez okno, wychodziła... Rzadko koleżanki, czasem chłopcy, z którymi całowała się bez przyjemności; i bardzo miękkie włosy, i skóra Marokanki, miękkie ciemne włosy, które czuła, jak powiewają na wietrze. Gdy przymykała oczy, a nawet gdy ich nie przymykała: Idzie pies, do psa dorabiała panią, w długiej sukni, jaką noszono w szesnastym wieku, znosiła most kolejowy, bo jej przeszkadzał, przestrzeń była wolna, nie było mostu, wyrastały szuwary, pani trzymała na złotej smyczy psa, przedziera się między szuwarami, nagle staje. Pani rozstawia nogi, jak krowa, pani robi pipi, pipi wylizuje natychmiast pies, ona patrzy na to z namiętną uwagą. W końcu obraz zaczyna wirować, już znikł. I tym podobne.

Aha, jeszcze jej stosunek do morza. Nigdy nie nauczyła się pływać, ponieważ jak tylko wchodziła do wody, robiła się biała i zielona. Natomiast miała swoje ulubione miejsce nad morzem, pod pewną skałą, gdzie był mech, i mogła tam siedzieć całymi godzinami.

Poza tym była normalną dziewczynką.

W CIENIU SOKRATESA

Gdy było ładnie, Ewę budził ryk trzydziestoletniego chłopczyka, który się nazywał Józio; zazwyczaj o szóstej. Przez okno było widać, jak Józio siedzi na trójnożnym stołku i wystawia twarz do słońca. To był kretynek, niedorozwinięty, ślina sączyła mu się z kącików ust, duża głowa chwiała mu się jak wahadło od zegara. Potem skrobał się w łydki (nosił krótkie spodenki).

Ewa spała zawsze na wznak, z głową odrzuconą w tył, bez poduszki, z prawą ręką założoną pod głowę. Była to pozycja częściowo odpowiadająca jej charakterowi, częściowo świadomie i rozmyślnie utrzymywana: chciała być prosta i udawało się to jej. Nie spała *nigdy* skurczona, nigdy na boku. Gdy była chora, leżała na brzuchu, rozkrzyżowana; czasem, gdy miała miesiączkę.

Chociaż bardzo lubiła leżeć w łóżku, wstawała od razu i buch do łazienki. Zimna woda była codziennym potwierdzeniem jej „chcę”. (Jej „chcę” to było bardzo dużo; jej „nie chcę” jeszcze więcej). Naga pod tuszem. Nieco chorobliwie dokładne mycie genitaliów. Przegląd przed lustrem: „Urosłam, nogi w kostkach nie zmieniają się chyba, mogę nosić obcisły sweter, czy zacząć malować wargi?”. Wraca do pokoju. Potem budzi młodszą siostrę Lizę:

— Wstawaj do szkoły!

Tamta jest ciężka i śpiąca.

Józio zamyka oczy i beczy. Ewa staje przy oknie. Do mamy Józia przychodzą codziennie gówniarze. Drażnią ją. Pytają:

— Józio idzie do szkoły? Czy Józio dziś idzie do szkoły?

Mama zaczyna rzucać garnkami:

— On jest jeszcze za mały — krzyczy — mój Józio najmilszy.

To się powtarza.

Ewa wkłada mechanicznie dziecinny pierścionek z małym czerwonym kamyczkiem i łańcuszek z serduszkami z korala. Otwiera okno; powietrze, zapach wilgotnej ziemi, wiatr znad rzeki.

Śniadanie z otwartym zeszytem: matematyka.

W sypialni wspinała awantura. Wolne crescendo. Mama coś wmawia ojcu. Łóżko trzeszczy, ma się wrażenie, że lada chwila pęknie. Sypialnia gotuje się.

„ $ax^2 - ax + 1...$ ona jest stara i gruba i on ją kocha. Na szczęście ja jestem podobna do niego”.

Ubiera się, bierze teczkę. Nagle blednie. Otwiera drzwi od sypialni i krzyczy autentycznym głosem przekupki:

— Stulić mordy!

Chwila ciszy. Oni rzucają się na nią. Ona jest już na schodach. Idzie do szkoły.

W gimnazjum uczyła się bardzo dobrze z tym samym uporem i nerwową przesadą, która cechowała jej mycie się. Z matematyką miała duże kłopoty. Zakuwała się do nieprzytomności. (Dosłownie: około wpół do dwunastej w nocy nie wiedziała już, co czyta, ale czytała dalej. O wpół do pierwszej zaczynała coś wiedzieć i kładła się spać).

Niedużą rolę grał tu fakt, że matematyki uczył młody profesor, o którym mówiła do koleżanek „ten smarkacz”. Absolutnie nie chciała, aby „on sobie coś myślał”.

Nauczycielki były jej mniej lub więcej obojętne, stary profesor łaciny był „słodki”. Miała dużo koleżanek, nie miała przyjaciółek. To znaczy nie miziała się z żadną. Te inne odwiedzały się nawzajem, leżały razem na kanapie, paplały całymi godzinami, oczy im błyszczały, uszy były czerwone, pokazywały sobie bieliznę, całowały się, pokazywały sobie piersi.

Ona nie znosiła dotyku. Było w tym dla niej coś przerażającego, wbijającego się w nią, w sam środek.

Umawiała się z różnymi chłopcami, dawała się czasami całować; bez przyjemności. Zaciągała ich na bulwary i oglądała prostytutki. Oni usiłowali prowadzić z nią rozmowy i udawało im się czasem objąć ją wpół. Na tym kończyło się. Zresztą w najbardziej nastrojowych momentach, gdy wieczorem siedzieli na ławce, a rzeka przepływała przed nimi, wyciągała szpillkę i kłuała nią chłopców w pośladek. Przez pewien czas udawali, że nic nie czują. Ona wybuchała głośnym śmiechem. Często przerywała rozmowę, mniej więcej w ten sposób:

— Słuchaj, opowiedz mi lepiej coś o prostytutkach. Przecież one chyba nie robią tego tylko dla forsy? Jesteś bałwan. Zresztą, wszystko jedno. Chcę wiedzieć, ile? Dokładnie. Rozumiem, że to zależy od kategorii, ale powiedz... Takie, co to nie chodzą po ulicy, co siedzą w domu. I czy to od jednego razu, czy za całą noc? Aha! I co to znaczy, że umieją?

Widok pociągów, które przejeżdżały z hukiem przez most, wywoływał w niej strach i niepokój. Jej życie biegło ostrymi, gwałtownymi skrętami. Po wybuchu śmiechu zaczynało się coś w niej: zegar, który przestał nagłe chodzić. Mówiła:

— Niepotrzebnie mówisz, że mnie lubisz. I tak nic nie czuję. Dosłownie nic. Jestem z drzewa. Słyszę i nic nie rozumiem... a raczej nic nie czuję.

Zdarzyło się, że na randce nie odezwała się przez godzinę ani słowem i odeszła bez pożegnania. I mało w tym było pozy.

Wracała do domu. Wkradała się jak kot tylnym wejściem, aby nie mówiono do niej. Na pytanie matki: — Gdzie byłaś? — odpowiadała: — Gdzie chciałam — albo dużo ordynarniej. Warczała jak pies, któremu zabierają kość; kością była jej zupełna samotność. Myślała o pociągach, które odjeżdżają, i o tym, co z nią będzie. Zamykała się na klucz w małym pokoju, który sobie wywalczyła po wielu awanturach. Gasiła światło, rozbięrała się. Stawała w białej, półdziecinniej kombinacji⁹⁰ przed lustrem. Wyciągała z torebki ukradzionego papierosa, zapalała go, opierała się o ścianę, zakładała nogę na nogę i bawiła się w prostytutkę.

Ewa mieszkała nad rzeką, w brudnej i starej dzielnicy, gdzie ulice nazywały się Wąska i Ciemna. Jej ojciec miał tam sklep. Bachory pisały na jezdni; były wyblakłe, złośliwe

⁹⁰kombinacja — tu daw.: jednoczęściowa bielizna damska, majtki połączone z koszulką na ramiączkach. [przypis edytorski]

i mądre. prostytutki budziły się późno i śpiewały zaspanymi głosami: „Gdy prawiczką byłam jeszcze...”.

Po jezdniach chodziły senne koty. Wieczorem ludzie siedzieli przed bramami domów, a pary leżały nad rzeką, na wyłysiałych łączkach. W nocy, gdy ktoś krzychał: — Ratunku — policjant chował się do bramy, aby go nie widziano. Żebracy leżeli w słoneczne dni na trotuarze i spali.

Leżała nad rzeką. Leżała w słońcu, które było tak ciepłe jak pościel, gdy się ma wstać z łóżka. Nad jej oczami zwisały pojedyncze kłosa trawy. Widziane z bliska, zakrywały połowę mostu kolejowego. Po wysychym badyłu wspinała się jaszczurka, barwy piasku. Były to palmy, tamaryski i baobaby, zapach parującej i nagrzanej ziemi był zapachem dżungli, który pamiętała z oranżerii w ogrodzie botanicznym. Gdy mrużyła oczy, zniknął most, zostawały sylwetki nigdy przez nią niewidzianych drzew, przez pół przecięty cieniem badyła krokodyl, ciepło na policzku i zapach.

Nad rzeką wólczyli się ludzie, suszący siebie na słońcu, jak pieluchy. Patrzyli wypłowiałymi oczami na rzekę, która już wkrótce miała się zagubić w morzu i była już po to tylko, aby wkrótce nie być, i patrzyli na słońce. Potem zatrzymywali wzrok na niej, leżącej na trawie; była podejrzanie dobrze ubrana, jak na okolicę. Obok półotwarta teczka, z której wystają książki i niezjedzone śniadanie.

Uciekła dziś z dwóch końcowych lekcji, co jej się zdarzało bardzo rzadko, nawet wtedy, gdy miała menstruację.

Mówiła do siebie:

— Przybita jesteś gwoździem do łóżka — do ziemi — życie wycieka z ciebie powoli, sączy się, sączy, odpływa — żeby cię chłopcy głaskali po głowie — jaki chłopiec? — nie ruszaj, nie ruszaj — mama jest gruba, stara — jak można leżeć na takiej — czy się musi leżeć? — wszystko się przewraca we mnie, jak się mnie dotyka — dlaczego, dlaczego się jest przywiązana do siebie, do kobiety?

I na drugim planie, za słowami, przesuwały się na tle rzeki półobrazy, które wynurzały się z niej jak z wody, nabrzmiące, wzdymające się od wewnątrz, jak żagle, bliskie pęknięcia: nienawiść w postaci ruchu ręki, twarz jej matki, gdy mówi: — Nie dostaniesz pończoch — chęć rozbicia komuś głowy, rozbicia choćby szklanki, wybuchu, rzucenia wszystkiego, aby rozleciało się z hukiem; ucieczka i śmierć: płaski krajobraz, pochmurny, płaski dzień; ból odjeżdżania i umierania, podobny do bólu, który zadaje sobie czasem, raniąc się umyślnie w dżiaśła: i to wszystko oddzielone od niej, która jest pusta, jak opróżnione naczynie.

Ze zdziwieniem zauważyła, że płacze, a właściwie drga tylko (lzy przychodziły jej z trudem) i oddycha szybko, jak pies w upalny dzień.

Emil siedział na kamieniu o dwadzieścia metrów dalej i obserwował ją od dziesięciu minut.

— No, ta to się będzie złościć, jak mnie zobaczy. Poza tym rok temu wyglądała jeszcze jak małe Murzyniátko, miała pełno parchów na gębie i jakieś chropowate nogi, o ile pamiętam, bo chodziło to bez pończoch.

Miał zawsze skłonności do babrania się w rzeczach lekko rozkładających się, łażenia po ulicach możliwie krętych i brudnych, zawierania znajomości z podejrzanymi typami. (Na przykład niedaleko stąd zjadały szczury jednego z takich jego znajomych, gdy spał w kanale pod mostem. Ponieważ był gruntownie pijany, więc nie mógł uciekać).

Twierdził: Ciekawe i bujne rzeczy rosną tylko na gównie, na nawozie. Zapach łajna jest zapachem życia. Tylko epoki rozkładu państwowego, moralnego, dawały wysoką kulturę. Tylko lekko nadgniłe osobowości są zdolne produkować sztukę. Naturalnie chodzi tu o trudny do określenia stopień rozpadu jednostki i środowiska. Odchylenie w tę czy inną stronę daje dekadentyzm lub prymitywizm. To jest chodzenie po ostrzu brzytwy,

Marzenie

Melancholia

fantastycznie wąska *via media*⁹¹.

Koniec końców, niezależnie od tego, jakkolwiek myślał, siedział na kamieniu z notatnikiem w ręce i pisał.

„Powieść o Sokratesie⁹² nie jest złym pomysłem. Fantastyczne możliwości. Zacznijmy od monologów. Np.”

Ten pomysł dojrzewał od roku i czuł się z nim jak kobieta w trzynastym miesiącu ciąży. Zaczęło się od pewnej lekcji greki, do której — jak zwykle — nie był przygotowany. Ale pomysł trzeba było odłożyć, bo zdawał maturę.

„SOKRATES mówi: Życie jest dobre i pełne tajemnic. (Obraca twarz do słońca i zamyka oczy. Bogowie troszczą się o nas niewątpliwie (robi perskie oko). Zważ, Alcybiadesie⁹³... Pokarm wchodzi w nas, gdy jemy, i sprawia to nam przyjemność. Pokarm wychodzi z nas — oddawanie kału nie jest dla nas przykrością, przyznasz? — doznajemy głębokiej ulgi, graniczącej nieomal z zapadaniem się w niebyt... Nasi bracia sofści⁹⁴, którzy byli daleko na Wschodzie... Zresztą nie odbiegajmy od tematu. Gdy kochamy kobiety, jest to dobre. Gdy kochamy mężczyzn — wiesz... A gdy nie kochamy, doznajemy spokoju i możemy grać się w słońcu. Gdy myję się, czuję, jak zimna przezroczysta woda splywa mi po skórze; czynię to zresztą rzadko; gdy nie myję się, to znaczy, gdy żona moja nie nagania mnie, a zdarza się to często, wiesz bowiem, Alcybiadesie, że niechętnie śpiam w domu — wyleguję się w błogiej beczynności, graniczącej z nicością, i lekko cuchnę. A przecież lekko cuchnąc nie jest rzeczą przykrą.

SOKRATES milczy i patrzy na morze. Po chwili mówi:”

Tu właśnie Emil przestał pisać i popatrzył na rzekę.

— Nic nie mówi u cholery. To można zakończyć nagłym skrzętem, powiedzmy tak:

„— Poza tym zapewniam cię, Alcybiadesie, że życie jest parszywe”, ale tu brakuje czegoś. Mógłbym powiedzieć, czego, ale mi się nie chce myśleć. Więc on tego jeszcze nie mówi, idźmy dalej:

„Być bohaterem na wojnie jest rzeczą zaszczytną, ale nie iść na wojnę... Tak, Alcybiadesie (z małą pasją). Opowiadają, że odznaczyłem się w pewnej bitwie...⁹⁵ To jest potrzebne dla uczynienia mnie nieżywym, abym się zmieścił do jakichś tam książek”.

— On już stanowczo mówi za dużo. Mój Boże, jak wąska jest *via media*.

W tym momencie zauważył, jak Ewa rusza wargami. Nic więcej. Była przyzwyczajona do ukrywania się nawet wtedy, gdy była sama. I płacz ograniczał się do skurczów przelyku i tchawicy. Zamknięte powieki błyszcząły jak zrobione z białego metalu. Podszedł do niej cicho (wilgotna ziemia i trawa były elastyczne jak guma) i powiedział, jak umiał najlepiej:

— Dzień dobry!

Otworzyła oczy i odpowiedziała drewnianym głosem:

— Dzień dobry! — bez zdziwienia.

— Nie należy leżeć na trawie.

— Nie należy.

Oglądał ją dokładnie od dołu do góry, w sposób rzeczowy, a jednak niesłychanie uważny i skupiony. To był odłamek doskonale przetrawionej pozy sławnego diagnostyka, przyjaciela jego ojca, gdy ten bez badania, po pięciu minutach patrzenia na nagiego pacjenta mówił: — Ubrać się. *Carcinoma ventriculi*⁹⁶. Przerzut do wątroby — i miał rację. Oglądał ją więc i myślał:

⁹¹*via media* (łac.) — droga środkowa; tradycyjne określenie filozoficznej zasady umiarkowania, unikania skrajności. [przypis edytorski]

⁹²*Sokrates* (469–399 p.n.e.) — filozof grecki, nauczyciel Platona. Stosował metodę żywego dialogu, dysputy jako sposób dochodzenia do prawdy. Nie pozostawił żadnych pism, zaś jego poglądy są znane z dzieł autorów, którzy go znali: Platona, Ksenofonta i Arystofanesa. W kulturze utrwalił się wizerunek Sokratesa stworzony przez Platona w jego dialogach. [przypis edytorski]

⁹³*Alcybiades* a. *Alkibiades* (450–404 p.n.e.) — wódz i polityk ateński, w młodości uczeń Sokratesa, jeden z bohaterów dialogu Platona *Uczta*; jako strateg odegrał dużą rolę w ostatnich 15 latach wojny peloponeskiej. [przypis edytorski]

⁹⁴*sofści* (z gr.) — filozofowie gr. i wędrowni nauczyciele, którzy za opłatą przygotowywali do życia publicznego i kariery politycznej, uczyli sztuki przemawiania i przekonywania, głosili względność prawdy. [przypis edytorski]

⁹⁵*Opowiadają, że odznaczyłem się w pewnej bitwie...* — Sokrates walczył w bitwach pod Potidają, pod Delion i pod Amfipolis; w dialogu *Uczta* Alcybiades opowiada, że w bitwie Sokrates uratował mu życie, zaś w czasie odwrotu z pola walki pod Delion wyróżnił się spokojem. [przypis edytorski]

⁹⁶*carcinoma ventriculi* (łac., med.) — rak żołądka. [przypis edytorski]

— To ją powinno trochę przynajmniej denerwować. Ale ona się denerwuje, widać, w sposób specyficzny, i zamknęła oczy. Albo ja to źle zrobiłem, albo ona jest nieco dziwna.

— Czy wiesz, że zmieniłaś się?

— Wiem o tym dobrze. Oglądam się co rano w lustrze.

— Nago, jestem pewien.

— Tak, nago.

To było powiedziane w ten sposób, żeby on myślał inaczej. Ale on wcale inaczej nie myślał. Chwila ciszy takiej, że słychać było chrzęst badyła, który się uginał pod ciężarem jaszczurki. Małe wygięte nozdrza odchylały się przy oddechu.

— Próboweś kiedyś malować wewnętrzną stronę skrzydełek nosowych?

— Jesteś matole.

— To jest możliwe, ale jak przyjdiesz do domu, to spróbujesz i stwierdzisz, bo nie jesteś bardzo głupia, że to daje doskonały efekt. Naturalnie, nie powiesz mi o tym.

Usiadła, otworzyła oczy i popatrzyła na niego po raz pierwszy.

— No, teraz jesteś dostatecznie zła, więc możemy rozmawiać.

— Idę do domu, możesz mnie odprowadzić.

— Odprowadzę cię.

Szli obok siebie, nie mówiąc wcale. Wtedy właśnie ona postanowiła, że się umówi z nim, mimo że się jej w ogóle nie podobał. Postanowiła tak z szeregu powodów: 1) Pogłoski, że ma gruźlicę i umrze niedługo. Był żółty i bladej. 2) Plotki o jego niezupełnym koleżeńskim stosunku⁹⁷ z Jankiem. 3) Zdarzenie, które miało miejsce rok temu.

Miała piętnaście lat. Emil „chodził” wtedy z jej koleżanką, a właściwie łąkowali wszyscy troje w małym towarzystwie. Pewnego wieczoru zdarzyło się tak, że Emil odprowadzał Ewę do domu. Nie powiedział do niej przez cały czas ani słowa. Była zła, mimo że nie zależało jej na nim. Gdy żegnali się, powiedział:

— Proszę cię, oddaj jutro ten list Wandzie (koleżance). Przepraszam cię, ale koperta jest zaklejona.

Otóż Ewa odkleiła ten list wieczorem. Było tam między innymi:

„...to wszystko zaczyna mi się nie podobać. Jak spotykamy się, mogłabyś przynajmniej nie ciągnąć za sobą tego stworzenia, Ewy. Jeśli chcę się spotykać z Tobą, nie znaczy to wcale, że chcę znać Twoją koleżankę, Twoją mamę itd.”

To wszystko leżało w niej jak kłębek nici — splątane. Perspektywy, które otwierały się przed nią, zastępowały rozbicie kilku szklanek, a ona musiała teraz „coś zrobić”. Dlatego zwrot: „postanowiła, że...” przypisuje jej zbyt wiele jasności w tej decyzji. Gdy jej powiedział: — Chcę spotkać się z tobą — odpowiedziała: — Dobrze.

Pożegnali się i Emil wrócił nad rzekę, i wrócił do Sokratesa.

Myślał:

— Stosunek Platona do Sokratesa załatwimy w pierwszym dialogu. Więc napiszemy:

„SOKRATES mówi do PROTADORASA⁹⁸: — Popatrz na tego chłopca, który siedzi w kącie i usiłuje usłyszeć, o czym mówimy. Patrz tak, aby nie zauważył tego. Wyprowadza mnie z równowagi i uważam, że jest przemądrzały. Nie lubię tego, co robi: notuje wszystko, co mówię, a przypisuje mi często to, czego nie powiedziałem, a może zresztą i powiedziałem. Przypomina mi to, co robią Egipcjanie ze swoimi władcami po śmierci: zamieniają ich w mumie. Ale wierzaj mi, że ci zabalsamowani ludzie są mało podobni do żywych.

PROTAGORAS: — Jak się on nazywa?

SOKRATES: — Platon”.

TRZECH OJCÓW

Emil miał trzech duchowych ojców i bibliotekę. Tymi ojcami byli: wielki pisarz, filozof Joachim i cielesny ojciec Emila.

Wielki Pisarz.

Literat

⁹⁷niezupełnym koleżeńskim stosunku — popr.: niezupełnie koleżeńskim stosunku. [przypis edytorski]

⁹⁸Protagoras z Abdery (ok. 480–ok. 410 p.n.e.) — filozof grecki, zaliczany do pierwszych sofistów; tytułowy bohater jednego z dialogów Platona, w którym rozmawia z Sokratesem o cnocie. [przypis edytorski]

— Pan cierpi na artystyczną *ejaculatio praecox*⁹⁹. Rozumiemy się? Nie umie pan robić mięszu powieści, mięsa powieści. Robi pan same gwiazdy, pointy¹⁰⁰. Są stłoczone i nie mają tła. Ale są świetnie wycelowane. (Tu spuścił oczy). Jeśli się pan nie zmanieruje, będzie pan kiedyś rasowym powieściopisarzem. Nauczy się pan wytrzymywać efekty, przygotowywać je jak wielki pianista crescenda.

Milczenie. Po czym całkiem cicho:

— I nauczy się pan rezygnować z efektów.

Emil próbował zmienić temat rozmowy i powiedział, że był na koncercie znanego pianisty. Pisarz spytał go ze zdziwieniem:

— To Ignas jeszcze grywa?

Było w tym powiedzeniu takie oderwanie się od świata, że Emila przeszedł dreszcz wzduż kręgosłupa. „A dlaczego nie miałby grywać? On go zna. Dobrze zna. I to »grywa«. On także chciał być kiedyś pianistą. Są, zdaje się, w jednym wieku”.

— Tak, gra.

— Ja go słyszałem bardzo dawno, tak dawno... Widzisz, mnie, mój drogi, jest bardzo trudno stworzyć człowieka. (Emil był zaskoczony zmianą tematu i przejściem z „pan” na „ty”). Zlepia się go i skleja, i on ciągle nie chce żyć. Jest wykończony, dopasowany i martwy. Często okazuje się, że jest zbyt zrównoważony i zrobiony za logicznie. Wtedy psują go, i nagle zaczyna się w nim coś poruszać. Wyrasta ze mnie powoli, jak roślina, żywię go, napycham go sobą. Potem, gdy nabierze aktywności, zaczyna żywić się sam, ssie ze mnie zdarzenia, w których chce brać udział, i zdania, które chce powiedzieć. To dobra oznaka, ale mnie to bardzo męczy. Wydaje mi się, że jestem zupełnie próżny, a on, ten embrion, jest żarłoczny i zjada mnie żywcem. Potęguje się to do pewnego, kulminacyjnego punktu, do momentu czarnoksięskiego: człowiek powieściowy odrywa się ode mnie i odpływa w życie na własną rękę. Po takim przeżyciu dostaję zawsze ataku histerycznego.

Cały ten monolog odnalazł Emil w nowej książce pisarza, która wyszła w dwa miesiące później: w dzienniku literata.

Literat

Filozof Joachim.

Duża, trójkątna głowa, biała czupryna w nieładzie, brązowe, błyszczące oczy, wąskie usta. Specjalista od determinizmu (dzielił go na przyczynowy, statystyczny i na determinizm koegzystencji, ale mniejsza o szczegóły). Praca habilitacyjna: *Wędrowka pojęcia struktury od chemii i fizyki do psychologii i literatury*. Współpracownik włoskiego pisma „Scientia”¹⁰¹, do którego pisywali Eddington, Bohr, Planck i Einstein¹⁰². Artykuł do „Revue Philosophique”¹⁰³: *Analiza pojęcia przypadku*. Pogląd na istoty żywe: witalizm z pewnymi zastrzeżeniami.

Temperamenty: spala się w każdym zdaniu, napisanym czy wypowiedzianym, i odradza się w następnym. Obojętne, czy mówi do jednego słuchacza, czy do stu.

Podczas kolacji:

— Hm, prawda, pytasz... W ścisłym znaczeniu może być prawdziwe tylko zdanie, i to w sensie logistyki. (Łyżka jajecznic). Zdanie na gruncie pewnej struktury, pewnego systemu. Jak to jest ze zdaniem powstałym na podstawie indukcji, pytasz? To nie ma znaczenia. Newton też ułożył swój systemik dedukcyjnie, chociaż powstał on niewątpliwie na podstawie indukcji. (Łyżka jajecznic). Dobre systemy dadzą się zawsze ułożyć w formie dedukcji. Tylko dziś nie ma na to czasu. Dziś odbywa się bieg na złamanie karku. A jak to jest z prawdą? Więc jeśli jest prawdziwe zdanie na terenie jednego systemu pojęć, nie musi być prawdziwe na terenie drugiego; ale może. (Łyżka jajecznic).

Filozof

⁹⁹*ejaculatio praecox* (łac., med.) — wytrysk przedwczesny. [przypis edytorski]

¹⁰⁰*pointa* — puenta. [przypis edytorski]

¹⁰¹*Scientia* (łac.: wiedza, nauka) — włoskie wielojęzyczne czasopismo naukowe zał. w 1907 jako „Rivista di scienza” (Przegląd nauki), wydawane od 1910 do 1988 pt. „Scientia: rivista internazionale di sintesi scientifica” (Scientia: międzynarodowy przegląd syntez naukowych); w I. poł. XX w. odgrywało znaczącą rolę w dziedzinie filozofii nauki. [przypis edytorski]

¹⁰²*Eddington, Bohr, Planck i Einstein* — wybitni fizycy I. poł. XX w., zaangażowani w rozwój teorii względności i mechaniki kwantowej. [przypis edytorski]

¹⁰³*Revue Philosophique* — właśc. „Revue philosophique de la France et de l'étranger” (Przegląd filozoficzny Francji i zagranicy), renomowane czasopismo akademickie zał. w 1876. [przypis edytorski]

Ponieważ wybieramy aksjomaty dla każdego systemu intuicyjnie, a na aksjomatach ma się opierać zdanie, które ma pretensję do tego, by było prawdziwe, i reguły dowodzenia są w dużej części intuicyjnie wybrane, więc...

Żona:

— Janeczku, nie mów tyle, tylko jedz.

— Już jem.

Żona:

— Emilku, on musi iść przynajmniej o dwunastej spać. A ja widzę, że on będzie siedział do drugiej. Przyjdź, dziecko, w niedzielę.

— Nie, nie, mnie to dobrze robi. Zrozum, Aniu, że ja sobie sam wyjaśniam...

Spojrzenie Ani. Filozof Joachim: — No, już dobrze, Aniu.

Filip.

— Słuchaj, stary, jak się czuje taki człowiek jak ty, który wie, że dziesięć lat wcześniej czy dziesięć lat później będzie musiał umrzeć?

Stary przypomniał sobie wszystkie kobiety, które miał, wszystkie sukcesy naukowe i to, że dziś właśnie, za czasów hitlerowskich, proszono go, by napisał artykuł o infekcji do *Handwörterbuch der Heilkunde*¹⁰⁴, że jest jedynym, którego Akademia Umiejętności wysłała na kongres mikrobiologii w Nowym Jorku, i ponieważ był w dziwnie łagodnym humorze, odpowiedział:

— Moje życie jest pełne i zamyka się jak obwód koła.

Biblioteka.

Na pierwszym miejscu „święta trójca”: Tomasz Mann, Céline¹⁰⁵, Montherlant¹⁰⁶.

„Ten jest dla mnie najbardziej niebezpieczny, dlatego muszę go znać na pamięć. Chciałbym osiągnąć tę nonszalancką doskonałość, tę celną niechlujność, która od niechcienia jak gdyby utrwała to, co innym przecieka przez wiersze jak woda przez palce. Jego zdania są napięte jak łuki, jak pupa młodej dziewczyny”.

O *Czarodziejskiej górze* powątpiewał, czy w ogóle została napisana przez człowieka. Gdy ukazały się *Historie Jakubowe*¹⁰⁷, powiedział:

— To było nieuniknione. Temu człowiekowi została tylko Biblia.

Céline. „Najsilniejszy środek wybuchowy w literaturze. Gdyby się chciało trochę przesadzać, można by powiedzieć, że jego zdania mogą zabijać”.

Potem szli: Proust, Joyce, Kafka, S. I. Witkiewicz. „Książki dobre” to były książki Huxleya, du Garda, Malraux i tak dalej. Z literatury rosyjskiej uznawał tylko Dostojewskiego i Babla. Miał słabość do pewnych młodzieńczych książek Čapka *Krakatit* i *Męka Boża*¹⁰⁸, Rilkego *Opowieści o Panu Bogu*¹⁰⁹, Hessego *Wilk stepowy*¹¹⁰. Kilku ulubionych autorów, należących do historii: Villon, Brantôme, Aretino, Laclous, Musset, Flaubert (tylko *Bouvard i Pécuchet*¹¹¹), France.

¹⁰⁴*Handwörterbuch der Heilkunde* (niem.) — Podręczny słownik medycyny. [przypis edytorski]

¹⁰⁵Céline, Louis-Ferdinand, właśc. Louis-Ferdinand Destouches (1894–1961) — francuski prozaik; zadebiutował skandalizując powieścią *Podróż do kresu nocy* (1932), napisaną nowatorskim stylem, w języku mówionym. Od 1937 publikował pamflety antysemickie, podczas okupacji Francji pisał w prasie kolaboracyjnej. [przypis edytorski]

¹⁰⁶Montherlant, Henri Millon de (1895–1972) — francuski prozaik i dramaturg, członek Akademii Francuskiej (od 1960), znany gł. z głośnego, 4-tomowego cyklu *Dziewczęta* (1936–39). [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Historie Jakubowe* — pierwsza część tetralogii biblijnej Tomasza Manna *Józef i jego bracia*, wydana w 1933. [przypis edytorski]

¹⁰⁸*Męka Boża* — cz. *Boží muka*, powieść czeskiego pisarza Karela Čapka z 1917, wyd. pod polskim tytułem: *Boża męka*. [przypis edytorski]

¹⁰⁹*Opowieści o Panu Bogu* — ob. bardziej znane pt. *Powiatki o Panu Bogu*, zbiór 13 powiastek prozą, napisanych przez austriackiego poetę Rainera Marię Rilkego, wyd. 1906. [przypis edytorski]

¹¹⁰*Wilk stepowy* — wyd. w 1927 najsłynniejsza powieść niemieckiego prozaika i poety Hermanna Hessego, laureata nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1946). [przypis edytorski]

¹¹¹*Bouvard i Pécuchet* — ostatnia, niedokończona powieść francuskiego powieściopisarza Gustave’a Flauberta, wyd. 1881. [przypis edytorski]

Potem listy, listy, listy. Marianna d'Alcoforado¹¹², *Cartas de Santa Teresa de Jesús*¹¹³, listy Verlaine'a, listy Balzaka. Poza tym plotki: Saint-Simona, Eckermanna, Franka Harrisa. Książki ekscentryczne: książki o śmierci, zawierające wspomnienia i relacje tych, co spadli z czwartego piętra i pozostali przy życiu, górników zasypanych w kopalni, ludzi pochowanych żywcem; książka Paula Lukasa o snach; o wszystkich proroczych snach, od snu pewnego faraona pod Sfinksem; książka, w której były maski pośmiertne; książka o tatuażach berlińskich prostytutek; książka, w której były twarze sfilmowane przed zgonem.

Psychologia: Büchlera *Der menschliche Lebenslauf als psychologischer Problem*¹¹⁴ i Russella *Podbój szczęścia*. Były to dwie jedyne — jak uważał — książki, które były podstawą tego, co miał napisać w przyszłości; coś pośredniego między poradnikiem życiowym a psychologią życia. Poza tym charakterologia¹¹⁵, psychologia kobiet.

Filozofia: Heidegger, Jaspers, Husserl, logistycy¹¹⁶. Dosyć nudzenia.

Stół Emila: maszyna do pisania, bałagan, papiery. Kurz osiadał na nich. Ale biada temu, kto by je próbował ruszyć. Kunsztownie wyciągał małą karteczkę spod stosu książek, na której było napisane: „Czym bardziej nauka traci na rzeczywistości (Einsteina ślad zdarzenia w czasoprzestrzeni), tym bardziej prawdziwa sztuka staje się irracjonalna”. Napisał to na bankiecie z okazji czterdziestolecia pracy naukowej ojca i specjalnie w tym celu poszedł do klozetu. Na tym samym papierze klozetowym: „Uczucia mają pewną granicę górną, poza którą się nie mogą posunąć. Gdyby istniał termometr uczuciowy, wskazywałby tę samą temperaturę w następujących wypadkach: 1) dziecko gubi zabawkę; 2) komuś umiera matka; 3) bogaty człowiek traci jedną czwartą majątku; 4) biedny człowiek traci cały majątek; 5) kogoś zdradza kochanka, do której nie jest zbyt przywiązany. Jedynie rozumowo oceniamy te wypadki różnie. Temperatura uczucia jest ta sama”.

Na stole i na tapczanie leżały otwarte trzy książki: *Das Leben*, praca zbiorowa o zagadnieniu życia („książka, którą muszę przeczytać”), Lacroix *Histoire de la prostitution*, tom o prostytucji w średniowieczu („książka, która mi sprawia przyjemność”), Galsworthy *Saga* („książka, którą się czyta tak, jak się pije wodę”). Te trzy książki czytał na zmianę.

Na zmianę też podchodził do fortepianu i grał Debussy'ego *Dziewczynę o lnianych włosach*¹¹⁷ lub, gdy był zdenerwowany, drugi temat *Appassionaty* (od trzech lat umiał tylko połowę pierwszej części).

Czytał dużo; szybko, często powierzchownie. Ale sondował te miejsca, które mu były potrzebne, głęboko i błyskawicznie; odnajdywał je, czasem ukryte w nieoczekiwanych miejscach, na przestrzeni olbrzymiej książki, instynktem zawodowego różdżkarza, poszukiwacza wody. (Z *Uczt*y Platona wypisał tylko to miejsce, w którym jest mowa o leczeniu histeryczek).

I gromadziły się fakty, teorie, wyniki doświadczeń, wzdłuż jego hipotez, czasem nie całkiem świadomych, jak opłki żelaza gromadzą się wzdłuż namagnetyzowanej sztabki.

¹¹²Marianna d'Alcoforado (1640–1723) — portugalska mniszka z zakonu klarysek, domniemana autorka *Listów portugalskich*, utworu opublikowanego anonimowo po francusku w Paryżu w 1669, złożonego z pięciu listów miłosnych portugalskiej zakonniczki do francuskiego oficera, arcydzieła literatury stanowiącego przykład wczesnej powieści epistolarnej. Obecnie uważa się, że napisał je Gabriel de Guilleragues (1628–1684), fr. pisarz i dyplomata. [przypis edytorski]

¹¹³*Cartas de Santa Teresa de Jesús* (hiszp.) — Listy świętej Teresy od Jezusa (Teresy z Ávili). [przypis edytorski]

¹¹⁴*Der menschliche Lebenslauf als psychologischer Problem* (niem.) — *Bieg życia ludzkiego jako problem psychologiczny*, książka nie „Büchlera”, lecz niem. psycholożki Charlotte Bühler (1893–1974), wyd. w 1933. [przypis edytorski]

¹¹⁵*Charakterologia* — nauka o charakterze. [przypis edytorski]

¹¹⁶*logistyk* (daw.) — logik, człowiek uprawiający logikę matematyczną, czyli logikę symboliczną (daw. zwana logistyką). [przypis edytorski]

¹¹⁷*Dziewczyna o lnianych włosach* — częściej: *Dziewczyna o włosach jak len* (fr. *La fille aux cheveux de lin*, 1910), prosty muzyczny utwór francuskiego kompozytora Claude'a Debussy'ego, inspirowany wierszem Leconte'a de Lisle'a. [przypis edytorski]

A teraz w końcu Emil (tu kończył jakąś bazgraninę, ale ponieważ to jest mało interesujące dla tej powieści, to ją opuszczono):

„.....
A więc:

1. Analogia z koncepcją prawdy Joachima. Wspólny chwyt myślowy. Dzieło sztuki może być tylko na gruncie danego kompleksu epoki, kultury, zwyczajów itd. — dziełem sztuki. Prawda może być tylko na gruncie pewnego systemu logicznego — prawdą.

2. Pisanie efektywne uniemożliwia pisanie prawdy. Ponieważ to zdanie jest efektywne, *ergo*¹¹⁸...

3. To nie było powiedziane na serio. Prawidłowo: pisanie na efekt uniemożliwia czasem pisanie prawdy. Zbadać rolę prawdy jako środka artystycznego; ale też chcąc powiedzieć prawdę, można (czy też musi się?) użyć środków artystycznych.

4. Freud jest diabelnie efektywny i temu zawdzięcza swoje powodzenie, niezależnie od stopnia prawdziwości swoich teorii. Newton i Pawłow¹¹⁹ są nieefektywni. Kopernik był tak nieefektywny, że wydano mu książkę za pozwoleniem Kościoła¹²⁰. Galileusz był dla współczesnych tak efektywny, że miał duże nieprzyjemności i dopiero przez niego książka Kopernika dostała się na indeks. Gdyby nie on, Kopernika zostawiono by w spokoju. Einstein jest efektywny, pomimo że rozumieją go tylko specjaliści. *À propos* E.:

Doc. M. mówił, gdy był u nas, że Poincaré¹²¹ wyraził te same przypuszczenia, co E., ale E. w swojej pierwszej książce, a P. w swojej ostatniej.¹²² (Zobaczyć, jaki tytuł książki E.). Należy tu wziąć 3 fakty pod uwagę:

a) P. wyraził te przypuszczenia ze wszystkimi „może, gdyby, prawdopodobnie”.

b) P. był u szczytu i końca swojej kariery naukowej i nie mógł ryzykować takiej teorii; być może nie miał siły o nią walczyć, bo był stary.

c) Wobec P. Einstein był nieukiem. Nie był obciążony wiedzą, a ten balast jest bardzo ciężki. Nie napotykał na każdym kroku teorii sprzecznych ze swoją. I był młody.”

Emil gryzł pióro jak uczennica, która nie wie, co ma napisać na zadaniu szkolnym.

„Istnieją dziedziny nauki płytkie i szerokie. Do nich należy psychologia. Istnieją też bardzo głębokie i wąskie; do nich należy fizyka. Dojść do tego, aby samodzielnie pracować nad fizyką teoretyczną, trzeba po skończeniu uniwersytetu najmniej pięć lat studiów. Nasuwa się porównanie z kretem, który musi przejść bardzo długi i skomplikowany kanał, aby móc zacząć kopać dalej. Jednym słowem, trzeba patologicznych zdolności uczenia się, aby móc myśleć o pracy naukowej na własną rękę.

Tutaj powstaje trudność psychologiczna:

1. Jednostki obdarzone łatwością przyswajania sobie wiadomości są rzadko zdolne do samodzielnej pracy.

2. Ten, który dociera do celu, jest zmęczony i oglupiony uczeniem się. Tak, *ogłupiony*. Przy psychologii szanse zdolnych jednostek są większe, bo psychologia znajduje się ciągle jeszcze w stadium rozwoju, w którym znajdowała się fizyka w epoce Galileusza. (*Ma też mało szans na rozwój w głębi*). Więc odpada droga kreta.

(Porównanie z kretem jest też słuszne dlatego, że specjalizacja w poszczególnych naukach idzie tak daleko, że tylko nieliczni uczeni wiedzą, co dzieje się w spokrewnionych

Nauka

¹¹⁸*ergo* (łac.) — więc, a zatem. [przypis edytorski]

¹¹⁹Pawłow, Iwan Pietrowicz (1849–1936) — rosyjski fizjolog, laureat Nagrody Nobla (1904). [przypis edytorski]

¹²⁰Kopernik był tak nieefektywny, że wydano mu książkę za pozwoleniem Kościoła — mimo iż bardzo techniczna i przeznaczona dla wąskiego kręgu specjalistów, faktycznie książka Kopernika *De revolutionibus*... została wydana drukiem bez pozwolenia Kościoła katolickiego, w protestanckiej Norymberdze. [przypis edytorski]

¹²¹Poincaré, Henri Jules (1854–1912) — wybitny francuski matematyk, zajmujący się także fizyką teoretyczną i mechaniką nieba, filozof nauki. [przypis edytorski]

¹²²Poincaré wyraził te same przypuszczenia, co E. [Einstein], ale E. w swojej pierwszej książce, a P. w swojej ostatniej — w rzeczywistości były to artykuły w pismach naukowych, a nie książki. Pierwsza praca Einsteina dotyczyła oddziaływań międzycząsteczkowych; ostatnie teksty Poincarégo to dzieła astronomiczne i popularnonaukowe. Praca Einsteina na temat szczególnej teorii względności została złożona do druku 30 czerwca i opublikowana we wrześniu 1905, krótki artykuł Poincarégo na ten temat ukazał się 5 lipca 1905, a jego poprawiona, rozszerzona wersja w styczniu 1906. Przede wszystkim zaś teoria Poincarégo była znacząco odmienna od teorii Einsteina i bazowała na przyjętej od dawna hipotezie światłonośnego eteru, jednorodnej substancji wypełniającej Wszechświat. Einstein wykorzystał te same równania, co Poincaré, ale odrzucił istnienie eteru oraz inaczej interpretował wnioski z wyników. [przypis edytorski]

dziedzinach).

Teraz widać, dlaczego takie nauki, jak psychologia, nazwałem płytkimi. Każdy, kto tylko posiada odpowiednią głowę, może zacząć kopać swój własny — mniej lub więcej głęboki — dołek. Ja też”.

Po trzecim spotkaniu z Ewą Emil zapisał:

„EWA. Przykuta do ziemi, pachnąca ziemią, dzika, kłuje szpilkami i słowami, wpada w otępienie, potworne humory, pierwotna i skomplikowana, podczas miesiączki mówię, jestem nią przybita do siebie, jest związana, potem płonie, jak drzewo w tlenie, słowem środek wybuchowy, chce wiedzieć, boi się pociągów, chce się palić, jest żarłoczna”.

JUŻ UTONAŁ...

Jest miasto kręcące się, bełkocące. Niżej, w ciemności, są parki. Na samym dnie siedzą, wypici przez mrok, Emil i Ewa; w odległości pół metra od siebie. Bliżej ona drapała. Wokoło chodzą uważnie strażniczeki cienia — prostytutki. Nie mają twarzy, wyzarta je ciemność. Tylko kształty przesuwają się wolno, schodzą i rozchodzą w milczeniu.

W intensywnej czerni całują się dwa papierosy. Jeden rozpalili się prawie do białości. Potem opadł i zaczął się tlić. Drugi też opadł. Rozstawione daleko od siebie. Na zgaśnięciu. Wtem oba podniosły się w górę i przybrały wygląd pulsujących oczu, z których raz jedno, raz drugie jaśnieje. Jedno oko tak zbieleło, że aż zgasło. Potem drugie, ale powoli, w zamyśleniu.

Wstał z ławki i popatrzył na jej kolana tak, jak patrzy dziecko na glistę w ogrodzie. Z ciekawością bezosobową.

— Masz kolana ośmioletniej dziewczynki. To mi się bardzo podoba. Między innymi. Masz ładną skórę... Chciałbym jej dotknąć, podobnie jak lubię dotykać małe koty i psy. To chyba nie jest sodomia. Chociaż przy zabawie z małymi zwierzętami... chociaż czasem tracę panowanie nad sobą... i raz udusiłem pieska. Z chęci pieszczenia. Patrz teraz w górę na drzewa, a ja będę cię całował po nogach.

On w tym czasie nie pocałował jej jeszcze w usta i ona nie wiedziała, co to jest sodomia. Byli jeszcze w ogóle daleko od siebie.

Podniosła głowę. A podniosła ją dlatego, że całe jego dotychczasowe zachowanie się pozbawione było dwuznaczności. Nic z przypadkowych ocierań się, trzymania dłużej za rękę, ostrożnego, gotowego do cofnięcia, posuwania się naprzód, od rąk do policzków, od policzków do ust i tak dalej.

Nic z wykorzystywania sposobności. A była przyzwyczajona do postępowania, które mogła z łatwością przewidzieć, które wydawało jej się wstrętne: od ręki do policzka, od policzka do ust i tak dalej. Była też *bardzo* ciekawa, co z tego wyniknie.

Wierzchołki drzew były oświetlone światłem miasta, czuła dotknięcie jego oddechu, warg, rąk na łydkach, ponad kolanami. Wtedy nastąpiło u niej to, co nazywała złym skurczem, mieszanina zemsty, czulego okrucieństwa, ciekawości. Wbiła mu paznokcie w skórę i podrapała rękę w długie, długie paski; wolno, wolno, patrząc na niego. Nie poruszył się. Cofnęła rękę. Podniósł się i pocałował ją w usta. Ona płakała (wewnętrznie). Całował ją długo, podczas gdy ona patrzyła na niego uważnie. Miał zamknięte oczy, widziała długie, drgające rzęsy. Rozpinał jej bluzkę, a ona pozwalała na to. Posadził ją na kolanach.

Wtem w krzakach, tuż obok, niesamowity pisk. A potem ryk, a potem nic. Ewa odskoczyła. Prostitutki, jak czarne ptaki, zleciały się na miejsce krzyku. Bieganina, szepty, słowo: „uciekł, uciekł”.

Jeden z opiekuńczych cieni podszedł nonszalancko do ławki i powiedział:

— Patrzył, jak się macacie, i brandzłował się. Ale Fela mu dała! Kopnęła go w...

— Dziękuję ci.

— Proszę — i odeszła.

Ewa zaczęła się śmiać, niehisterycznie.

— Co znaczy to słowo, którego ona użyła?

— Znaczą: onanizować się.

— Aha — już całkiem poważnie.

Postanowili iść do domu. Jego piekła ręka i był zły. Szli przez miasto. Ona krzyknęła: — Jakie ładne suknie! — i podeszła do wystawy.

— Chodźmy już.

— Zaraz, zaraz.

Podczas tego „zaraz” zauważył, że w kieszonce bluzki miała chusteczkę w kwiaty, i to wyglądało tak, jakby kwiaty wyrastały z jej piersi. To mu na chwilę zacisnęło oddech. „Dlaczego to na mnie zrobiło takie wrażenie? Innemu by to skojarzenie w ogóle nie przyszło na myśl”.

Coraz to bardziej parszywe ulice, nie kleiła się im rozmowa. W latarniach, które były wmurowane do bram domów, syczały kaganki. (Gaz syczał). Ulice mokre, po deszczu. (Czy w parku deszcz padał?) Średniowieczne ulice. Kocie łby. Cały brud w mroku. Krużganki między domami. Domy jak dekoracje teatralne. Trudno uwierzyć, że ktoś tam mieszka. Bramy ciężko okute. Wyłoty rynien — potwory z otwartymi paszczami. Dom z łukami, marokański trochę.

Miasto

Wtem Ewa mówi:

— To, co zrobiłeś ze mną w parku, nie sprawiło mi żadnej przyjemności. Chcę, żebyś wiedział o tym.

Wtedy zrobiło mu się bardzo sucho w ustach. Przez chwilę chciał jej to wytłumaczyć. Dlatego że to, dlatego że tamto. Ale co znaczą argumenty wobec „nie sprawiło mi przyjemności”? Poczul, że jest całkiem bezradny. I jak dziecko zaczął płakać. Nie płakał od ósmego roku życia.

JUŻ UTONĄŁ, JUŻ UTONĄŁ, JUŻ UTONĄŁ — to mówi, powiedzmy, chór, jak w starogreckiej tragedii.

Pogłaskała go niepewnie po włosach i była trochę zdziwiona.

— Nie płakałem nawet wtedy, gdy mnie wyrzucono ze szkoły (miałem wtedy dziesięć lat), i gdy moją jedyną na razie powieść spalono.

Po chwili:

— Kochasz mnie?

— Nie.

Takie zwyczajne „nie”, ani patetyczne, ani ciche, i tym „nie” przywiązała go do siebie. „...bo (jak pisał Emil wiele lat później) cechą cierpienia miłosnego jest błędne i obłędne koło, które ma swe źródło w tym, że szukając gorączkowo kogoś, kto uciszy naszą mękę, natrafiamy na osobę kochaną, która jest źródłem cierpienia, i *tylko* na nią”.

Miłość, Cierpienie

Nie mógł się ruszyć ani wymówić żadnego słowa. Nie mógł się pożegnać. A ona czekała na to, aż się pożegna, i on wiedział o tym. Miała katar pęcherza, zmarła na ławce w parku i chciało jej się bardzo siusiu.

W końcu pożegnali się, umówiła się z nim na jutro. Zrobiłaby teraz wszystko, czego by chciał.

On doznał wrażenia, że stopy jego puszczają korzonki, że jest wrośnięty w ziemię. Stał oszołomiony, dziwnie wzruszony.

Wtem — po drugiej stronie jezdni — zobaczył w oświetlonym oknie sylwetkę Ewy i to mu sprawiło ulgę. Poszedł do domu.

W łóżku próbował sobie przypomnieć, jak wygląda. Brwi: jastrzęb w powolnym locie, oczy czarne, podłużne tak, jakby pływały w parafinie, profil filuterny i tragicznie poważny. Zgrabna tak, że jedyną rzeczą, która sprawiała, że nie ulatywała w powietrze, były zupełnie ziemskie nogi. Dość.

Przymierzył ją do swoich pragnień i przestraszył się: pasowała do nich zupełnie i dokładnie. Przedarta kartka papieru, którą się z powrotem składa.

W tym czasie Ewa rozbierała się i myślała o tym, że się postara dowiedzieć, co to znaczy sodomia. Była zła na niego, zawiedziona, że nie sprawił jej przyjemności. I przed snem myślała o prawdziwym mężczyźnie, który da jej rozkosz.

POMPEJA

„Czym wyżej stoi cywilizacja, tym intensywniej rozwija się życie płciowe” (A. Huxley¹²³).

Potem następuje uzasadnienie, jak zwykle przekonujące, ale nieprawdziwe. Jednym słowem *gówno*.

¹²³Huxley, Aldous Leonard (1894–1963) — angielski powieściopisarz i eseista, autor m.in. antyutopii *Nowy wschodni świat* (1932). [przypis edytorski]

W czasach, kiedy się pisze tak dużo o zagadnieniach seksualnych, kiedy stają się one tematami literatury, psychologii, socjologii i tak dalej — sprawa praktyki seksualnej wygląda, jak jeszcze nigdy w dziejach ludzkości, marnie, można powiedzieć — haniebnie.

Niewątpliwie jest to zbiorowy kompleks mniejszej wartości. Czym więcej się o tych sprawach dyskutuje, czym bardziej się krzyczy, tym lepiej widać, że coś tu jest nie w porządku. Próbuje zakrzyknąć prawdę. Słowem: pies, który dużo szczeka, nie gryzie.

W Pompei, mieście hulanki kupców i marynarzy, pełnym fresków i posągów, można zobaczyć malowidło, które przedstawia wagę. Na jednej jej szali leży góra złota, na drugiej męski członek. Przeważa członek. Ale to było dawno.

Zresztą:

„Można nawet zaryzykować uogólnienie, że zbytne zaabsorbowanie innymi dziedzinami kultury jest zębne dla dziedziny seksualnej. Wspaniałe wyniki w sferze intelektualnej mogą istnieć obok kultury seksualnej, zepchniętej do kilku konwencji i szablonów, którym nie warto poświęcać bliższej uwagi” (Havelock Ellis).

Inna rzecz: We współczesnych powieściach historycznych kładzie się wielki nacisk na erudycję autora, na szczegóły obyczajowe i zewnętrzne. Ale, o ile się nie mylę, z wyjątkiem Tomasza Manna, nikt nie zwrócił uwagi na odrębność psychologiczną ludzi innych epok. Po prostu bohaterów, ubranych w historyczne kostiumy, ale myślących całkiem współcześnie, wypycha się na scenę.

Zanotowanie tego zajęło Emilowi całe popołudnie (żeby pokazać sobie, że przecież coś robi).

Ale to był ostatni raz.

JAKI BIEDNY

— Nie potrafisz być normalna, dobra?

— Potrafię być tylko zła... Nie mogę być inna. Nie potrafię. Tak dokładnie opisywałeś, jak lubisz kizkę kaszaną... Wymiotować się chce.

— Ewa, zwariowałaś?

W tej chwili pożałował. Jej profil był wyrzeźbiony w kamieniu i nieuchwytny. I znajdowali się blisko gimnazjum, do którego chodziła.

— Kiedy się zobaczymy?

Nie odpowiadała.

— Ewa, znów...?

Próbował w dziecinny sposób przełamać jej milczenie.

— Proszę cię... już niech będzie...

— Co ja mam z twojego „już niech będzie”? Najpierw robisz głupstwa... „Zwariowałaś”. Tak, zwariowałaś. Przecież mam mamę wariatkę.

— Ja w ten sposób nie myślałem.

— Tylko w jaki sposób?

O mało nie wpadli pod taksówkę.

— Myślałem...

W ogóle nie był zdolny do myślenia. Poczul, że znów będzie płakał. I gimnazjum jest coraz bliżej.

Te rozmowy, urwane w środku. Jak *coitus interruptus*¹²⁴. Męczące uczucie niedokończenia. Dla niej ta rozmowa była skończona. A nawet skończona z pointą. Ale dla niego nie. To sięgało w samo dzieciństwo, ta niemożność urwania w środku, zatrzymania się, skończenia. Choćby się miało grzęznąć coraz głębiej, choćby się wiedziało, że koniec będzie zły. Podpisując się, kładł kropkę po podpisie. Koniec czynności.

Uczynił jeszcze jedną próbę, która, *wiedział* o tym, mogła tylko zaszkodzić. Stał przed nią i powiedział:

— Dalej nie pójdziesz, aż się nie wyplączemy z tej...

Widział jej twarz. Powiedziała zmęczonym głosem:

¹²⁴*coitus interruptus* (łac.) — stosunek przerywany. [przypis edytorski]

— Muszę jeszcze powtórzyć łacinę.
— Klęknę. Na ulicy.
Gdy próbował to zrobić, wyminęła go i krzyknęła:
— Nigdy!

Stał na ulicy i przechodnie mijali go, i patrzyli na niego. Miał szeroko otwarte oczy i usta. Stał i jesienne słońce świeciło na niego. Potem zawrócił pomału i poszedł w stronę parku. Siadł na ławce, zamknął oczy. Łagodny szum polewanych trawników. Ludzie z gumowymi wężami. Powiedział szeptem: — Ludzie z gumowymi wężami. Otępienie urwało się. Popatrzył na zegarek: 8.15. Do 12.45 Ewa wyjdzie ze szkoły. Może o dwunastę. Stary podział godzin znał na pamięć. Od dwóch dni był nowy. Nie wiedział. Może jakaś lekcja odpadnie. Postanowił na wszelki wypadek czekać podczas wszystkich pauz. A raczej nie na wszelki wypadek. Nie mógł odejść daleko od miejsca, w którym ona była, gdy miał tego rodzaju niedokończoną rozmowę. Szczęście, że był park, przez który ona musiała przejść. I że mógł siedzieć. Nie jadł śniadania. Nie mógł. Ostry szum maszyny do strzyżenia trawników.

Zacześć ją podczas paury. Będzie udawał, że ma coś załatwić w gabinecie dyrektora. Nie mógł się tak męczyć do pierwszej. Ale dziewczęta go znają. I co powie dyrektorowi?

Że chciałby kogoś zapisać do szkoły. Jakąś małą dziewczynkę. Jest o rok spóźniona, bo chorowała. Rok urodzenia. Chciałbym się poinformować, czy można ją jeszcze zapisać. Nazwisko.

Jest jej kuzynem.

Ale co powie Ewie? Musi jej wszystko wytłumaczyć. Taki idiotyzm. Ewa będzie z koleżankami. Stoi na pauzie w żeńskim gimnazjum, mówi do Ewy i Ewa udaje, że go nie zna. Tam są Anka i Rena i one go poznają.

Co można wytłumaczyć na pauzie? Tłumaczenia, tłumaczenia i tłumaczenia. „Ja nie chcę, żebyś mi tłumaczył. Ja nie chcę nic słyszeć. Ja nie rozumiem, co do mnie mówisz. Słyszę tylko hałas. Ten hałas mnie męczy. I chce mi się pisać. Puść mnie. Puść mnie”.

Miał wrażenie, że jest przywiązany do ogromnej, napiętej gumy, która kończy się w gimnazjum. Pólhalucynacje, które były zmieszane z drzewami w parku, z bawiącymi się dziećmi, z ulicami.

Wchodzi do szkoły podczas lekcji. Korytarze są puste, kroki rezonują jakby szło dzieściu ludzi. Wchodzi do siódmej klasy i woła: — Ewa! Profesor łaciny, którego znał, stoi przy tablicy i trzyma kredę w ręce. Ewa zbladła, widział ją, siedziała w pierwszej ławce. Wiedział, że się nigdy nie przeprosi, i poczuł ulgę. To minęło i myślał:

„Jesteś porządnie rozbity, stary. I to w ciągu kilku miesięcy. Uważam, że nie jesteś już normalny. Na przykład ten »Rocznik psychologiczny« i rozprawa Szumana¹²⁵ o peyotlu¹²⁶. Przecież wiesz, że nie będziesz jej czytał. A może przez to, że myślisz, że nie będziesz jej na pewno czytał, nie możesz jej czytać? Kto wie?”

Żeby nie Ewa, to uważalby, że jesteś impotent. Nie wiesz, co czytasz, i nie wiesz, co się dzieje w kinie. Ukradła ci mózg. Ale tego chyba nie myślisz na serio. Ewa jest chora na głód świata, ty jesteś chory na Ewę. Monomania plus neuroza przymusu.

Ale stawianie diagnoz nie leczy jeszcze. Ona tam w szkole musi uważać i poza tym *chce* uważać. Jej ta cała historia nie przeszkadza. Ani jeść, ani uczyć się. To jest jasne.

Ten moment, kiedy ona powiedziała: — To w parku nie sprawiło mi przyjemności.

Znów powraca ta mała, nudna męka. I ona jest tu zawsze, w dokładnie określonym miejscu, w dołku. Dawno zapomniana teoria Jamesa-Langego¹²⁷ a miłość. Należałoby przecież odróżnić uczucia, które są wrażeniami czysto organicznymi, od nastrojów. Nastrojem będzie rodzaj miłości, który nie daje żadnych objawów somatycznych. Leczenie:

¹²⁵*Szuman* — tu zapewne Karl Moritz Schumann (1851–1904), niemiecki botanik, autor licznych prac o kaktusach i innych sukulentach, redaktor miesięcznika botanicznego poświęconego tym roślinom. [przypis edytorski]

¹²⁶*peyotl* a. *pejotl* — kaktus z pustyni Meksyku i południa USA zawierający psychodeliczną substancję, mescalinę; także nazwa ekstraktu z tej rośliny. [przypis edytorski]

¹²⁷*teoria Jamesa-Langego* — najwcześniejsza z teorii wyjaśniających mechanizm powstawania emocji, opracowana w XIX w. niezależnie przez Williama Jamesa i Carla Langego. Wg niej w odpowiedzi na zewnętrzny bodziec (np. zauważenie kogoś lub czegoś) w ciele danej osoby zachodzą zmiany somatyczne (np. przyspieszone bicie serca), które następnie są interpretowane przez tę osobę jako określona emocja. [przypis edytorski]

atropina. Rozluźnia skurcz naczyń, zmniejsza ciśnienie. Zresztą okazało się w siedemnastym wieku, na podstawie obliczeń astrologicznych, że syfilis należy leczyć rtęcią. Teraz już się tak nie...

Idioto! Idioto! Sprac ją i pójść sobie. Zobaczyłbyś, jakby cię ona przepraszała. Tu nie jest ważne, kto ma rację. Tu nikt nie ma racji. Tu nie ma sensu przekonywać, tłumaczyć. Ona ma słuszość, gdy chce, abys ty tak postępował, jak sobie tego nie życzy. Tylko konsekwentnie.

Ale ty się boisz ryzyka. Jesteś tchórz. Powoli, powoli, myślisz, opanujesz ją. Gównno. Płacząc i rycząc. Gównno. Ona cię przecież kocha, mówisz, mimo że się do tego nie chce przyznać. Choćby wiedziała, że umrze, to cię nie przeprosi. Ciebie już nie”.

I myślał:

„W jak małym stopniu kochamy osoby, które kochamy, w jak wielkim nasze odbicie w nich, jak w lustrze, które powraca do nas, jako cecha im przypisywana. I jak z oddaleniem się osoby, którą się kocha, oddalamy się sami od siebie, tak że powstaje pomiędzy nami a nami męczące napięcie, od którego...”

Patrzcie no, jak on rozumuje w stylu Prousta¹²⁸, aby tę całą historię uczynić mniej osobistą”.

I myślał:

„Jak dawno nie doznałeś objawienia zadka? Objawienia czternastolatki, jak pchnięcia nożem; czternastolatki o skórze złotej jak rybia łuska... Jak dawno już?”

I myślał:

„Czym więcej ją lubisz (dlaczego używasz wyrażenia »lubisz«, kretynie jeden?), tym ona ciebie mniej. Waga po prostu. Raz w górze, raz w dole. Ale biada temu, kto da się przeważać. A przeważa się obojętnością. Pozorną lub prawdziwą. Obie strony licytują się w obojętności.

Tej reguły nie warto już opisywać, tak jest znana. A przecież jest ona sprzeczna z prawami biologicznymi. Zresztą gównno, czy jest sprzeczna, czy nie. Już nie mogę się tak męczyć. Kupić atropiny, bromu, tak żeby być z lekka pijanym, żeby nareszcie zelżała ta mała męka w dołku.

A jak ona wyjdzie tymczasem? Proszę cię, proszę cię...

Ty jesteś obojętny. Masz rację. Ty nie chcesz się w to mieszać. Tylko wyciągnąć jak najwięcej korzyści. Ja myślę o takim »Ty«, jak »Ono« (»Es«) Freuda. Ja nie myślę o wyciąganiu korzyści. Idealny przypadek byłby, kiedy by »Ono«, »Ja« i podświadomość były tym samym. Obrzydliwy nałóg myślenia”.

I myślał:

„Zdradzamy tych, którzy kochają.

Jak przypadkowy jest wybór obiektu miłości. Pod wielu nawarstwieniami uczuciami wtórnymi i innymi czortami, kryje się przypadkowa chwila, nastrój, który, jak kamień spadający, wywołuje lawinę-miłość, i nie można przewidzieć jej kierunku.

Miłość to jest coś w rodzaju odkręconego kranu. Jest *prawie* wszystko jedno, do jakiego naczynia woda się będzie lała.

Zdradzamy tych, którzy kochają. Dlaczego? Bo nas kochają. To jest powód DOSTATECZNY”.

I myślał:

„Dziecko dostaje lanie od matki i beczy. I jedynie matka, która je bije, może je pocieszyć”.

Przypomniał sobie brwi: jastrzęb w powolnym locie, oczy o niebieskich białkach, które wyglądają tak, jakby pływały w parafinie, i pomyślał: „Ja Kocham Ewę i koniec”.

Popatrzył na zegarek: 8.45. Pomyślał bez związku: „Początek *Appassionaty* — coś z groźby zwisającego orkanu”.

A Ewa kochała go tak, jak kocha się pluszowego niedźwiadka, któremu wykręca się uszy i rozpruwa brzuch, aby wiedzieć, co jest w środku — a bez którego nie może się usnąć.

¹²⁸ Proust, Marcel (1871–1922) — francuski pisarz, autor cyklu *W poszukiwaniu straconego czasu*, arcydzieła powieści psychologicznej. [przypis edytorski]

Wyszła ze szkoły o jedenastej. On był już całkiem wykończony. Wyszła w towarzystwie koleżanek. Podeszła do Emila i powiedziała z uśmiechem:

— Umiałam z łaciny.

TAM, GDZIE JEST LAWY

Ewa nie miała trzech duchowych ojców ani biblioteki. Ale było w niej co innego: przepaść, która wciągała, jak odkurzacz elektryczny, jak bagno.

Wessała Emila kompletnie i bez żadnego trudu. Nie zależało jej na tym, a jednak nie istniał już poza nią.

Nie znaczy to, by nie posiadał poglądów na swój prywatny użytek. Zawsze obecna w nim postać, stojąca na drugim planie, notowała wszystko z nieruchomą twarzą. Trzeba przyznać, że raz na zawsze nauczył się dużo i dużym kosztem.

Błądził po lekko obłąkanych zaułkach jej mózgu, nie próbując już logicznie przekonywać: był całkowicie w jej skórze.

Wycieczka w cudzy mózg i to w jaki. Ponury, pełen niespodziewanych blasków. Różne rodzaje ciemności, poprzerynane błyskawicami.

Okresy, kiedy się leży na samym dnie. Nieważne, na jakim. Zbierają się z czterech stron świata wszystkie parszywe stany, i żłobią, żłobią, aż wreszcie jest dno: już wspólnie. I wydaje się, że już nigdy nie można się będzie stamtąd wydobyć.

Słowo, powiedziane od niechcenia — i zapala się jaskrawe światło, które jest zbyt jasne, aby płonąć długo.

Poza tym małe labirynty w rodzaju:

— Emil! Słyszysz! Nie wolno ci absolutnie więcej płakać, jak ja się pogniewam.

— A jak ty się nie przeprosisz?

— To trudno. To ci też nie wolno.

— To ja nie mogę.

— Tłumaczyłam ci już sto razy... Musisz być więcej męski, aby mi się podobać. Ja nie chcę, żebyś był. Kropka.

— Kiedy ja się przy tobie rozplywam zaraz. Nie mogę być inny. Przynajmniej teraz nie. Od ósmego roku życia nie płakałam.

— To ja będę udawała, że ty nie płaczesz. Że jesteś taki, jak ja chcę.

— Jeżeli będę mógł, to ja się też będę starał. Ale co to będzie warte, jeżeli ty będziesz wiedziała, że ja udaję?

— To ja będę udawała, że o tym nie wiem. To nieważne, czy ja będę o tym wiedziała, czy nie. Tylko zachowanie...

Jej nozdrza drgały. Milczał.

— Ja tak lubię, gdy tobie zaczynają drżeć usta przed płaczem.

Albo (z oburzeniem):

— Dlaczego mi dałeś iść z tym bubkiem na plażę? Tak się zdenerwowałam i tak mi z nim było nieprzyjemnie.

— A gdyby ci było przyjemnie?

— To bym była zadowolona, że poszłam.

— Przecież sama uparłaś się, że z nim pójdziesz.

— Mimo wszystko nie trzeba mi było pozwolić.

— Mimo wszystko zrobiłabyś tak, jakbyś chciała.

— No, to bym zrobiła. Ale nie trzeba mi było pozwalać.

To były ostatnie próby logicznego przekonywania.

Była szczytem kobiecości, jej szczytem i zarazem otchłanią. Bez dna. W niej (Ewie i otchłani) gotowało się coś albo była zupełna pustka. Jedno i drugie z niesłychaną intensywnością. Jej konstrukcja życia była niezwykle i w porównaniu z nią życie Emila było jak jeden do czterech.

Układała swoje istnienie w sposób, w jaki powstają obrazy, powieści, balety, ale zupełnie nieświadomie: wycucie aż do perwersji stylu życia. Kształtowała swoją przyszłość, która była zwinęta w niej, jak sprężyna. I z jej życia zaczynało rozwijać się dzieło sztuki.

Genialność powstaje na przecięciu się warstwy najgłębszej, paleopsychicznej, z doskonałą warstwą uobiektywizującą, wyrażającą; iskra na przecięciu się dwóch drutów. U niej te warstwy biegną równoległe, niezależnie od siebie, i ta druga nie chciała się rozwinąć.

Ewa potrafiła być nadzwyczajna tylko w sobie samej. Tym się różni genialność życia od genialności twórczości.

Flaubert¹²⁹ powiedział: — *L'homme est rien, l'œuvre est tout*¹³⁰. Flaubert, człowiek o poronionym istnieniu. Tyle jest marnych żywotów ludzi o wielkim dziele.

I jeszcze jedno. Kobieta ma „pozytywną koncepcję szczęścia” (Montherlant). Dąży do szczęścia i czasem jest szczęśliwa. Jeśli nią nie jest — wie prawie zawsze, co by ją mogło uczynić szczęśliwą. A jakież człowiek mający szansę szczęścia, będzie tworzył naukę czy sztukę? Zwłaszcza gdy jest kobietą. Niewielu chyba.

Dla kobiet nie mają istotnego znaczenia wiadomości, które wsiąkły w ich mózgi: nie wpływają na treść ich życia, nie ciążyą na ważnych decyzjach. W *Życiu Voltaire'a* Maurois¹³¹ pewna pani mówi: „Czego mu nigdy nie przebaczę, to tego, że umożliwił mi zrozumienie rzeczy, których i tak nigdy nie zrozumiałem”.

Istnieje przepaść pomiędzy ich życiem a tym, co wiedzą o życiu. Poznają świat w dużej części poprzez mężczyzn. Dlatego większość kobiet, które mają mało przyjaciół, jest niemożliwie ograniczona. I dlatego dobrze robi mężczyzna, gdy jej przypina odłamki świata do uczuć.

Ewa składała się z ciemnej, wulkanicznej masy, która była siłą witalną, płynnym życiem i wdziękiem, z której tryskały nienazwane idee, bo jej technika uzewnętrzniania się nie mogła dorównać — i nie chciała — anonimowym pomysłom mózgow, zarażonych logicznością.

Zostawało tylko ciało, jako jedyny środek wyrazu.

Była zagrożona snem.

Czy sen jest czymś lekkim, lotnym, czy sen to tylko piana osobowości? Jest i tak, i wręcz odwrotnie: to jest praprosób myślenia, myślenia symbolami, obrazami, aglutynacjami¹³²...

Więc była Ewa zagrożona snem, jak wszystkie prawie kobiety.

Nie mogą się oderwać od biopodłoża. Miesiączka jest ciągłym *memento vivere*¹³³. Rzadko są uczonymi albo wielkimi artystami. Nie mają zdolności organizacyjnych i dlatego nie potrafią organizować rzezi. Żyją naturalnie i — być może — lepiej od mężczyzn. Gdy tańczą albo są dobrymi aktorkami, to nie muszą wyłazić z własnej skóry: grają i tańczą w życiu. (Dlatego wśród tancerzy jest tak wielu homoseksualistów). Krótko mówiąc, żyją, robiąc niewiele poza tym.

Często używa się wyrażenia „żyje” w innym znaczeniu. Na przykład: On „żyje” z nią. Albo: Ona nie „żyje” ze swoim mężem. I słusznie. Życ to jest prawie zawsze „żyć”. A dla mężczyzn życie jest sztuką, gdzie większość z nich zaledwie istnieje.

Żyła więc w półśnie. Między jej marzeniami a rzeczywistością nie istniała granica. Napór marzeń groził realności pęknięciem — a wiedziała, że tam dalej jest obłąd — zderzenia ze światem raniły ją.

Dzieci mają jeden świat dla dorosłych, w którym udają, że nie mówią do robaków, udają, że nie boją się muzyki i księżycy, udają, że się boją strasznych bajek i kominia-rza, udają, iż wierzą w to, że powinny być umyte, grzeczne, posłuszne... Mali symulanci. I drugi świat dla siebie, realistycznie czarodziejski, najeżony kielkującymi problemami, pełen zasadzek, widmowy i filozoficzny.

Podobnie kobiety: jeden świat dla mężczyzn, drugi dla siebie. Świat, przeznaczony dla mężczyzn, jest okrutny i „logiczny”, wystawiany na pokaz i na licytację. Ten drugi poznaje tak niewiele mężczyzn; rzadko się bowiem zdarzają kobiety równie inteligentne jak kobiece. *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate*¹³⁴.

¹²⁹ Flaubert, Gustave (1821–1880) — powieściopisarz francuski, wybitny przedstawiciel realizmu. [przypis edytorski]

¹³⁰ *L'homme est rien, l'œuvre est tout* (fr.) — Człowiek jest niczym, dzieło jest wszystkim. [przypis edytorski]

¹³¹ Maurois, André, właśc. Émile Salomon Wilhelm Herzog (1885–1967) — pisarz francuski, autor wielu biografii sławnych pisarzy i polityków. [przypis edytorski]

¹³² aglutynacja (z łac. *agglutinare*: sklejać, spajać) — skupianie się i zlepianie się komórek rozproszonych w płynnym środowisku. [przypis edytorski]

¹³³ *memento vivere* (łac.) — pamiętaj o życiu. [przypis edytorski]

¹³⁴ *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate* (wł.) — Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie (napis na bramie piekieł według *Boskiej komedii* Dantego). [przypis edytorski]

Szekspir: „Jesteśmy z tej samej materii, co sny”¹³⁵.

W którymkolwiek miejscu psychiki zaczniemy kopać — my, którzy wchodzimy — odkrywać coraz starsze warstwy, wdrażać się coraz głębiej, krętymi drogami, wszystkie zaprowadzą nas tu, gdzie śpi, bulgoce i przelewa się lawa. Niewzruszony świat rzeczywistości traci swój ciężar. Trwa tutaj pramniemanie, że wola i uczucie mogą zmienić bieg zdarzeń, mogą przekształcić substancję materii. Nie istnieją już tutaj przemiany fizykalne ani niemilosierna obojętność przedmiotów, z której usiłujemy wysnuć Boga, nie istnieją już więcej słowa różne i wrogie: „ja” i „rzeczywistość”. Zostaje tylko: „Ja jestem rzeczywistością”.

Emil:

— Nosisz dzisiaj wstrętne pantofle.

Ewa, patrząc na pantofle, *zupełnie serio*:

— Zobaczysz, one się jeszcze zrobią ładniejsze.

Nareszcie jesteśmy.

KRÓLESTWO NIEBIESKIE

Ewa pierwszy raz spotkała kogoś, komu mogła wszystko powiedzieć, kto nie dziwił się niczemu i komu *musiała* wszystko opowiadać; nawet gdyby wiedziała, że go w ten sposób może stracić. *Całkowita* prawda została mu przeznaczona.

On wszedł w nią całkiem i ona odczuwała go, jak psychiczny płód. On znał każdy labirynt jej psychiki i równocześnie odkrywał coraz nowe. On miała takie wrażenie, jakby rzeczy opowiadane nie wychodziły poza nią, jakby opowiadała samej sobie. W ten sposób ich dialogi stawały się coraz mniej zrozumiałe dla otoczenia.

On (to było częściowo równoważnikiem jej stanowiska) zmuszał ją do poznawania wszystkich mężczyzn, którzy — jak mu się wydawało — będą ją mogli zainteresować. Ona była wściekła i zmęczona poznawaniem tylu ludzi. On mówił na to: — Chcę mieć tę świadomość, że nieprzypadkowo tylko stałem się zbiornikiem twoich zwierzeń (miał jeszcze złudzenie, że istnieje poza nią), twoim kochankiem itd.

To była odwrócona zazdrość może, i on naprawdę nie chciał, żeby ona mogła w przyszłości pomyśleć, że on był tylko z przypadku.

Pisali do siebie listy, począwszy od trzeciego miesiąca znajomości. Pisali je w domu i przynosili na spotkania, pisali je nawet czasem na spotkaniach. Czytali je najczęściej na spotkaniach, rzadziej w domu. Pisali gorączkowo, „na kolanie”, na stronach zeszytów szkolnych, na papierze woskowym od śniadań, na niemożliwych świstkach.

„K. E., cieszę się dlatego, że przychodzisz do mnie do domu, że nie jesteś zaskorupiała, normalna, porządna (przyjemny spokój, śmierć za życia), i przez to dla mnie żyjesz, a niewielu ludzi żyje dla mnie (nie chciałbym, abys dla mnie umarła).

Męczę się dlatego, że jesteś kobietą, czyli dzieckiem, które zostało samo w domu (równocześnie nigdy, nigdy nie chciałbym, abys przestała być *tak bardzo* kobietą), i wszystko, co rozumiesz, muska ci tylko mózg i dlatego wszystko, co do ciebie napisałem, płowieje i błędnie tak szybko, a uczucia twoje nie odnoszą się do mnie, bo mnie wcale nie znasz, a ja uważam, że nie jestem teraz człowiekiem. Znasz mnie zdeformowanego, przez to, że cię kocham, zmiażdżonego tym, niemal spłaszczonego, jak człowiek przejechany przez walec do ubijania dróg; galaretowata, wstrętne masa. Wszystko, co robię, nie jest warte dwóch zdań, powiedzianych przedtem, jak to dawno (megaloman), jednego ruchu ręki, gdybym się go starał zrobić bardzo dobrze.

Jestem zaplątany w wielkie i mokre kłębowisko przeżyć, które — obrzydliwe i lepkie, a równocześnie wspaniałe, jako przyszły materiał i w ogóle — rozrosły się we mnie

¹³⁵Jesteśmy z tej samej materii, co sny — Szekspir, *Burza* (akt IV, scena 1). [przypis edytorski]

i sprawiają mi mękę i rozkosz wiecznego głodu. Rozwinęło się we mnie, dzięki tobie, takie małe, zepsute, zgangrenowane ziarno niepokoju; znalazło dobry klimat.

Pokazuję ci ciągle moje słabe i bezbronne strony. Czy wreszcie nauczysz się w nie — nie uderzać? Nie prowadź ze mną gry, bo wiesz, że wygrasz. Powiedziałaś: — Dlatego mnie lubisz, bo jestem zła. Czy to ma być próba obrony, tak na wszelki wypadek, automatyczna, nieświadoma, przed ciosami, które nie nastąpią?

Wreszcie chciałbym ci pokazać moją najsilniejszą stronę: wątpię, czy ktoś potrafi cię tak właściwie ocenić, tak dokładnie, tak rozmaicie.

e.”

„nie chcę cię oszczędzać — to jest twoja wina — nie chcę żebyś mnie tak kochał — tak źle — nie mogę cię też oszczędzać — to jest może »obrona przed uderzeniami, które nie nastąpią« — a może nie, nie wiem, całowałam się przyjemnie z Witkiem — używając języka, też — ja leżałam, on siedział nade mną z tyłu — nie nauczę się nigdy nie uderzać i nie chcę — musiałbyś dla mnie nic nie znaczyć — jak powietrze — dla mnie mało znaczą listy — znaczy tylko zachowanie się — tym można *wszystko* zrobić — a ty? — ja chcę wyjechać — nie wyobrażam sobie na razie jak bym się obeszła bez ciebie — nie wiem jak to jest połączone ze śmiercią — ale na razie — odjechać gdzieś daleko — jak nie to się puszczę albo zabiję, albo nie wiem co — tutaj umrę zginę „śmierć za życia” — jestem zła, że tej historii ze mną chcesz użyć literacko — tam będę rozłożona i nie sobą — chciałabym, aby mnie jakiś dobry malarz malował nago — ale na razie lubię cię i całuję —

Ewa”

„...jestem bezradny, dlatego że przy pomocy słów nic nie mogę zmienić, nic wytłumaczyć (znów »tłumaczyć«) i jestem po prostu zatkany jak zlew. Nie mogę ci obiecać, że ten list będzie ostatni, ale gdybym mógł, obiecałbym. Piszę listy, dlatego że to jest mój naturalny sposób wyrażania się, ale piszę je też, bo w twojej obecności zapominam wszystko, co chciałem powiedzieć. Jak tylko pomyślę, że masz przyjść.

Proszę cię, proszę, przerwij ty pierwsza ten stan napięcia, który się między nami wytworzył, jednostronnego napięcia (mam wrażenie, że jesteś taka ryba, która nosi samca w swoich wnętrznościach), bo on mnie niesłuchanie męczy. Nie uderzaj, żebym mógł oprzytomnieć trochę, żebym nie musiał się tak niesłuchanie upokarzać, żebym uzyskał trochę pewności siebie itd. Rozumiesz.

e.”

„Nie, to nie ma sensu i poza tym nie mogę obiecać. Dlatego nie ma sensu, że ty tę pewność siebie uzyskasz w takim razie przy mojej pomocy, będę cię nadmuchiwać jak balon, wypcham cię sobą i po dwóch tygodniach będziesz jeszcze bardziej sflaczały niż teraz. Ja chcę, abyś ty to sam uzyskał niezależnie ode mnie

Ewa

Jak śmiesz twierdzić, że ja uderzam? Ty robisz głupstwa, z których ja się wycofuję”.

„Uderzasz pasywnie — przez lukę w zachowaniu.

e.”

„Jak cię nie kocham, to co mogę zrobić? Powtarzać sobie codziennie przed snem — jak ty mi opowiadałeś »ja kocham e.«”.

„Nie męcz mnie”.

„Mój chłopcze, mama obiecała mi dzisiaj, że pojedę sama na wakacje. Tak się cieszę. Pojadę sama, samiuteńka w góry i cieszę się na wszystko, co może mi ułatwić zbieg okoliczności, przypadek.

Ewa”

Gdy było u nich spokojniej, to znaczy, gdy Ewa była po prostu w dobrym humorze, rozmawiali przyjaźnie, chodzili naumyślnie oglądać meble, tak jakby byli małżeństwem (zawracali głowy kupcom, ale ona mu w tym czasie wybrała nowy tapczan), cieszyli się, jak się komedia udała. Wybierali małe dziewczynki do przesyłania sobie wiadomości, córki dozorców, małe kuzynki Ewy; zwłaszcza jedna była urocza: ogromne niebieskie oczy, długie, jak na jedenastoletnią dziewczynkę, włosy. Była człowiekiem najbardziej godnym zaufania, przynajmniej Emil najbardziej jej wierzył, była wcieleniem dyskrecji, udawała zawsze, że nie rozumie, jaką wiadomość powtarza lub jaki list oddaje.

Emil uczył ją grać na fortepianie, bo była muzykalna. Jej spokojny, obojętny głos mówił: — De, przepraszam, że rękę źle trzymam.

Poza tym posyłali do siebie Józia, młodą pokojówkę Emila. (Emil wchodził do pokoiku Józii, klękał półzartobliwie i prosił: — Proooszę cię, idź do Ewy).

Całowali się w bramach, chodzili po deszczu w gumowych płaszczach, wchodzili do bram i całowali się. Sprawiało im przyjemność ryzyko, że zostaną zobaczeni.

Poszli pewnego razu o godz. 12.30 w nocy do podejrzanego parku — meliny i tylko dzięki swojej nieświadomej bezczelności Emil uniknął pchnięcia nożem, a Ewa gruntownego wymacania. Zresztą kto wie... o ile chodzi o Ewę... (Weszli do bardzo ciemnego parku. Z daleka zabłysła latarka prosto w oczy i zgasła. Potem podszedł jakiś typ w dżokejce¹³⁶: — Państwo tu względem czego? — Względem niczego. Szepty zapełniły mały park. Potem wszystko ucichło).

Gdy jeszcze było ciepło, czasem przychodziła naga pod płaszczem. Patrzyła, jakie to na nim robi wrażenie. On pytał:

— Jak szłaś tak przez miasto, dziewczynko?

Ona milczała, rozpinając płaszcz.

Lubiła chodzić do kina. Po filmie, który jej się podobał, mówiła jak dawniej: — Proszę cię, uważaj, żeby mnie auto nie przejechało. Ja jestem jeszcze tam. Nie wiem, co się dzieje.

On zauważył, że ona ma często w palcach skurcz naczyń. Wtedy robiły się niebieskie. „Może Bürger¹³⁷?” — myślał, i pytał z niepokojem:

— Dawno to masz?

— Jak mnie męczysz — mam to. Gdy jestem bardzo zdenerwowana.

Gdy pisała, a on przypadkowo mógł usłyszeć, na przykład w zapadłej uliczce, w nocy w polu, wyła, krzyczała przeciągle, aby to zagłuszyć. Ale poza tym nie była wstydliva. Wstydziała się jeszcze, gdy spała, to znaczy, nie chciała być widziana śpiącą. O ile chodzi o Emila — nie wstydziała się niczego więcej; ani mówić, ani czynić.

Miała zmysł orientacyjny i wyczucie miejsc nieznanymi. Ilekroć włóczyli się po werstepach, po uliczkach portowych, a ona go wyciągała nieznanym przejściem, on ją pytał: — Byłaś tu już? — Nie, ale... ja to miejsce znałam. Miała zmysł odwrotny do ptaków: wracała do miejsca, którego nie widziała nigdy.

Czasem opowiadał jej, jak i co myśli o świecie. (Ona mu nie opowiadała nigdy). Słuchała zazwyczaj uważnie, z pasją powagi.

— Na początku jest zdanie: wszystko jest możliwe i wszystko jest prawdziwe. Gdy będę się plątał albo mówił rzeczy sprzeczne — to nic nie szkodzi: zbliżam się tylko do neutralnej prawdy. Gdy będę mówił rzeczy jednostronne, zbyt logiczne — to znaczy, że albo jestem zbyt „przekonany”, albo zbliżam się do ciebie.

Bóg. Jego przecież trzeba załatwić. Prawda? Biedny Bóg. „Człowiek dbający o czystość, nie weźmie już do ust słowa »Bóg«. Przyłgnął do niego oddech dwóch tysięcy lat”. To

¹³⁶dżokejka — rodzaj sztywnej czapki, zwykle używanej do jazdy konnej. [przypis edytorski]

¹³⁷Bürger — tu: choroba Bürgera (zakrzepowo-zarostowe zapalenie naczyń); występująca w niej postępująca niedrożność żył i tętnic kończyn może powodować martwicę, wymagającą amputacji. [przypis edytorski]

powiedział Nietzsche¹³⁸ i to wystarczy. Pewien mądry człowiek o chrystianizmie: „Stal można złamać, guma jest niezwalczona”. Ale. Pewnego talmudystę spytano, jak można uchwycić Boga? „Wszędzie, ale nie tam, gdzie się Go szuka, i tylko wtedy, gdy się Go nie nazywa, i tylko wtedy, gdy się w Niego nie wierzy”.

Widzę, że cię to nudzi, ale przedtem... Dobrze to były czasy, kiedy się można było pogniewać na swojego boga, wyrzucić go na śmietnik, obrać sobie innego. W ten sposób zmieniano swoje „ja”. Ludzie stanowczo nie umieją się posługiwać swoimi bogami. Zaraz przejdziemy do spraw ludzkich.

Goethe¹³⁹ jest zdania, że chrześcijańskie słowo „Bóg” jest tylko inną odmianą słowa „ja”. Ja myślę, że nie tylko chrześcijańskie.

Dalej. Być na granicy normalności. (Skinęła głową). Ludzie normalni są rzadko interesujący. Ten punkt nie potrzebuje uzasadnienia. (Zaśmiała się). Ale na granicy normalności... Tacy ludzie czują obecność podobnych sobie od pierwszego wejrzenia, jak pederasci, jak psy, czy ja wiem, jak jeszcze co. Nie tylko to. Na granicach normalności, na krańcach siebie, człowiek jest nareszcie normalny, bo człowiek „normalny” jest stworzeniem rozpadłym w sobie, przytłumionym, żyjącym tylko cząstką życia.

Nie szkodzi, że niejasno mówię? Ty chwytasz to i tak nie rozumiem, tylko czymś tam.

Miłość. Będę mówił o sobie. Ty jesteś Narcyzem¹⁴⁰, ja też. Kocham cię dlatego najprawdopodobniej, bo cierpię z powodu utraconego narcyzmu. Ty mnie do tego zmusiłaś.

Ja jestem sentymentalny. Mężczyźni są w ogóle sentymentalni. Ogół kobiet, jeśli chodzi o miłość, jest przerażająco niesentymentalny. Bo dla nich to jest kwestia życia, a jeśli chodzi o życie — to stąpa się po trupach. Tak jest. Dlatego ty, kobieta *do głębi*, nie jesteś sentymentalna. Ja mam inne rzeczy: naukę, pisanie. Kobiety postępują tak albo inaczej z miłości do mężczyzn, *niegdą* z miłości do rzeczy.

Zaraz. Od czegośmy zaczęli? Od tego, dlaczego cię kocham. Nie kocham właściwie ciebie, tylko swoją miłość wraz z jej potwornie rozwiniętymi mackami, jak pnące się wino, jak rak, bo nie jest odgraniczona od zdrowych części, wraz z jej przerzutami... tak kończąc z miłością do ciebie, musiałbym... Właściwie tego nie warto mówić. Ale czy ja wciąż nie usiłuję udowodnić sobie, że nie kocham ciebie, lecz to, z czym ty jesteś luźno związana?

— Jaki stajesz się pewien i stanowczy w swych sądach, skoro tylko rozmowa nabierze intelektualnego charakteru. Jaki zręczny... A jaki niezgrabny, gdy nabierze innego. Wtedy jesteś naprawdę galareta, meduza na piasku. Mam wrażenie, którego nie chcę mieć, że jesteś stworzeniem, któremu dają się trochę pobawić w znanym dla niego żywiole i które strącam potem bez trudności i wciągam je w mój żywioł, w którym się porusza jak mucha w syropie. Ja chcę czuć pewien opór, pewną walkę. Nie chcę, żebyś aportował jak pies. Nie chcę, żebyś dawał się strącać. Chcę wymiany: ty wciągany przeze mnie, ja przez ciebie.

— Myślę, że to będzie możliwe, gdy przestanę cię kochać. Nie wyobrażam sobie tego inaczej.

— No, to baw się dalej, baw się pojęciami, jak kulkami. (Przed trzema dniami wytłumaczył jej, co to jest pojęcie).

Oboje milczeli, a potem on wyprostował swój psychiczny grzbiet.

— Nie mogę się dalej bawić. Nie chcę.

— Czy przyszło ci to kiedyś do głowy, że moglibyśmy się wcale nie spotkać? Ja bym dłużej pozostała w tej mętnej mgle...

— Niech żyje rajfurstwo, pośrednictwo do nierządu i tak dalej. Chcesz, żebym mówił dalej? (Potaknięcie).

— Rzeczy nieprzyjemne. Największą męką wszystkich ludzi — czy sobie zdają z tego sprawę, czy nie — jest to, że nasze przeżycia nie wpływają ani trochę na bieg rzeczy.

Kondycja ludzka

¹³⁸ Nietzsche, Friedrich Wilhelm (1844–1900) — niemiecki filozof i filolog klasyczny, koncentrował się na afirmacji życia, krytykował chrześcijaństwo. [przypis edytorski]

¹³⁹ Goethe, Johann Wolfgang von (1749–1832) — jeden z najwybitniejszych autorów niemieckich, poeta, dramaturg, prozaik, uczonek i polityk, gł. reprezentant nurtu „burzy i naporu”, przedstawiciel klasycyzmu weimarskiego. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ Narcyz (mit. gr.) — urodziwy młodzieniec, który wzgardził uczuciem nimfy Echo, za co bogini Afrodyta wzbudziła w nim miłość do jego własnego obrazu odbitego w wodzie; stąd *narcyzm*: stan skoncentrowania na sobie i zakochania się w samym sobie, występujący we wczesnym dzieciństwie, u dorosłych będący zaburzeniem. [przypis edytorski]

Największe cierpienie nie potrafi usunąć jego przyczyny, nie potrafi nawet podnieść ani pyłka kurzu. W ten sposób powstała religia: że potem, że w niebie, że w nagrodę za...

Źródłem wszelkiego zła jest świadomość. Z chwilą, gdy świadomość rozdarła naturę, wszystko wywraca się do góry nogami, wszystko przestaje być naturalne. Świadomość, wbita w życie, jak nóż w pień drzewa, o którym Rousseau¹⁴¹ pisze do Voltaire'a¹⁴²: gdyby nóż wyjęto, toby krew trysnęła...

Świadomość zrodziła treść, w szerokim pojęciu, treść zrodziła choroby nerwowe, choroby nerwowe zrodziły... Abraham zrodził Izaaka, Izaak zrodził Jakuba, to jest podobne.

Kondycja ludzka

Gdy obserwujemy bicie serca, to bicie to ulega zaburzeniom. Impotent dlatego nie może, ponieważ boi się, że nie będzie mógł. Pianista dlatego nie może grać, bo zdaje sobie sprawę, że może nie móc. Ja sam, pamiętam, posądzałem o złośliwość Pana Boga. Gdy ojciec dał mi do zrozumienia, że mama jest w ciąży, prosiłem o siostrę, bo chciałem mieć brata. Idącemu na egzamin życzy się: „złam kark”, bo chce się, żeby mu poszło jak najlepiej. Uciekającego najczęściej goni się. Kto się boi, jest bity. Czy myślisz, że lunatyk potrafiłby chodzić po rynnicy, gdyby zdawał sobie sprawę, że chodzi po rynnicy? „Wszystko przepadło” — myśli się często na głos, aby oszukać nieznane siły, aby okazało się, że jest jeszcze nadzieja. Cudowna celowość natury... Wszystko pokrzywione, miliony błędnych kół nerwowych u każdego z ludzi. Tysiące turbin nerwowych, gdy ktoś już jest chory. I moja miłość do ciebie wplątana w to także.

Chcieć i nie móc albo nie chcieć i musieć, albo jedno i drugie. Czy ty myślisz, że między „chcieć” a „nie chcieć” jest jakaś różnica? Żadnej. Jedyne demon: świadome chcenie.

Zauważyłaś, że najlepiej wykonujemy rzeczy, o których wykonywaniu nie myślimy? Dzięki brakowi świadomości zwierzęta osiągają taką zręczność. Jednym słowem: świadomość rodzi cierpienie.

Milczał chwilę.

— A jednak nawet za królestwo niebieskie nie oddałbym jednej chwili pełnej świadomości. Świadomość może — tak mi się wydaje — wyostrzać się i przedłużać (pomyślał o swoim ojcu i o filozofie Joachimie), aż dojdzie do... do wierzchołka, z którego wszystko widać, nawet własną śmierć, która nie wyda się straszna.

Kondycja ludzka

Zawahał się i zamilkł. A potem bardzo powoli:

— Istotom mniej świadomym jest łatwiej umierać, nie zdają sobie sprawy z tego, że umierają. Może więc bardzo wysoki i zupełnie niski stopień świadomości dają tu ten sam wynik? Może...

Ale chcę się cofnąć. Cierpienie i absolutna samotność wobec wielkiego cierpienia, twarzą w twarz z cierpieniem, nie można pomóc, chociażby się było najbliżej, chociażby najbardziej się chciało, „każdy jest zamknięty we własnej nocy, sam”. I błądzenie po nocy, gdzie widać tylko kontury zamazane, czasem światło, jak błyskawicę, potem ciemność — jeszcze większa niż przedtem, uwikłany w snach jest człowiek, w ciemnym pokoju jest człowiek, objąta się o meble, przewraca, pełza, aby wczynie...

Ona usiadła mu na kolanach i całując go z zamkniętymi oczami, z niesłuchaniem skupionym wyrazem, przechyliła się razem z nim na tapczan (ten, który kupili), i wyglądała jak dziecko, które się boi otworzyć oczy, żeby nie ujrzyć czegoś straszego, i jej wargi przycisnęły się do jego warg, tak jakby chciała wypić z niego życie, tak jakby prosiła o wybaczenie, tak jakby się chciała opić zapomnieniem o tym, co mówił, jak pijawka, bez ruchu, bez zmiany pozycji warg, jakby mu (nieświadomie) chciała zamknąć usta — dobry kwadrans.

Pocałunek

Po kwadransie była wyleczona. Przez ten kwadrans odczuł, że pierwszy raz, odkąd się poznali, jest trochę „na górze”. Ale ta przewaga nad nią wydała mu się nieuczciwie zdobyta.

¹⁴¹Rousseau, Jean Jacques (1712–1778) — francuski pisarz oraz filozof; postulował powrót do natury, odrzucał zdobycze cywilizacji. [przypis edytorski]

¹⁴²Voltaire, pol. Wolter, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) — francuski filozof, publicysta i wolnomysliciel epoki oświecenia. [przypis edytorski]

— Stara historia... Apollo, chcąc objąć Daphne¹⁴³ — objął krzew laurowy. Ze mną jest tak samo. Ja, mówiąc o życiu, obejmuję teorię życia.

— Dlaczego ty wszystko psujesz? Obejmujesz samo życie. Obejmujesz mnie.

— Czemu się bałaś?

— Dlatego.

On siedział, jej głowa leżała na jego kolanach. Miała oczy zamknięte już nie tak kurczowo.

— Boisz się siebie samej?

— Tak.

— Ja ci powiem, czego się boisz:

Boisz się stężenia, śmierci — jak wosk tężeje. (Skinięcie głową). Boisz się obłąkania. (Skinięcie głową). Trudno ci jest iść pomiędzy tymi drogami. Jest wieczne napięcie pomiędzy tymi drogami: obłąkanie — normalność. Ja myślę — potrafiśz. Boisz się ciemności. Nie takiej fizycznej ciemności. Boisz się, że w pewnym momencie nie będziesz wiedziała, gdzie się znajdujesz.

Zatkała mu usta ręką. Uśmiechnęła się.

— Oto jest twoja myśl o śmierci.

Pozornego rozwiązania nastroju (rozwiązanie akordu) niepodobna odróżnić od prawdziwego. Zresztą — czy wiadomo, które jest prawdziwe? Tak on pokazał jej, jak na tacy rozłożone, jej obawę, jej strach. Czy to było prawdziwe? Może, ale uśmiechnęła się.

Ona prowadziła go w miejsca swojego niepokoju, gdzie chodziła zwykle sama, nad morze, pod zwisającą skałą, nad rzekę, nad opuszczony kanał, nad rzekę, gdzie spotkali się po raz pierwszy, pod most kolejowy (czekała zawsze, aż pociąg przejedzie im ponad głowami), oprowadzała go tak, jak się oprowadza po kryptach średniowiecznych. Oprowadzała go po miejscach, które były stosunkowo zwykle, a on próbował na to patrzeć jej oczami. Ona pytała: — Skąd się tu bierzesz? — i nie mogła tego zrozumieć.

Wydawało jej się dziwne to, co z innego punktu widzenia było zwykle: była wielopostaciowa, wielokolorowa jak kameleon.

Miejsca te miały swoją historię, której nie było z początku widać, która wyłaniała się stopniowo, jak skały w czasie odpływu.

Wychodzili na ulicę, przy której mieszkała, i ta ulica była ulicą, przy której mieszka Ewa, ze swoimi brudami i tajemnicami. Ale co się stawało stopniowo z ulicą? Z początku widziana jak gdyby z boku, tak że musiała się dziwić i szukać domu, w którym mieszka. Potem rozwierały jej się chrapy, jak psu, co wietrzy: idzie powoli, powoli, rozglądając się po nieznaney okolicy, chociaż wczoraj była jej jeszcze dobrze znana, domy są obce (przypominają budy z filmu *Ludzie za mgłą*¹⁴⁴) i czuje, czuje (na szczęście jest Emil), że za chwilę nie potrafi sama wrócić do domu, zgubiona w nieznanym mieście, że w ogóle nie ma domu, że jedynym znanym jej miejscem jest skała zwisająca nad morzem, z której wydobywa się, jak opar, historia jej dzieciństwa, parują jej lata małej dziewczynki, z mchu wciśniętego...

I pytała:

— Skąd się tu wzięłaś? Co mamy wspólnego?

I pytała:

— Czego chcesz ode mnie?

A gdy on próbował coś odpowiedzieć żartem:

— Jakim prawem pan mnie zaczepia?

Tak głęboko weszła w swój trans. I czym on bardziej próbował ją ściągnąć na inną płaszczyznę, tym ona się bardziej robiła obca, prawie nawiedzona, tak że on musiał się bardzo opanowywać, żeby nie zacząć krzyczeć.

A potem całowała go na ulicy, mówiła:

¹⁴³*Daphne*, pol. *Dafne* (mit. gr.) — nimfa, córka Gai i Penejosa; uciekając przed zalotami zakochanego w niej Apollina, uprosiła ojca, by zamienił ją w drzewo laurowe. [przypis edytorski]

¹⁴⁴*Ludzie za mgłą* — film francuski w reżyserii Marcela Carné zrealizowany w 1938 roku, najbardziej reprezentatywna pozycja realizmu poetyckiego. [przypis edytorski]

— Nigdy bym sobie nie pozwoliła zająć tak daleko, gdybym nie wiedziała, że ty tu jesteś.

A potem, gdy był mróz i zimno, czekał na nią i czekał, gdzie tylko mógł, i ona mu raz powiedziała, że jej ojcu wydają się podejrzane gwizdki, którymi ją wołał, że wobec tego musi przestać gwizdać (początek *Sonaty B-mol*¹⁴⁵). Czekał i czekał fantastycznie długo, na mrozie, dwie i trzy godziny, aby ją złapać (gdy nie byli umówieni).

Czasem, gdy czekał, wieczorem, wychodził z niego pracłowiek, wychodził grzać się do światła i był zdziwiony, że tak mało ciepła na niego spływa.

Zostawał tylko jeden środek, telefon, którego należało używać nieczęsto (telefon był w sklepie jej ojca). Prosił wszystkie koleżanki, jakie miał, aby telefonowały, przejeżdżał na drugi koniec miasta, aby je prosić.

Gdy pewnego razu przyszedł ze spotkania, ze skurczem płaczu w gardle, i tak niesłychanie wydawało mu się, że jeszcze jej coś musi powiedzieć, „wytłumaczyć”, zdecydował się w rozpaczy poprosić o to matkę. Matka była chora i wkrótce miała być operowana, i poza tym ignorowała Ewę, bo słyszała coś o jej rodzinie, bo twierdziła, że jest bezczelna (nie kłaniała jej się nigdy na ulicy), jednym słowem — dość powodów. I mama miała dzwonić jako koleżanka.

Mama powiedziała: — Dobrze — ani jednego słowa uwagi, i zatelefonowała. To mu zaimponowało.

Niesłychanie męczące jego i ją dyskusje w zimnie, na mrozie, podczas których ona się potrafiła zawsze jakoś obrazić, pogniewać, a on nie mógł odejść, kiedy się ona gniewała.

Więc:

— Przepróś się, przeproś, proszę cię — i grzął coraz głębiej, bo ona coraz bardziej marzła. — Dlaczego ziewasz, gdy ja się męczę?

— Ja męczę się też i nie mogę już ustać na nogach.

— To proszę cię, powiedz mi, że się przeprosiłaś.

— Nie mogę tak powiedzieć, bo to nie jest prawda.

I tak w kółko.

I ona zacinała się coraz więcej (nieświadomie), on był coraz bardziej zrozpaczony, ona zaczynała płakać: ani jednej łzy, twarz rzeźbiona w kamieniu i nieuchwytna.

— Daj mi odejść, daj mi odejść — prosiła go. — Jeszcze mam zrobić cztery zadania matematyczne. Kręci mi się w głowie, już nic nie wiem, co chciałam, a czego nie, nic już nie wiem.

On nie spał pół nocy, a ona uspokajała się przy matematyce. On przemawiał do siebie:

— Emil, uspokój się, głaskam cię po włosach.

Gdy ryczał odjeżdżający okręt, Ewa myślała, robiąc matematykę:

— Ktoś odjeżdża.

WIDMA SYLWESTROWE

Śnieg padał. Znaleźli duży balon sylwestrowy na środku pustej jezdni. Usiedli po obu stronach balonu i pocałowali się ponad nim. Balon chodził za nimi jak pies.

Była druga w nocy. Szli łagodnie i lekko pijani. I balon za nimi jak pies. Biegł za nimi również hałas kawiarni, lecz oni byli poza nim. Znajdowali się we własnym oszołomieniu: ty i ja. Nie było między nimi napięcia, on trzymał ją pod rękę, a raczej trzymał futro, które było przyjemne w dotyku.

Coraz to bardziej oddalali się od śródmieścia. Zamknięte są bramy domów i zgaszone światła. On mówi:

— Gdy napiszę opowieść, która mi teraz dojrzała w głowie, zrobię ci z niej prezent sylwestrowy.

Podarował jej piżamę, która się jemu podobała, kajdanki-bransoletkę, która się jemu podobała, mały kwiat z kości słoniowej. Ona jemu — swoją fotografię.

¹⁴⁵*Sonata B-mol* — Fryderyka Chopina, op. 35 nr 2, jej trzecia część to znany *Marsz żałobny*. [przypis edytorski]

Więc padał śnieg. Nad wszystkimi wirował śnieg i ostre, podobne do cięcia, wrażenie: nigdy więcej. Nigdy więcej. *Never more*¹⁴⁶.

— Co do mnie mówisz? — pyta. — Co „nigdy więcej”?

Ona myśli:

— Jechać. Dżonki¹⁴⁷ chińskie. Samoloty. Dom publiczny. Widzi go ze wszystkimi szczegółami. Z salonem lustrzanym, przypominającym wejście dużego hotelu, z barierą, oddzielającą prostytutki od gości, i w każdej wybranej widzi siebie i czuje za nią. I potem dziesiątki wejść i wyjść. I małych chłopców na ulicy, zapraszających do odwiedzin. Potem nagle biały jacht...

On:

— Co „nigdy więcej”?

Tęgo nie zobaczysz. I tych bram, i domów. I tego śniegu.

Nagle cofnął się za siebie, poza siebie, i zobaczył: że tego już nigdy nie zobaczy. W końcu uświadomił sobie, że to wydobywa się z niego.

Ona myśli:

— Wieś. Godz. 19.03 przejeżdża ekspres. Nie zatrzymuje się na stacji. Stacja jest domkiem z małym ogródkiem. Codziennie 19.03 stoi naczelnik stacji w czerwonej czapce i salutuje pociąg. Codziennie 19.03 na stacji spotyka się elita miasteczka-wsi. Ona jest córką ekonoma i kocha naczelnika stacji. Naczelnik ma dalekie, niebieskie oczy. Te oczy codziennie, z nowym niepokojem, wypatrują ekspresu 19.03, jakby od niego miały zależeć losy świata. Może zależą?

Tyle możliwych żywotów, tyle różnorodnych. Dławi ją to, że jest ich tyle, TYLE. Tak, jak on mówi, że jest tyle książek na ograniczony temat, że jego to dławi. Jej to też zatyka oddech, że nie można żyć wielu żywotami naraz.

I wtedy zaczęła powstawać przepaść między nimi. Chociaż oni tego nie zauważają. Wciąż jeszcze sądzą, że myślą to samo.

Ale Ewa znajduje się już w tym czasie w stanie, który zbliża się do okrągłości kuli, kiedy wszystko dobre czy złe pochłania z jednakową żarłocznością, kiedy jej jest wszystko jedno, czy ją się kocha, czy nie, czy ją się zdradza, czy nie, bo wszystko jest życiem i wszystkiemu należy zaznać, i tak jak kula — toczyć się dalej; jest nienasycona.

„Jakkolwiek bądź ludzie się do mnie zbliżają, tak ich przyjmuję, albowiem *wszystkie drogi są moje*”¹⁴⁸ — można było o niej powiedzieć. „Ja jestem tym wszystkim” — można było o niej powiedzieć.

Wtem staje przed ulicą, która jest szeroka, ciemna i długa, nie widać jej końca, która wygląda jak step, pokryty śniegiem nienaruszonym — biała przestrzeń. Stanęli przed nią i zawahali się. Śnieg był czysty, nietknięty. Zawahali się chwilę i potem poszli dalej, zostawiając głębokie ślady.

Nad nimi wiruje i unosi się „nigdy” i śnieg. Nad nią — „jechać”. Ona popatrzyła na jego twarz i przestraszyła się: była tak zmieniona, upiorna. On popatrzył na nią i przestraszył się: wrażenia, jakie wywołała jego twarz. Przycisnął jej ramię do siebie i wydało mu się, że trzyma za ramię NIKOGO.

Wtedy ona zamknęła się w sposób, który znał, jak kwiaty, które zamykają się na noc, jak jeź. Została tylko opancerzona powierzchnia. I wtedy wypuściła, jak rakiety, czerwone, zielone, swoje pragnienia: tyle możliwych żyć.

Ich kucharka Marysia. Młoda dziewczyna. Patelnia. Życie jest od niedzieli do niedzieli. Życie składa się z samych niedziel. A ile życie ma niedziel?

Jak przez mgłę, przeniknął do niej jego głos:

— Ja też chciałem być i chcę chwilę — żebrakiem, leżąc na ulicy, i kulisem chińskim, i prostytutką, wiesz, jak miałem siedemnaście lat, to długo wmawiałem sobie, że chcę być przez pewien okres kobietą, i śniło mi się raz, że mam miesiączkę. Włazić w skórę

Artysta

¹⁴⁶*Never more* (ang.) — nigdy więcej; w nastrojowym poemacie *Kruk* (1845) Edgara Allana Poe, o mężczyźnie zrozpaczonym po stracie ukochanej, powtarza się kluczowy wers *Quoth the Raven: Nevermore* (Rzekł Kruk: Nigdy więcej). [przypis edytorski]

¹⁴⁷*dżonka* — rodzaj azjatyckiej łodzi o prostokątnych żaglach. [przypis edytorski]

¹⁴⁸*Jakkolwiek bądź ludzie się do mnie zbliżają, tak ich przyjmuję, albowiem wszystkie drogi są moje* — z księgi *Bhagavadgita* [dialogu filozoficznego stanowiącego część *Mahabharaty*, staroż. hinduskiego poematu epickiego; red. WL]. [przypis autorski]

innych. Mówić o sobie „robiłam, spacerowałam”. Czym bardziej jestem w skórze innych, tym wyżej wznosi się moje „ja”. Dlatego wybrałem ten zawód. Nie myśl, że zgubię się w innych. Nie mówiąc już o rozkoszy, którą mi to daje.

Potem smutno:

— Ja wcale nie mam własnej duszy. Istnieję tylko dzięki innym, których rozumiem. Jestem jak woda, która przylega do ścian naczyń.

I po przerwie:

— To, co ostatnio powiedziałem, jest też prawdą, ale nie tylko. Jak zwykle. Na szczęście istnieję. Wprawdzie nie tak intensywnie, jak ty...

Powoli przeciekały słowa do niej, jak światło przez liście, i to, odgadł jej myśli — co zresztą nie było trudne — zaczęło powoli zasklepać przepaść, która się utworzyła między nimi. Poczua ciepło (nie fizyczne). Była wdzięczna, że z nią współczuje (nie: jej współczuje — tego by nie zniosła), i powoli rozkurczyła się, otworzyła.

Dla niego każdy przedmiot nabierał nieprzewidzianego znaczenia: bramy domów, zdechły pies, latarnia uliczna, płatki śniegu na kołnierzu. Wszystko oglądał na nowo, jakby dawno nie widziane, jakby na nowo odkrył. Wszystko uderzało jego oczy, jak reflektory. Coś z uczucia żegnania. I duch jego unosił się ponad śniegiem i miastem. I duch jego unosił się samotny i cierpiał z powodu swojej samotności.

Gdy wrócił wreszcie do niego:

— Chodźmy na klinikę chirurgiczną. Tam mnie znają.

Klinika stała w głębi ogrodu, jodły były pełne śniegu, stary portier o dużych wąsach był nieco zdziwiony. W dyżurce siedziała siostra Marysia, nieco za otyła, o granatowych oczach, opuszczała i podnosiła długie rzęsy.

— Zawadzki operuje *appendicitis z peritonitem*¹⁴⁹.

Emil poprosił o dwa fartuchy i powiedział do Ewy:

— Mogłabyś zostać siostrą. Ładnie wyglądasz.

Do Marysi:

— Profesora chyba nie ma w Sylwestra.

Marysia skinęła rzęsami, tak jakby kto inny skinął głową.

W operacyjnej paliło się niebiesko-białe światło. Pacjent miał już otworzony brzuch, w którym było widać tylko żółto-białą masę. Jelita miał wyciągnięte na wierzch, ropa śmierdziała, Zawadzki był czerwony, sapał przez maskę, grzebał w jelitach, mruczał coś do instrumentariuszki. Ponieważ instrumentariuszka została przyzwyczajona przez profesora do dosłownego powtarzania podczas operacji jego wszystkich poleceń personelowi, powiedziała:

— Idź pan do cholery do Es, niech mi znajdzie wyrostek.

„Es” był pierwszym asystentem i miał dyżur tej nocy. Emil zobaczył go, jak spał. Miał bladą twarz satyra ze spiczastymi uszami i wąskie ceglaste usta. Ujął go pod ramię i potrząsnął. S. otworzył oczy i spytał półśpiąco i spokojnie:

— Co się stało?

— Proszę pana do operacyjnej.

Chwiejąc się, poszedł szerokim korytarzem. Po drodze mrużył oczy, które wydawały się jak wprawione. W przedpokoju operacyjnej mył ręce z zamkniętymi oczami. Wyciągnął jedną i powiedział niedosłyszalnie:

— Rękawiczka.

Wszedł na salę operacyjną bez słowa, jakby jeszcze spał. Podeszedł do stołu i — nie patrząc na pole operacyjne — ujął delikatnie jelita. Wyciągnął wyrostek i szepnął do Zawadzkiego:

— Ma pan.

Potem pomału ściągnął rękawiczkę i wyszedł, chwiejąc się.

— Chcę stąd iść — powiedziała Ewa.

Na korytarzu z cichym sykkiem jechał wózek, taki, na jakim do salonu wjeżdża herbata; tylko o wiele dłuższy. Pchał go sanitariusz. Leżała na nim młoda kobieta z zakrytą twarzą, i jej włosy ciągnęły się aż do ziemi. Była mało ubrana: trup.

— Stój pan — szepnął Emil.

¹⁴⁹ *peritonit* — popr.: *peritonitis* (łac.), zapalenie otrzewnej. [przypis edytorski]

Zdziwiony sanitariusz stanął.

— Podejdz.

Ewa podeszła jak lunatyczka. Stali we troje, ale tylko Emil patrzył na trupa.

— Popatrz.

Wskazał na wewnętrzną stronę ud, prawie u wejścia pochwy: „Ja kocham Emila” — było tu wytatuowane.

— Jedź pan — powiedział, ale sanitariusz nie odjeżdżał. Patrzył na wskazany napis.

Wyszli. Zostali wciągnięci w wiatr, który ciał w wirujące płatki śniegu.

Mysłała:

— Życie jest rozwarłe przy latach piętnaście, szesnaście, siedemnaście. Jest pełne możliwości. Możesz być tym i tym, albo tam i tam. Potem zaczyna się zwężać jak stożek. (Niedawno właśnie uczyła się o stożku). Zostaje coraz mniej możliwości, szans. W końcu zostaje tylko jedna.

— Dziwny przypadek — powiedział poprzez wiatr Emil.

— Ja tak się boję śmierci, że chyba popełnię samobójstwo — powiedziała poprzez wiatr Ewa.

— Ja tak kocham życie, że...

I powiedział:

— Mała.

— To mi nie pomaga.

— Dziewczynko.

— To też nie.

— To ty pomóż mnie.

— W czym?

— W tym, że czuję się bardzo sam, gdy myślę, że pewnego dnia może się to wszystko skończyć.

Ona, która go zrozumiała zbyt wąsko:

— Ooo, tak. Ja czuję, że pewnego dnia wyrwę się stąd. Ile — myślisz — mogłabym zarabiać jako prostytutka? Żeby zarobić na podróż dokądkolwiek.

— Jesteś dziecko.

Jego duch unosił się znów ponad wicherą i miastem, a jego ciało szło, potykając się, po śniegu, i oddalało się od ciała Ewy.

Wtem krzyknęła:

— Dokąd idziesz?

I:

— Co ci jest?

Wtedy jego duch runął z wysokości i ona całowała go ponad balonem, który chodził za nimi jak pies. (Przed kliniką czekał i marzył).

Całowała go na tle umierającej nocy.

JOANNA III

».....«

Tęsknię za P. Przysyłał mi przez 3 mies. forszę, a teraz nie przysyła, tylko pisze listy. Nie chce mi się z nikim wychodzić ani tańczyć, ani spacerować. W łóżku pracować mi zbrzydło.

Dziwna rzecz, ta Ewa. Zaczyna być kimś. Jak była mała, to nie dostrzegałam tych cech, które teraz widzę. Zaczyna żyć jak ciotka-tancerka, tylko łukiem o wiele wyższym i innym. Zobaczymy, czy nagle nie runie. Aha, posłałam P. moje fotosy. Dałam się pomacać trochę fotografowi z przeciwka i zdjęcia już są. To była wstawka. Dalej o Ewie. Te jej dziwne cechy... A może to tylko robi zwariowane zachowanie się Emila przy niej. »Nikogo nie widzi poza nią« — to nie jest tylko powiedzenie.

On naprawdę nie widział mnie, jak myśmy we trójkę szli odwiedzić ciocię Fełę, która ma znów okres wariactwa. Ona ma to okresowo. Nim ją zabiorą, to Ewa ma za swoje jaki miesiąc. Piekło w domu.

Najpierw przechodziliśmy koło pawilonów, w których były okna otwarte. Zapamiętałam jakąś chorą, która wołała omdlewającym głosem: »Oficerze, oficerze mój« i tak w kółko. A potem, gdy widziała, że my już ją mijamy, zaczęła dużo ordynarniej na ch. i k.

Młodość

Pocałunek

Ale to jest szczeniak wobec cioci Feli. Ja, ostatecznie, znam dużo ordynarnych wyrażen, ale było dużo takich, których nie znałam wcale, albo w okropnie długich i skomplikowanych kombinacjach. »Nieoczekiwane zestawienia« i »potworna wyobraźnia«, tak mówił Emil. Notował sobie niektóre. To była jedyna rzecz, oprócz Ewy, na którą zwrócił uwagę.

Pozbędę się tego darmowego Janka, nie mówiąc już o tym, że on mnie chce się pozbyć. Jeszcze o cioci Feli: muszę ją krępować, bo cały dzień chce gonić, mówić, jest b. seksualnie podniecona itd. Jedno mnie intryguje, skąd ciocia F. zna takie wyrażenia?

Poza tym oburza mnie postępowanie Janka. Poniżył moją godność zawodową przez to, że sobie znalazł, jak myślę, taką, która mu będzie wyczyniać te wszystkie rzeczy lepiej ode mnie. *Przypomniałam sobie*: ciocia F. była w młodości jeszcze lepszym numerem ode mnie, nie, nie ode mnie, od wszystkich numerów, jakie znam.

.....
Komentarz: To, że monologi cioci Feli nie zostały tu powtórzone zawdzięczać należy jedynie skromności Joanny.

NA DNIE

Gwiazdy pływały jak lilie na wodzie i drgały lekko; niebo było jak jezioro. Księżyc wchodził pomału, jak aktor na scenę.

Wiedział, że przyjdzie za pół godziny.

Chodził wolno wzdłuż ścian pięciu pokoi, jak kot ocierał się ramieniem i ustami o szafy półki. I nie sprawiało mu to przyjemności.

Chodził dookoła zegara, czarował go i ziewał; dookoła mikroskopu ojca, przez który zobaczył po raz pierwszy, pięć lat temu, plemniki; własne. Pił wodę w kuchni, oglądał ją przedtem pod światło, maczał wargi i nos w szklance. Patrzył z bliska w oczy małego psa (nazywał się Mula) i wąchał jego wydęty, komiczny brzuch.

I nie sprawiało mu to przyjemności.

Czuł, że jest rozpięty w oczekiwaniu, jak motyl pomiędzy szpilkami.

Wtedy ułożył na pluszowej tarczy patefonu płytę, *Kohysankę Królewien* Strawińskiego¹⁵⁰, którą kochał. Dwa czarnoksiężskie motywy, splatające się jak tańczące węże, wyginały się w zaczarowanej kuli z kryształu, podobnej do strasznych snów małych dzieci. Gdy zastygły wolno w pozie hinduskich tancerzy, usłyszał w tym daleko echo Bacha i sprawiło mu to teraz przykrość, bo mu się zbyt podobało.

Popatrzył na zegar, podszedł do szafy, wybrał piżamę i wkładał ją wolno, poważnie, starannie, jak kapłan przed spełnieniem ofiary. Kwiaty przeciągały się na jego długich rękawach, gdy podnosił ręce w górę, aby je tak trzymać długo. (Mojżesz podczas bitwy z Amalekitami¹⁵¹). Przedmioty w pokoju składały się z cienia i aksamitu. Położył się na niskim tapczanie, patrzył bez przerwy na refleks światła, poruszający się koło fortepianu, i leżał jak owad, który udaje, że umarł.

Słyszał, jak szła po schodach, jak otwierała drzwi. Widział przez półprzymknięte powieki, jak wchodzi. Nie ruszył się.

Podeszła do niego. Stanęła. Nie ruszył się.

Wydał cichy syk, ujął jej dłoń, pociągnął ją w dół i upadła na niego. Odsunął ją miękko, aby rozciągnąć tę chwilę jak gumę i głośkał ustami własne ramię.

Przyszła z plaży w dziewczynkowatej sukni, którą nosiła, gdy miała piętnaście lat. Miała mokre włosy. Stali przy oknie, odciskali wargi na szybie, za szybą przepływały światła, w pokoju było ciemno, jak w akwarium.

Rozpinał jej suknię, która była łatwa do rozpinania. Przyniosła do łóżka morze w oczach, zapach słońca na skórze opalonych z jednej strony nóg (tak, jak jabłka są czasem zaczerwienione tylko z jednej strony), mieszaninę woni lekkiego potu i morskich wodorostów

Seks

¹⁵⁰ *Strawiński, Igor Fiodorowicz* (1882–1971) — kompozytor, pianista i dyrygent polskiego pochodzenia, urodzony w carskiej Rosji; autor baletu *Ognisty ptak* (1910), którego częścią jest mroczna kolysanka Ptaka. [przypis edytorski]

¹⁵¹ *Mojżesz podczas bitwy z Amalekitami* — wg biblijnej *Księgi Wjścia*, kiedy podczas bitwy z plemieniem Amalekitów Mojżesz trzymał ręce w górę, Izraelici mieli przewagę, gdy je opuszczał, zaczynali przegrywać; dlatego jego towarzysze podtrzymywali mu ręce do końca bitwy (Wj 17,11n). [przypis edytorski]

pod pachą. Obejmowała go udami jak ciepły piasek, barwa jej oczu zapadła się głęboko i nieustannie jak niebo, gdy się leży pod nim na wznak.

Leżała na plecach, dotykała policzkiem poduszki i ukazywała profil filuterny i tragicznie poważny, trzepoczące skrzydełka nosa, jak skrzydła ptaka.

Mówił jej do ucha:

— Zdechnę, słyszysz, tak mi się podobasz, mam ochotę lizać ziemię (Kochanie, za dwa lata będziesz ją lizał), tarzać się po podłodze. Wiatr wieje między twoimi włosami, jak między gałęzmi nadmorskich krzaków. Chcę umrzeć, leżąc na tobie, tak, właśnie tak.

Jej dłoń, leżąca na krawędzi tapczanu, oświetlona płamą światła, odcięta cieniem od ciała, zaciskała się wolno i rozszerzała, jak pulsujące zwierzę, i zdierała paznokciami równomiernie i rytmicznie warstwy nitek, potem warstwy skóry. Jej oczy błyszcząły i gasły, błyszcząły i gasły, jak latarnia morska z daleka.

Odwróciła pomalą głowę w półuśmiechu, dolna szczęka opadła jej nieco w dół, odsłaniając błyszczące w ciemności zęby.

I ten grymas boleśnie bezosobowy jest grymasem orgazmu i agonii.

Opadała wolno w drganiach, zaciśnięta dookoła niego, zsuwała się po nim miękko, jak po słupie.

Potem wstała i chodziła boso wzdłuż ścian, a on widział jej ciało cętkowane jasnością i cieniami, jak skóra lamparta; światło wędrowało plamami po jej udach, ramionach, głowie i brzuchu. Słyszał jej mruczenie bulgocące cicho w gardle, jak u zasypiającego kota, szelest potrąconej kartki papieru; nic więcej.

W końcu wróciła. Siedziała na dywanie, nogi podwinięte pod siebie jak Budda, tułów wyprostowany, głowa odrzucona w tył; on oparł głowę na jej udzie; światło ześlizgnęło się z ramienia, z jej ramienia dziewczynki, w dół na sutkę i wróciło: reklama z przeciwka. Przymknięte powieki błyszcząły jak wyrzeźbione w metalu, wydawały się jej ciężkie, gdy je podnosiła.

Oto bardzo stare dziecko z ustami fauna¹⁵² leży przy piersi dziewczyny, marokańskiej Madonny, szesnastoletniej Madonny, trochę królowej Nefretete¹⁵³ o chłopięcej szyi i bezczelnych ustach.

Wtedy z kąta wypłynęły dwie ryby o różowych, wypukłych i świecących oczach i znikły w ciemności. Zawieszona w spokoju, półspiące, płaskie stworzenia wybuchły nagle fioletowym światłem, wykonały nerwowy tik i zapadły się w lekki piasek, który rozstąpił się pod nimi i pokrył je. Meduzy niebieskie i różowe kołysały się jak kwiaty o grubych i miękkich koronach. Kręgousto ryby, strzelające zielonymi, neonowymi światłami, płynęły sennie przez granatową, gęstą wodę. Ośmiornica wyblakła pełzła dookoła wzgórz koralu.

Na samym dnie siedziała ona wśród gwiazd i wodorostów, z podkurczonymi nogami, pół bóg, pół zwierzę, podnosząc ciężkie złote powieki...

Nagle wstała (jego głowa upadła na dywan), podeszła do okna:

— Drań jesteś!

To były pierwsze słowa, które dziś wymówiła.

— Powiedziałeś chwilę temu, że zdychasz, że masz ochotę lizać ziemię. A gdy przyjechał stary ptak Rachmaninoff¹⁵⁴, mówiłeś to samo, gdy słyszałeś Landowską¹⁵⁵, starego ptaka, mówiłeś to samo, gdy czytałeś Montherlanta, to samo, gdy Anderson¹⁵⁶ śpiewała

¹⁵²*Faun* (mit. rzym.) — bóg płodności, pól i lasów, opiekun pasterzy, przedstawiany jako brodaty mężczyzna z kozłimi kopytami i rogami. [przypis edytorski]

¹⁵³*Nefretete* a. *Nefertiti* (ok. 1370–1330 p.n.e) — żona króla Egiptu Echnatona; rozslawiona swoim realistycznym popiersiem, znajdującym się ob. w zbiorach berlińskich. [przypis edytorski]

¹⁵⁴*Rachmaninoff*, właśc. *Rachmaninow*, *Siergiej Wasiljewicz* (1873–1943) — rosyjski pianista, kompozytor i dyrygent. Kilkakrotnie koncertował w Polsce, po raz ostatni w lutym 1936. (*Rachmaninoff* to transkrypcja nazwiska, jakiej używał, odkąd w 1917 wyemigrował z Rosji). [przypis edytorski]

¹⁵⁵*Landowska*, *Wanda* (1879–1959) — polska klawesynistka, jej wykonania i nagrania odegrały wielką rolę w odrodzeniu popularności muzyki klawesynowej na pocz. XX w. [przypis edytorski]

¹⁵⁶*Anderson*, *Marian* (1897–1993) — amerykańska śpiewaczka (kontralt), wslawiona nagraniami oraz licznymi koncertami i recitalami w USA i Europie; znana też z plenerowego koncertu pod pomnikiem Lincolnna w Waszyngtonie w kwietniu 1939, zorganizowanego w geście protestu przeciw odmowie udostępnienia jej sali

Śmierć i dziewczynę...

Zaśmiała się.

Przyczołgał się do okna; leżąc na podłodze, dotknął językiem jej stopy i mruczał:

— O, tak, Rachmaninow to jest stary ptak-orzeł, jego twarz, gdy grał, stałem przy estradzie, jest twarzą konającego, twoją twarzą tej chwili, gdy mówiłem do ciebie, słyszałem jak dyszy i syczy, jak ty. I miałem ochotę wtedy, słusznie, i innym razem też, bogom za to dzięki, wyć, i wylem, i teraz też, gdy liżę twoją nogę, gdy zlizuję z niej morską sól, należy próbować wszystko wargami, mieszać w sobie i ciebie, i to, gdy pewnego dnia pójdziesz, i Russela, i czarną Anderson, i brzuch mojego psa, i rzeczy, których nie znam, i wtedy...

Zobaczyła jego wywrócone oczy i połyskujące białka.

Powiedziała:

— Jesteś komediant. Mimo to kocham cię.

— Jestem nim też.

— Leżymy jeszcze na dnie morza?

— Ja tak, a ty nie.

— Popatrz, woda jest intensywnie niebieska, cytrynowożółte światełka na czułku tej żabnicy¹⁵⁷, a tu ryba bez własnych świateł. Przechodzimy w gęsty kolor turkusowy, kałamarnica o bladoniebieskich i bladozielonych światłach.

— Przestań. Ty nie masz tak prawa mówić.

— Dlaczego?

W tej chwili zadzwonił telefon.

— Psia krew.

— Do cholery.

Telefon dzwonił długo, bardzo długo. Potem przestał.

— Oto ryba mająca tylko oświetlone zęby, a między nimi czarna przestrzeń, stada srebrnych ryb, ryby leżące we wnękach koralowych, latające mięczaki koloru starego złota...

— Przestań.

— Dlaczego?

— Bo ty nie leżysz na dnie morza.

Telefon zadzwonił znowu. Dzwonił długo, bardzo długo. Ale teraz nie chciał przestać.

— Wściekł się, czy co?

Emil powoli wstał. Rozmowa. Bardzo krótka. Wraca i mówi:

— To był telefon z kliniki. Coś się stało mojej matce.

Ubrał się i wybiegł. Ewa była przez sekundę jak sparaliżowana. Potem ubrała się też. Kręciła się przed kliniką, jak dzikie zwierzę, uwiązane. Pamiętała tylko jodły z tamtej nocy.

Potem Emil zeszedł bardzo błady i uśmiechnął się:

— Moja mama umarła.

Kręcili się obydwoje, jak dzikie zwierzęta, tam i z powrotem.

— Ojciec nic o tym nie wie jeszcze. Ten idiota lekarz dyżurny myśli, że będę od razu chciał popełnić samobójstwo. Ojciec przyjdzie tu za jakieś pół godziny. I to ja mu to muszę powiedzieć.

Milczenie. Chodzili coraz bardziej nerwowo, coraz bardziej zdyszani.

— Ja będę musiał powiedzieć: „Mama umarła”, chyba tak? Co?

Ona milczała.

— Chyba tak? Kiedy on wreszcie przyjdzie?

Wtedy ona wzięła go delikatnie za ramię i pocałowała w oczy. Wtedy na zakręcie ukazał się Filip z docentem neurologii (jeszcze) N. Rozmawiali o czymś zapalczywie. On rzucił się do nich, jak biegacz na sto metrów. Zapamiętał rozbawiony wyraz oczu ojca, gdy docierał do nich.

z powodów rasistowskich. [przypis edytorski]

¹⁵⁷żabnica — ryba morską, nazywana też diabłem morskim; większość czasu spędza na dnie i wabi małe rybki mięsistym, wijącym się wyrostkiem na końcu długiej wędki wystającej ze szczytu głowy. [przypis edytorski]

Potem:

— Przepraszam cię.

— Czy coś się...?

— Mama umarła.

I przerzuciwszy ten ciężar na ojca — uciekł. Usłyszał jeszcze za sobą zawstydzony głos Filipa:

— Przepraszam kolegę na chwilę...

— Chodź — zawołał do Ewy.

Nie był na pogrzebie i nie pokazał się trzy dni w domu.

— Zobaczyłem jakąś lalkę, która miała być poprzednio moją mamą. Miała ranę w sercu. Ten idiota myślał, że to skrzep, i próbował operować. Ale prędzej kollapse¹⁵⁸ pooperacyjny.

Pauza.

— Mnie się wydaje, że ona wyjechała. Nikt, ale to nikt, nie może sobie zdać sprawy z czyjejs śmierci. Zrozumieć i odczuć, że jakiegoś człowieka nie ma, *nie* że odjechał albo coś takiego, że go nie ma, że nie istnieje więcej, a poprzednio istniał — to nie jest możliwe. Ja to zapomnę. Ale nigdy żadnej śmierci nie zrozumieję.

Wtedy nie płakał. I Ewa była zazdrosna, że nie płakał.

Jakaś młoda matka wżerała się w policzki swego rocznego dziecka. Potem zaczęła je bić po tyłku i biła je długo. A potem tyłek całowała i jadła. Bachor wrzeszczał. Matka ciągle jadła tyłek. (Emil patrzył na to z przerażeniem). A potem wrzuciła bachora do wózka i zaczęła — jak gdyby nigdy nic — rozmawiać z sąsiadką. (Emil zacerwienił się ze wstydu). Bachor wrzeszczał. Matka zaczęła krzyczeć i znów bić po tyłku i tak *ad infinitum*¹⁵⁹.

Na pogrzebie matki Emila było mało osób, bo stosunek Filipa do pogrzebu odpowiadał stosunkowi Emila, tylko jemu nie wypadło. Dlatego stara praciotka z bocznej linii zaczęła Emila w parku w trzy miesiące później i nudziła go. On czekał, jak prawie zwykle, na Ewę. Burczał, fukał, szczekał prawie na ciotkę, która była głuchawa. Gdy się ciotka w końcu zorientowała, powiedziała:

— Emilku, przyjdźcie do mnie z mamusią.

Wtedy Emil zrobił nieokreśloną minę i rozbeczał się. Powiedział przez łzy:

— Mama umarła.

KRAJ, W KTÓRYM NIE MA EWY

W kraju, gdzie nie było Ewy, duch unosił się nad wodami i niepokoje.

Uciekał przed niepokoje do mrocznej królikarni ojca, do klozetu — żyjącego w nim zawsze schronienia dzieciństwa, na samo dno najbliższych mu książek, na powalę pokoju, na brzuch swego psa, na wesołe słońce w wodotryskach.

I niepokój chodził za nim i był wszędzie: w półmroku królikarni, i w klozecie, i w książkach, i na powale, i w brzuchu psa, i w wodotryskach, świecących w słońcu, i wszędzie widział szare, stojące wody.

Niepokój był bezprzedmiotowy, związany niejasno i magicznie z Ewą; czepiał się sprzętów, aby je rozdmuchać, i one rosły, puchły i dostawały erekcji, a duch unosił się wysoko ponad nimi, czujny i uważny, i skupiał mękę, jak soczewka, i wpatrywał się w nią tak ostro i długo, aż czynił ją nie do zniesienia, aż się mała Głgota zaczynała palić.

I gdy opuszczał wreszcie kraj, w którym nie było Ewy — płakał.

PEWNEGO RAZU...

Pewnego razu Emil mówił do Ewy, która miała brzydkie nogi w kostce:

— Jaka szkoda, że nie mogę tego wykładu przypisać mojemu Sokratesowi. Błędem jest, że kobiety o brzydkich nogach noszą długie suknie. Przeciwnie powinny nosić krótsze od innych.

Uzasadnienie:

¹⁵⁸kollapse, częściej: kolaps (med.) — zapaść krążeniowa. [przypis edytorski]

¹⁵⁹ad infinitum (łac.) — w nieskończoność. [przypis edytorski]

1. Brzydkich nóg nie da się ukryć całkowicie. Wobec tego wada, którą mają brzydkie nogi, zostanie uzupełniona przez domysły, które przekraczają zazwyczaj wadę rzeczywistości.

2. Ze względu na całość nogi, zbyt gruba kostka może zostać skompensowana przez miłe kolana, przez jakąś ładną linię łydki... Poza tym, S. I. Witkiewicz nazywa to napięciem kierunkowym w malarstwie, można domyślić się ładnych ud. Kobiety o zbyt grubych nogach w kostce wyglądają na plaży całkiem dobrze.

Można by tu zrobić dygresję do psychologii całości. Nie suma poszczególnych części składa się na całość, lecz całość dominuje nad częściami i rozpada się na nie. A ponieważ twoja całość...

Pewnego razu ona powiedziała do niego:

— Twoje wargi wyglądają jak pół owoce, pół zwierzęta.

Pewnego razu ona mówiła do niego:

— Opowiem ci jak to było. Ciepło, nie za gorąco. On mnie nic nie obchodził, ten Otto. Po prostu nie miałam z kim pojechać kajakiem. Nie gniewasz się, że on cię przy tym zastąpił? Teraz jest wszystko w porządku. To nie jest ważne.

— A dlaczego się wykręcałaś od tego?

— Nie wiem sama. Po prostu to nie było ważne. Więc on się koło mnie położył i leżał. Zresztą, nie chciałam, może, może, żebyś ty się zajmował brudną robotą. Wstydziałam się. A jego nie. Po prostu on był jak przyrząd. I nic sobie wtedy z niego nie robiłam, ale byłam zadowolona. I on to zrobił bez prezerwatywy, zresztą mam już miesiączkę. Z początku nie mógł tam trafić, bo ja nic nie robiłam, aby mu ułatwić. Leżałam. I to wcale nie bolało. Pieczenie gorącej oliwy, ale nie bardzo. I krew. To wszystko.

Seks, Zdrada

Pewnego razu oni, a właściwie on, usuwał jej przed pójściem na plażę zbędne włosy na łydkach, mimo że to nie było potrzebne.

Pewnego razu powiedział do niej:

— Istnieje jeszcze rzecz, którą zataiłem przed tobą. Ta rzecz, ta osoba — nie jest z twojego świata (to była częściowo prawda).

Nazywała się Maryla. Kiedy moje mieszkanie stało się nie do zniesienia i mój Bechstein szczyrzył do mnie klawiaturę jak trup, telefonowałem do niej i ona mówiła „przyjdź”, z wyjątkiem jednego razu (to była prawda). Była spokojna, silna, i miała ładne, mocne nogi, blond włosy, niebieskie oczy.

Więc ja telefonowałem do niej, mogła być nawet trzecia nad ranem: — Teraz przyjdę do ciebie. Więc szedłem przez ciemne ulice, miałem głowę obolałą, miałem głowę pełną ciebie, myślałem, że zwariuję. Gdy tylko otwierała drzwi, wszystko opadało ze mnie. Cały niepokój. Po prostu robiło się we mnie cicho. Na stole leżał podręcznik fizyki — chodziła na uniwersytet — na stoliku nocnym tabliczka czekolady. Często byłem tak zmęczony, że w ubraniu zasypiałem. Rano, gdy budziłem się, nie było jej już. Na stoliku kakao w termosie i kartka: — Jestem tam i tam i o tej godzinie.

— Nie jestem zazdrosna o nią (to była prawda).

— Ona umarła na zapalenie płuc.

Pewnego razu ona powiedziała:

— Są słowa piosenki: „Jesienią miłość więdnie jak kwiat...”¹⁶⁰. To jest fałsz. Wiosną więdną stare miłości. (Była wiosna).

¹⁶⁰Jesienią miłość więdnie jak kwiat... — z tanga *Przytul, uścisnij, pocałuj* (1935), którego słowa napisał A. Włast, a muzykę skomponował W. Krupiński. [przypis edytorski]

Pewnego razu przyszła do niego i on leżał nie bardzo chory w łóżku, miał lekką grypę, pachniał bardzo sobą i potem, był nieogolony (ciemne smugi), miał tłustą skórę.

Wtedy Ewa pierwszy raz chciała czegoś wyraźnie od niego i wśliznęła się do łóżka, nie pytając o jego zgodę; zgwałciła go po prostu.

Pewnego razu on pisał (ona leżała na piasku i opalała się):

„Wodotryski tańczą w słońcu. Jestem zawieszony w świecie, jak meduza w wodzie. Poruszam się leniwie i sennie, życie oddycha we mnie, zamykając mi oczy”.

Pewnego razu powiedział do niej:

— Kocham cię również dlatego, że jesteś w dziedzinie erotycznej — kimś.

Pewnego razu oglądała spermę na swoim brzuchu. Oglądała ją dokładnie. Potem powiedziała:

— Pokaż mi go.

Usiłował nie wziąć tego na serio.

— Musisz mi go pokazać.

Czuł się strasznie głupio, gdy ona uklękła między jego nogami i patrzyła tak, jak się ogląda preparat anatomiczny. Potem uniosła i oglądała ją. Zamknął oczy ze wstydu.

— Komiczne — dodała — jak on się robi większy...

Pewnego razu ona telefonowała od niego do Stanisława, chirurga (Es).

Zazdrość

On leżał w pokoju obok, tak że nie słyszał, co mówiła, za to słyszał, jak mówiła. To był ten sam głos, który słyszał przez telefon, gdy go prosiła kiedyś o przesunięcie tego spotkania. Tego spotkania, po którym nie mogła już od niego odejść.

Ta rozmowa. Ona mówiła wesoło, załamując głos, kokieteryjnie mizdrząc się, z jej dziwną, prostą kokieterią, która nie była uciekaniem, poufalością, tak, zwykła poufalość, mogło tak wyglądać, głęboka poufalość (czy sięgająca do samej pochwy?), to by jeszcze nic nie było, ale tam jest coś więcej, wysilek straszny, aby to nazwać, nie potrzeba, już wiedział.

Gdy wróciła, zobaczyła go strasznie zmienionego, z kropelkami potu na górnej wardze.

— Co się stało?

On nie miał siły odpowiedzieć. Dopiero chwilę potem:

— Słyszałem ton twego głosu.

Wtedy ona spoważniała:

— Ach, tak.

Pewnego razu przyniósł jej pocztówkę z widokiem gór (ogromny szczyt z kokieterijną chmurką na czole). Pocztówka ta była z miejscowości, gdzie mieszkała Ela. Niewyrobiony, uczniowski charakter pisma:

„Ja ciągle czekam”.

Milczenie.

— O nikogo nie byłam zazdrosna, ale o nią jestem.

— To jest pocztówka z innej planety.

Pewnego razu powiedziała do niego:

— Jeszcze by tego brakowało, abyśmy się rozumieli.

Pewnego razu Ewa budzi Emila: Jest pół do ósmej rano. Mówi:
— Ala zgodziła się iść na plażę. Nareszcie będę wiedziała, jak jest zbudowana —
i odchodzi.

Emil nie zapytał, Ewa nie powiedziała mu nic o wyniku oględzin.
Nie mówili o tym więcej.

MÓJ LUD

Była wiosna i nie wiadomo, czy suknie dziewcząt były ciepłe od słońca, czy od ciała.

Była wiosna, „miłość wędnie jak kwiat”, i Ewa nie mogła opuścić Emila.

Dlaczego? Bo byli spętani wspólnymi sprawami, jak kłębem lian, i obrastały ich liany, i można było tylko tak: toporem, jak przez dżunglę. Wrogie czy przyjazne — to nie znaczyło wiele: zaplątywali się w nie coraz bardziej.

Mimo wszystkich znajomych, bardziej lub mniej ciekawych, ona byłaby wygnana (jak Ewa z rajy, z rajy, gdzie można było wszystko mówić i to nie na wiatr), czułaby się samotna, jak świerk na skraju skał.

Bo z samotnością jest jak z dziewictwem: jest się samotnym, samotnym i prawie nie odczuwa się tego. Gdy się zrozumie, choć na krótką chwilę, że można nie być samym — tama pękła. I Ewa nie mogłaby tak żyć, jak żyła przed poznaniem Emila.

I najważniejsze: byli z jednej rasy, z jednego plemienia, żyła w kazirodczym związku.

Po całej ziemi porozrzucany lud, który nie wie o sobie, lud głodny wiedzenia wszelkiej rzeczy, niespokojny i niepokojący, obłąkany i nawiedzający obłądem, lud, w którym tworzą się od dzieciństwa wyobrażenia mgliste, niekształtne, zamazane, wahające się i nic o nich nie można powiedzieć, i można o nich powiedzieć tylko, że są, z samych głębin dzieciństwa wydobyte, a na nich osadzają się zmienne kształty stopniowo, z biegiem życia, i towarzyszące przez całe życie, zakryte, tak jak w czasach dzieciństwa, z którymi umiera się, nie umiając ich nazwać — które czasem, pewnego dnia, mówią: „Dzień dobry”.

I stało się: to było to.

Nie po to, aby był mężem lub żoną (ona raz jeden pomyślała o tym z przerażeniem), nie, aby był przyjacielem, nie, aby był bratem lub siostrą, lecz aby był w pobliżu, żeby go można dotykać, poznać, słuchać i mówić do niego.

I to jest mój lud.

KRÓL OLCH

Ewa czekała kwadrans. To się zdarzało bardzo rzadko, i dlatego była niespokojna.

W końcu przyszedł z miną pokorną, zbyt pokorną.

— Dlaczego się spóźniłeś?

— Nie pocałuję cię, mimo że mi się chce okropnie, bo byś to uważała za podejrzanę.

— Dowaliłeś się do jakiejś dziewczyny?

— Tak.

— Tego nie można było zrobić kiedy indziej?

— Nie, ona jest rzadko sama na ulicy i trudno ją spotkać.

— Pewno ktoś z mojej szkoły.

— Tak.

— Ala z IV-A?

— Tak.

— Słuchaj, to jest głupia historia. Ona jest o trzy klasy niżej i nie jest na tyle inteligentna (on pokręcił głową) — powiedzmy... dorosła, aby to zrozumieć, jak należy. Będzie plotkować na całą szkołę. Ona wie, że my chodzimy razem.

— Nie bój się. Już ja jej to wybiję z głowy.

— No, dobrze, na kiedy umówiłeś się?

— Na środę, na czwartą po południu. Wtedy, kiedy ty ze Stanisławem.

— Ze Staszkiem.

— Ale należy go odróżnić od mojego brata.

— Jak chcesz. Mnie jest wszystko jedno.

Działo się to w okresie, gdy Emil zaczął wydobywać się ze swojej miłości jak z narkozy, jak półutopiony z wody, i nie można powiedzieć, żeby był bardzo przytomny. Nie znaczy to również, że kochał mniej Ewę.

Samotność

Ale jego stosunek do niej stracił objawy choroby nerwowej, neurozy przymusu i strachu. Czuł się jak chory, który po rocznym pobycie w łóżku, próbuje chodzić. Więc spróbował.

Była pewna czternastoipółletnia smarkula, która nazywała się Ala. Jej koleżanki opowiadały, że jest zarozumiała, że się puszcza, że jest anormalna, że udaje i zmyśla i tak dalej. To wystarczyło, aby się Emil nią zainteresował. Była w typie Ewy, ale przesadna w swojej rasowości, w nieludzkiej prawie linii nóg, elastyczności chodu, która byłaby na miejscu u klaczy, w gracji ruchów, które by były normalne u kotki, w typie twarzy, na który mogłyby sobie pozwolić (ostatecznie) królowa Berenike¹⁶¹, dwunastoletnia prostytutka z Maroka lub św. Magdalena.

Emil napisał do niej list, możliwie podstępny, składający się z dwóch zdań, który by ją skłonił do przyjścia pewnego dnia o czwartej po południu na róg dwóch ulic.

Gdy przyszedł (16.05), ona oglądała wystawę sklepu, w której było duże lustro, tak że mogła widzieć, co się dzieje za nią. Był jeszcze daleko od niej, gdy obróciła się na pięcie i podeszła do niego krokiem dziewczynki, która nie bardzo chętnie wita się z wujem. Powiedziała:

— Dzień dobry — bardzo grzecznie i w tym samym stylu.

Ubrana w trencz¹⁶², zwisający luźno, bez beretu, włosy nie bardzo uczesane, gołe nogi.

Szli w stronę małego parku, niebo było szare: przygaszona, płaska pogoda wczesnego lata, sprzyjająca rozprzestrzenianiu się zapachów wilgotnych i chłodnych.

Mówili o głupstwach, ale on pomyślał, że będzie z nią bardzo trudna historia. Siedziała doskonale na swoich pozach (jak jeździec na koniu), i żonglowała nimi z przerażającą nieco łatwością; wytracona z jednej, przeskakiwała natychmiast w drugą, która była tak samo nieprawdziwa lub prawdziwa, jak poprzednia. Była w tym jakaś elementarna trudność dotarcia do tego, co można by nazwać „nią”.

Emil czuł się trochę tak jak byk, co z rozpędem uderza w czerwoną chustkę toreadora, za którą jest tylko powietrze. Czuł, że rozmowa półsłówkami, którą prowadzili, rozmowa półtonami, była grą wysokiej klasy. I ciągle trafiał na próżnię tam, gdzie, jak mu się wydawało, przed chwilą było na pewno ciało.

Ona broniła się bardzo swobodnie, wystawiała, jak tarcze, swoje wszystkie pozy, które on przebijał z rozmachem. Wtedy ona mówiła: — To jest, mój drogi, tylko tarcza z papieru, ja jestem zupełnie gdzie indziej. Wydawało mu się, że dał się nabrać, że wygłupia się. Była w dalszym ciągu bardzo grzeczna, bardzo dziecinna.

Przeszli szybko na „ty”. Powiedział:

— Chodźmy do mnie.

— Chodźmy do ciebie. (Nie powiedziała mu jeszcze „nie”).

Powiesił jej płaszcz w przedpokoju. Ubrana była w prostą suknię dorastającej smarkuli.

Gdy tylko weszli do pokoju, usiadła na tapczanie. Zapalił małą lampkę. Podeszedł do niej, chciał na nią popatrzeć z bliska, ale ona wstała i zaczęła obwąchiwać pokój, jak pies, który przychodzi do nowego mieszkania. Ocierała się lekko o ściany (myślał: — zupełnie jak ja), potem poszła do łazienki. Słyszał, jak odkręca kurki, zakręca. Wróciła.

— Proszę cię, siedź spokojnie, ja muszę oglądnąć pokój.

— Jak długo to trwa u ciebie?

— Piętnaście minut.

Więc oglądała stopy papierów na stole, maszynę do pisania, przez pięć minut czytała Aretina¹⁶³ (*Jak Nana córkę swoją Pipę na kurtyzanę kształciła*), potem, z powodu Magnusa Hirschfelda, zapytała, co to jest erekcja, nie czekając na odpowiedź (bełkotał coś) zaczęła bardzo uważnie przeglądać książkę Eddingtona¹⁶⁴ (— co to są neutrony?), odłożyła książki na miejsce, przejechała wierzchem dłoni po klawiaturze fortepianu i wróciła na miejsce.

¹⁶¹Berenike (gr.), pol. *Berenika* (28–ok. 79) — najstarsza córka Heroda Agrypy I, króla Judei, królowa Chalkis i Cylicji, znana z burzliwego życia miłosnego; jej związek z rzymskim wodzem, a późniejszym cesarzem Tytusem stał się tematem wielu powieści, dramatów i oper. [przypis edytorski]

¹⁶²trencz — luźny, ściągnięty szerokim paskiem płaszcz z patkami, wzorowany na wojskowym płaszczu angielskim noszonym w czasie I wojny światowej. [przypis edytorski]

¹⁶³Aretino, Pietro (1492–1556) — włoski pisarz, publicysta i szantażysta, zw. biczem książąt; znany dialogów i rozważań włożonych w usta kurtyzan, odzwierciedlających renesansową swobodę erotyczną. [przypis edytorski]

¹⁶⁴Eddington, Arthur Stanley (1882–1944) — brytyjski astronom i fizyk, ceniony także jako autor książek popularnonaukowych. [przypis edytorski]

Leżał na tapczanie. Patrzył na nią, jak się patrzy na zwierzęta w ogrodzie zoologicznym, jak się ruszają, i wydawało mu się, tak jak w ogrodzie zoologicznym, że ruchy jej są dziwnie obce i pociągające, że nie są ruchami człowieka.

Mruknęła długo: — Hmmm...

Wtedy postanowił, że ją weźmie za ramię, pochyli lekko, tak żeby jej twarz znalazła się pod jego twarzą. To był rodzaj ruchów, które są równocześnie postanowieniami i każdy ruch zawiera w sobie nabój: wykonanie następnego; seria małych skoków i nigdy nie wiadomo, jaki będzie ostatni.

Czuł, że ona poddaje się bez oporu, że pochyła się w tył, tak jakby wszystko było umówione, i gdy zobaczył jej twarz pod swoją twarzą, powiedziała:

— Teraz muszę ci coś zadeklamować.

— Coo musisz?

Powtórzyła:

— Teraz muszę ci coś zadeklamować. Potem mnie pocałujesz.

Przypomniał sobie, że jej koleżanki opowiadały mu o jej pretensjach aktorskich. O to chodzi.

— Jeśli koniecznie chcesz...

— Koniecznie chcę.

Wzruszył ramionami. Opierała się na jego udach. (On leżał, ona, siedząc, pochyliła się w tył). Pomyślał, że to będzie nieznośnie patetyczne i sentymentalne. Dodała:

— Tylko jedną rzecz: *Króla olch*¹⁶⁵ Goethego po niemiecku.

Poezja

Rok temu słyszał w Wiedniu, jak to deklamował Werner Krauss¹⁶⁶; z tego trudno wydobyć coś nowego.

— Czy umiesz dobrze po niemiecku?

— Moja matka jest wiedenką.

— A więc dobrze.

To było powiedziane takim tonem, że powinno jej się było wielu rzeczy odechcieć. Ale ona była uparta. Podeszła do fortepianu. Ręce opuszczone równo wzdłuż tułowia, stopy lekko zwrócone do środka: uczennica na imprezie szkolnej w dniu święta narodowego. Teraz zaczęła się bardzo dziwna rzecz.

Doznał wrażenia, że wrasta w kanapę. Usłyszał pierwsze wiersze, tętniące, sprężyste, napinające się jak luki, jak grzbiet biegnącego konia. Nie było w tym ani trochę patosu, ani rutyny; była pewność lunatyka chodzącego po rynnicy, prostota dziecka, które *widzi* rzeczy niewidzialne, była zwyczajność i ciężar zdarzeń Starego Testamentu, która jest również wyrafinowaniem. Podczas tych kilku sekund szukał gorączkowo potknięcia się, rysy. Czekał, aż wiersz rozpadnie się i rozmaże, wtedy gdy woła dziecko, gdy odpowiada ojciec, gdy tak trudno jest utrzymać tętniący rytm. Krzyczało dziecko w gorączce i mówił ojciec, i ich słowa posiekane były brakiem oddechu, zdyszaniem, gorączkowym biegiem przez noc, rytmicznym uginaniem się grzbietu konia, zagłuszone wiatrem w nieustających, sprężystych podrzutach wiersza, w które wplątany był, ciągnący się i długi, jak biały welon, głos Króla.

I wydawało mu się, że to nie mówi ona: jak na seansach spirytystycznych z ust medium wydobywa się czasem obcy głos. Odczuwał to tym silniej, że deklamowała w języku, którym nie mówił z nią nigdy.

Przypomniała mu się z siłą i wyrazistością historia pana Peperkorna z *Czarodziejskiej Góry*, który uważał, że jest organem weselnym Pana Boga. I wydawało mu się nagle, że ona jest także organem pana boga, nieco innym wprawdzie, ale dziwnym organem.

Gdy powiedziała prosto i nieodwołalnie, i jakże niespodziewanie, że dziecko umarło, „*das Kind war tot*” — był zupełnie wyczerpany.

¹⁶⁵*Król olch* a. *Król elfów* — najsłynniejsza ballada Goethego, napisana w 1782, opisująca śmierć dziecka z rąk nadprzyrodzonej istoty, tytułowego króla. [przypis edytorski]

¹⁶⁶*Werner Krauss* (1884–1959) — niemiecki aktor teatralny i filmowy, jedna z gwiazd kina lat 20. XX w.; od lat 30. aktywnie popierał nazizm, został mianowany aktorem państwowym, grał w antysemickich filmach propagandowych. [przypis edytorski]

Siedziała koło niego na kanapie i mówiła głosem dziewczynki (ostatecznie miała czternaście i pół lat):

— Podobało ci się?

Po chwili dopiero odpowiedział:

— Przepraszam cię na chwilę — i wyszedł.

Poszedł do łazienki, gdzie przekonywał siebie przez chwilę, że jest głupi. Potem: — Ostatecznie nic się nie stało. Tam siedzi smarkula i... Mimo wszystko jest to rzecz dostatecznie nadzwyczajna, że gdyby ją opisać, to wyszedłby kicz. To było na pewno lepsze niż Werner Krauss, albo ja jestem wariat. W pokoju wtedy działo się coś. Za długo już siedzę.

Wrócił. Stracił całą ochotę na nią. Bał się jej, mimo że była naprawdę grzeczna.

— Wyjdziemy trochę.

— Wyjdziemy.

W przedpokoju zauważył, że pada deszcz.

— Mam tu kapelusz jednej mojej znajomej. (Był to kapelusz Ewy).

— Weźmiesz go?

— Wezmę.

Przez pięć minut nie mógł znaleźć w szafie kapelusza. Gdy go znalazł w końcu, włożyła go tak, jak gdyby od dwóch miesięcy był jej kapeluszem.

Na ulicy ulewa. Ona wsunęła mu rękę pod ramię ruchem łagodnym i zdecydowanym. Płynęli od latarni do latarni. Na pewnym rogu wiatr wyskoczył na nich, jak zły pies.

— Czyja fotografia stoi na fortepianie?

W tej chwili przypomniał sobie, że deklamując (i to *jak*), zerkala cały czas na fortepian.

— Właścicielki kapelusza, który nosisz.

— Kochasz ją?

— Tak.

Znów wiatr i deszcz prosto w twarz. Zaprowadził ją w okolice starego klasztoru, gdzie huczały w górze stare drzewa, jak pociąg przejeżdżający przez most. Olbrzymie, chwiałe się kraty, zielonkawe, odległe światło. Pozwoliła się łaskawie pocałować, patrząc na latarnię. Zrobił to na złość sobie, bez przyjemności, na złość jej; wiedział, że ona czuje i wie, jak dalece nie sprawia mu to przyjemności.

Z rękami w kieszeni, patrząc w górę, ona mówi:

— No, dosyć komedii.

— Wszystko dotychczas było seria komedii.

— Tak, ale komedii dość nudnych. W tym miejscu całuje mnie już ósmy chłopak.

Wracamy.

Więc wrócili. Szli obok siebie w milczeniu. To była z jej strony poza może, która się mogła stać decyzją na serio, albo decyzją na serio, która mogła przejść w pozę; to wszystko jedno zresztą. On wiedział o tym i myślał:

— Jednym jedynym słowem mogę zepsuć wszystko. Jeden ruch ręki i przegrałem. Wiem, że ona teraz pójdzie do domu, jeśli ja czegoś nie zrobię. I wtedy to, co jest teraz grą, stanie się nieodwołalnie naprawdę. To będzie pierwsza i ostatnia rzecz, która będzie „nią”. Czuł idealną pustkę w głowie, jak zwykle wtedy, gdy zdawał sobie sprawę, że musi coś wymyślić.

W pewnym momencie ona stanęła i zdjęła kapelusz z głowy.

— Masz tu ten *twój* kapelusz.

Deszcz spływał jej strugami po twarzy.

— Nie musisz mnie odprowadzać...

Wtedy on odpowiedział najlepszym i najswobodniejszym ze swoich głosów:

— Możesz go już włożyć z powrotem. To było dobrze zagrane. Początek, to znaczy scena koło krat, była słabsza.

Błyskawica przeszła przez jej twarz... Wymówiła wolno, głosem uczennicy:

— Naprawdę, było dobrze zagrane?

Całował ją z ulgą w mokre wargi, w mokrą szyję, gdzie parowała skóra, gdzie była cieplejsza i bardziej sobą.

— Pójdziemy do mnie.

Skinęła głową.

Płynęli znów od latarni do latarni. „Nie wymyśliłem tego, co powiedziałem przed chwilą. Wytrysnęło ze mnie samo, jak sperma. I to było jedyne zdanie, które należało powiedzieć; było niezamienne”.

W przedpokoju okazało się, że jest zupełnie przemoczona. Zdjęła szybko buty, potem suknię, którą wykręcili w łazience i rozwiesili na jakimś sznurze. Szczękała zębami, prychała wycierając się ręcznikiem, w jego pantoflach wyglądała jak kot w butach. Była nie bardzo ubrana, i poruszała się tak, jak gdyby była na plaży. Weszła do pokoju i prosto na tapczan. Okazało się, że jej kombinacja jest o wiele bardziej elegancka niż suknia.

— Wyjmij mi grzebień z kieszeni płaszcza. (Nie miała torebki).

Podał jej grzebień. Była stanowczo za ładna i za dobrze deklamowała. To nie były nogi żywej dziewczyny. To ciało było zbyt ładne, aby było prawdziwe. To był zły obraz, kicz. Nie była ani trochę ordynarna, ani trochę nieprzyzwoita. Nie było w niej nic z pornografii, nic z kokoty („Jaka szkoda...”). Była zupełnie nierzeczywista. Niesłychana i nieprawdopodobna. Siedziała półnaga na tapczanie i czesała się. Potem powiedziała:

— Chodź już.

Oglądał jej skórę z bliska, oglądał ją wargami, promieniowało od niej ciepło zwierzęcia, które śpi.

I wtem zauważył, że zachowuje się jak lalka, jakby to jej nie dotyczyło: pani u masażysty. Oczy utkwione w powalę, twarz azjatycka, bez wyrazu, nieludzka.

Powiedziała szeptem:

— Będę udawała trupa.

Wtedy urwało się coś w nim.

— Ala, proszę cię, ubierz się — i pogłaskał ją po włosach.

Pomagał jej zapiąć biustonosz. Dał jej suknię, która nie była jej suknią. (Tamtą zaparkował w gazetę). Miała taką minę, jakby jej pożyczył książkę. Wydawało mu się, że jest martwy. Odprowadził ją do drzwi.

Przy drzwiach powiedziała głosem smutnym i łobuzerskim:

— Szkoda, że jesteś ciełe.

I wyszła.

Wrócił do pokoju. Usiadł przy fortepianie i popatrzył na fotografię Ewy, którą kochał, i na leżący obok jej mokry kapelusz.

SAMO SIĘ MYŚLI

Ewa leży, ma trochę gorączki: 37,8.

„Trzeba spróbować samej pojechać na wakacje. Teraz w góry. Dotąd ciągle było morze. Szkoda, że nie umiem pływać. Całować się pod wodą.

Dlaczego oddałaś się temu grubasowi? Dlaczego u kobiet wyrażenie »oddałam«? Przecież mu nic nie dałam. Nic.

Pojechaliście kajakiem w górę rzeki. Trawa była wysoka jak zboże. Miękką. Słońce.

A z tym fotografem. Tamta historia. Robiłam z nim to. Nie z nim, a z każdym. Kto by był na jego miejscu. Bo było słońce i trawa.

Emil ma stosunkowo małego. Ale on umie pieścić. Trzeba zaciskać zęby, jak chucha na wnętrze ud. Przyjemnie. Przyjemnie jest go brać do ręki. Nie wiedziałam.

Witek: zamknij oczy, kiedy zamykał drzwi. Śmiesznie wygląda się nago ze stojącym.

Sam stosunek prawdziwy nie sprawia ci przyjemności. Przyjemność psychiczna.

Jak ten grubas był zdjęty nabożnym strachem. Że cię pozbawił dziewictwa niby. Ch! jak on się nazywał?

Ten fotograf jest garbus. A właśnie może dlatego? Dałaś się sfotografować nago. Nie wiem, co cię pchało. Zdjęcia wypadły ślicznie.

Jedno stoi na fortepianie Emila. Powiększone. Ucięte.

Ludzie chodzili podczas tego, gdy się rozbierałaś. Nie rozumiem. On się kręcił, ten garbus, dookoła mnie.

Emil mi kazał zaraz sobie dać kliszę. On mówi, że z tej można zrobić inną.

A jednak miałam tremę przed powiedzeniem Emilowi z tym grubasem. Otto. Otto się nazywał ten grubas.

Nie wiem, czy mogłabym się obyć bez niego. Co innego wiele innych rzeczy i on. Jednak potrafiłabys.

Emil mówi, że będą z tego sprzedawali fotografie pornograficzne. Emil obraził się potem i nie chciał przez cały tydzień. Ale ty uwiodłaś go dla satysfakcji. Najbardziej ordynarnymi i prymitywnymi.

Stoi na fortepianie. Ch! Gdy miałam trzynaście lat: »Lampka się pali u ciebie w kieszeni. Jest taka ciepła«. A to było to.

Trzeba będzie samej wyjechać na wakacje. Widziałam w kinie góry. Wycieczki. Z kim? Właśnie to jest przyjemne. Najpierw trzeba będzie powiedzieć mamie.

Mama niech nie udaje świętej. To komiczne, że mama miała siedemnaście lat. I myślała. Jak myślała?

Łechtaczka. Tak to się nazywa. Śmierć i lechtaczka. Ch! Ty szczękasz zębami. To jest nienormalne. Dałabyś się zgwałcić przez dziesięciu z nich, tylko o tym nie myśleć.

Żeby tu był Emil. Żeby wszedł przez okno. Ale on posyła tylko kwiaty. (Przewraca wazon).

Tchórz. Mógłby przyjść. Ja mogę do niego przychodzić. Stróżka obserwuje mnie już. Nie potrzebuję go.

Zresztą on tu nie może przyjść. Tak mu powiedziałam. No to co? NO TO CO?

Zapadanie się w czarną dziurę. Jak studnia. Zapadanie się miękkie. Jak przy lądowaniu samolotu. Czy śmierć jest miękka? Prawdopodobnie.

Jak umrę? Chciałabym na łące. Bardzo chciałabym. Emil mówi, że to wszystko jedno. Wcale nie.

Już przeszło. Jak Emil komicznie się zachowywał, gdy mu powiedziałam o łące. O grubasie.

Przedtem mówiłam: »Proszę cię, jeszcze nie, teraz nie«. Emilowi. Gdyby to zrobił, nie miałabym pretensji.

Potem zachowywał się całkiem zwyczajnie. Po grubasie. Nie całkiem. Dlatego go lubię.

Niemożliwie się zachowuje. Wykładał mi dziesięć razy dziennie, jak się ma zachowywać. On nic.

To komiczne, że wszedł do mnie. Nie spodziewałam się tego. Wszedł pomału, pomału. Śmieszne. Dziwne.

Emil jest jak dziecko. Wszystko bierze dosłownie. Jak nie, to nie. Jak tak, to tak. Wcale nie. Tylko wobec mnie.

Lubię go. Czy kocham? Może, gdyby się inaczej zachowywał. Ale on nie może, dlatego że ja go nie kocham.

Onanizowałam się na próbę. Niepokoi mnie, że wyobrażam sobie przy tym co innego. Koleżanki mi opowiadały. Chłopca, który pisia. Na przykład. Widziałam go, jak miałam sześć lat. Zrobiło na mnie wrażenie. Dlaczego? Chuj z nim.

Ktoś goni po przedpokojach. Uciekaj. Już nigdy. Nigdy. Tak przyjemnie. Wstrętnie i przyjemnie. Najbardziej pociągające.

Jak się w klo pali papierosa i równocześnie sra. Z tych wrażeń żadne nie robi specjalnej przyjemności. A jednak razem dają trzecie”.

— Ala, nie spodziewałam się ciebie.

Ala weszła do pokoju z bukietem kwiatów.

— To ode mnie. A od Emila pozdrowienia.

Jak zwykle — mówiła całym ciałem. Nie potrzebowała wyrazów. Robiły wrażenie zbytecznego dodatku.

Jak zwykle — mówiła całym ciałem. Nie potrzebowała wyrazów. Robiły wrażenie zbytecznego dodatku.

— Co robisz, mała? Co robią twoje włosy, nogi...?

Zakręciła się tak, że jej plisowana spódniczka podniosła się do ud.

— Wyrzucono mnie znów ze szkoły.

— Za co?

— Nie wiem za co.

— Mają tak dużo powodów, by cię wyrzucić?

— Tak.

Siadła.

— Co zrobisz?

— Nic.

Miała komiczne wargi, górną wysuniętą nad dolną. Opuściła włosy gwałtownie, tak że zakryły jej twarz. Siedziała na stołku w pozycji prawie akrobatycznej, nogami nie dotykając ziemi, jedna ręka oparta o krzesło, druga wyrzucona w tył. Równocześnie nic sztucznego.

— Kazali twojej mamie przyjść?

— Moja mama nie pójdzie.

— Mówmy o czymś innym. Czy przysłał cię tu Emil?

— Tak.

— Z tobą jest bardzo trudno mówić. Twierdzą, że ze mną też. Ale nie ma porównania. Proszę cię, zrób sarenkę.

Ala zrobiła sarenkę. Zrobiła na dwóch nogach, to wcale nie przeszkadzało, i już ja, Leo, nie potrafię tutaj nic dodać, poza tym: niesłychana delikatność, kruchość, świeżość ruchów: sarenka, chodząca na dwóch nogach, ze zgiętymi przednimi łapkami, obracająca głowę za powiewem wiatru, nerwowa strasznie, za najmniejszym szelestem drgająca całym ciałem.

— Ty musisz się Emilowi podobać.

— Podobam się. Ale on cię kocha.

Po chwili:

— No, pa.

— Hallo! Próbowalaś grać Kleopatrze Shawa¹⁶⁷?

— Próbowalam.

I „pa” z daleka.

„Nie ma. Nie ma. Czy mogłabym odstąpić Emila? Tak. Nie. Raczej tak.

Czy on Alę? Sobie nie zdaję sprawy, że ona w tym samym pokoju, co ja. »Nie masz pojęcia, jak się ona komicznie kula po tapczanie«. Albo udajesz, albo cię to nie obchodzi. Chyba udajesz, moja kochana. Moje łabędziątko. Moja myszko kanadyjska.

Emil i ty. Dwoje Narcyzów między sobą. Ale ty mniej niż Emil. Za to ty — kurwy, odjazd, mężczyźni. Odjazd gdziekolwiek.

Zmiana. I śmierć. Ja wiem, że to ze śmiercią jest anormalne.

Ale proszę cię, Boże, jeśli istniejesz, jakkolwiek tam istniejesz, uroczycie, nawet bardzo, przestań z tą ironią skierowaną do siebie, proszę cię, nie pozwól mi przestać czuć intensywnie, choćby to miało boleć nie wiem jak. Nie pozwól mi — tak jak innym ludziom po dwudziestce — stępieć, zrosądnieć, opanować się, skostnieć, czy jak się to tam nazywa.

Nie pozwól mi. Nie daj mi nigdy spokoju, bo spokój — to śmierć. Nie daj.

Nie daj mi znormalnieć, bo to jest śmierć. Nie daj...”

Tak opadała coraz wolniej z rozmowy ze sobą do wyobrażeń, i potem niżej — do krajobrazów, i potem jeszcze niżej.

Stoi mały ołtarzyk. Przy nim jest klęcznik. W ołtarzyku, wśród polnych kwiatów, wisi fotografia Ewy. Ta sama, co u Emila na fortepianie. Na klęczniku Ewa, z oczami, zwróconymi na Ewę, tę na fotografii, i mówi: — Nie daj, nie daj. W tej chwili śmieje się i w tej chwili wzbija się rakietą. Przyplęnęło skądś miasto, które jest lunaparkiem. Czarodzieje wskrzeszają umarłych, którzy odjeżdżają, leżąc, jeden obok drugiego, na ruchomej taśmie. U jednego zobaczyła erekcję. Stanisław. Cholera, dlaczego on? U Stanisława zobaczyła erekcję i wtedy druga rakietą wzbija się w górę.

Miasto rozprysnęło się. Różne odcienie barwy fioletowej, zapadające się, na ich tle wędrująca ukośna, różowopertłowa barwa, niebo białe, jednolicie pochmurne, zapadanie się.

Opadając, dzieli się, jak komórka się dzieli; dzieląc się, odłącza się od siebie, powiela się, jak przez dwa lustra, zaludnia się przestrzeń (?) rozpadłymi, z których każda jest taka sama w momencie podziału, a inna w chwilę potem. Każda szepce, krzyczy, mówi co innego, i mieszają się ich głosy, jak gwar tłumu (...jeziora w górach, o... kurwa twoja w dupę... on jest przyjemny... zaraz, $2x + 4y$... bądź rozsądna...). Faluje, podnosi się,

¹⁶⁷Shaw, *George Bernard* (1856–1950) — irlandzki dramaturg i krytyk, laureat literackiej Nagrody Nobla (1925); napisał m.in. dramat *Cezar i Kleopatra* (1898) oraz popularną komedię *Pigmalion* (1912). [przypis edytorski]

opada, podnosi się i opada, pieni się, gotuje, przyplywa i odpływa, przyplywa i odpływa, znów spokój. Czuje wieloma duszami, każda co innego, każda inaczej. Potem wszystkie opadają na wspólne dno (oprócz tych, które zawieruszyły się w górnych rejonach albo chciały tam zostać), spokój, spokój.

Wtedy gra na flecie:

Jest olbrzymi kot o niebieskich oczach, który wędruje wśród miasta z czaszek. Jest fala samotna. Na pomnik sławnego człowieka, na jego głowę kakają niebieskie gołębie. Są dzwony w wiejskim kościele. Zmierzch, gwiazdy, opływające krwią, gwiazdy, kapiące jak krople wody. Jest Faun przerażony, którego wciągają na salę dancingową. Są góry niebieskie, nad którymi kołyszą się ibisy¹⁶⁸. Jeziora w górach, o czarnych wodach, jak oczy. Czyje?

WE TROJE

Filip widział czasem wchodzącą albo wychodzącą Ewę i lubił ją.

Często stał z dziecinną miną i podglądał przez dziurkę od klucza, która wychodziła na przedpokój, jak Emil podawał jej płaszcz. Był krótkowzroczny i widział tylko jej ruchy, i to wystarczało. Słyszał jej słowa i, być może, w zamazanym kształcie, który mógł sobie urabiać, jak chciał, domyślał się niesłychanego uroku. Z tego powodu może zaprosił uroczyście Ewę i Emila na kolację.

Na płaszczyznę kolacji zjechał w trzy kwadransie przed kolacją. (!) poszedł do jadalni, aby upewnić się, czy będzie miał krzesło z niepołamanymi sprężynami. Poza tym mógł jeść śledzia, ile chciał, i cieszył się z tego. Precz z kasą ogniotrwałą!

U Joanny już dużo przedtem zasięgnął informacji o jej kuzynce. (Joanna była dyskretna, jak powinien być lekarz). Włożył czarne ubranie, w którym chodził na posiedzenia Akademii, i namyślał się, czy nie włożyć sztywnego kołnierzyka, ale nie zrobił tego. Przygotował swoje niebieskie, świdrujące oczy.

Nie jedli przy dużym stole, lecz przy stoliku w trójkę. Emil i Ewa czekali już na Filipa. Ten chodził po swoim pokoju tam i z powrotem, już ubrany kompletnie, ale miał tremę; bał się wejść.

Ten człowiek — posiadający wszystkie rodzaje odwagi, od seksualnej do czysto wojskowej, stary wyga w rozmowach z kobietami, któremu pewnego razu wyskoczyło ramię ze stawu (miał to od dzieciństwa) przy robieniu zastrzyku dożylnego pacjentowi i robił go dalej, aż nie skończył (potem zemdlął) — odczuwał niepokój. (Odczuwał również niezrozumiały strach przed szczekaniem psa, choćby on był w mieszkaniu, a pies na ulicy, ale to nie było to. Dlatego nie kupiono Emilowi psa, gdy był mały).

Potem trema opadła tak, jak opada zasłona, i Filip — z pięciominutowym opóźnieniem — wszedł do jadalni.

Najpierw zamierzał krótko prześwidrować Ewę, a potem zmienił zamiar. Zobaczył twarz Joanny (kuzynki były do siebie podobne), ale zmienioną niesłychanie. Joanna, gdyby umierała w szesnastym roku życia, w godzinie śmierci mogłaby tak wyglądać. Niesłychanie delikatna twarz, rysy jakby się miały zaraz rozpląnąć, jakby cudem trzymały się razem, twarz, składająca się z samych sprzeczności.

Przedstawił się i patrzył na nią długo, i żałował, że nie jest w wieku Emila. Potem, milcząc, podeszli do stolika, potem Filip rozbłysnął na nieco staroświecki sposób, ale całkiem interesująco.

O godzinie 11 odprowadzał Emil Ewę do domu.

— Twój ojciec mi się podoba — powiedziała.

— Co znaczy „podoba”? — spytał nieostrożnie.

W niej siedział zawsze jakiś diabeł:

— To znaczy, że mogłabym z nim. Nie wiesz, że młodym dziewczętom podobają się starsi, siwi panowie?

On był niepoprawny. Czym bardziej mówił na serio i denerwował się, tym ona mówiła też bardziej na serio i myślała na serio o rzeczach, o których by nigdy przedtem poważnie nie pomyślała.

— Mimo że Filip jest moim ojcem?

¹⁶⁸ibis — ptak brodzący o długim, wygiętym dziobie, czczony w starożytnym Egipcie. [przypis edytorski]

— Mimo że Filip jest twoim ojcem.

Słowo „Filip” w jej ustach. Tak, jakby on miał na to monopol.

— To weź go sobie. On cię bardzo lubi.

I to wszystko z jego strony na serio.

— Jak śmiesz... Jak śmiesz tak mówić.

On w tej chwili zrozumiał (nagle), że ona z niego żartowała, przynajmniej z początku, i tłukł się po głowie, i beczał, i przepraszał, i pełzał po ziemi (psychicznie), i rozdzierał szaty (psychicznie).

Ona nie odzywała się do niego już, a on był, jak zwykle:

1) nadwrażliwy na jej punkcie;

2) gdy już się znalazł w tego rodzaju sytuacji, to brnął coraz dalej;

3) *coitus interruptus*.

Więc im więcej mówił, tym ona się bardziej zacięła, jak zabawka mechaniczna, jak człowiek, który jest sparaliżowany, tak że naprawdę nie mogła się więcej przeprosić. I mężczyli się nawzajem tego wieczora jeszcze trzy godziny.

I w końcu ona, jak zwykle, nie wiedziała, o co poszło, i jak zwykle, miała jeszcze zrobić matematykę, i jak zwykle prosiła go, aby on ją już puścił.

— Ja wiem, że mnie strasznie wymęczyłeś jakąś historią i że powinnam się na ciebie gniewać, ale nie mam siły. Może jutro będę miała.

JOANNA IV

Pokój Joanny był nieduży, lecz bardzo przyjemny; naprawdę.

Kwadratowy prawie tapczan, najrozmaitsze stopnie światła sztucznego i dziennego, dużo luster, w niszy — pianino. Naprawdę bardzo przyjemny.

Gdy Emil wszedł, ona czytała Lothara¹⁶⁹ *Romanca F-dur*.

— To jest inteligentnie napisana książka — zauważył, a Joanna zaczerwieniła się, bo właśnie pod wpływem tej książki zaczęła pisać pamiętnik.

On przyjrzał się jej dokładnie: to była twarz Ewy, tylko utrwalona jakby, ustalona, z dokładnie wyrzeźbionymi rysami i nieco, nieco brzydsza, a raczej zbyt jednoznaczna, a to „nieco” — to była przepaść.

— Przyszedłem do ciebie w sprawie Ewy.

— A kiedy przychodzisz w innej sprawie?

— Chciałabyś, żebym przychodził w innej?

W odpowiedzi wzruszenie ramion.

— Czy mogłabyś mi wymienić wszystkich członków rodziny Ewy, którzy byli... powiedzmy, szczególni. Nie chciałbym używać innego wyrażenia. I opowiedzieć, pod jakim względem tacy byli. Interesują mnie zwłaszcza dziadkowie i rodzice.

— O dziadkach wiem mało. Krąży po rodzinie pogłoska, że jak dziadek miał się ożenić, to do swojej narzeczonej, która mieszkała w innym mieście, napisał: „Nie mogę wyjść za ciebie za mąż, bo pod podłogą Akademii Umiejętności leży gównno”.

— I co było z nim dalej?

— No, ożenił się. Bzik minął. Zresztą nie wiem.

„Sklonności interseksualne plus schizofrenia”.

— Az czyjej strony był to dziadek: matki czy ojca?

— Matki. Brat dziadka ze strony ojca popełnił, zdaje się, samobójstwo.

— Jak?

— Wiesz, teraz sobie przypomniałam. Zdjął dzwonek z budzika, takiego dużego, kuchennego budzika i uwiązał u części, która się odkręca przy dzwonienu, sznurek. Drugi jego koniec przymocował do kurka gazowego. Obstawił budzik tomami *Encyklopedii Brockhousa*, nastawił na dzwonienu, wziął trzy tabletki weronalu i położył się spać. A budzik już sam otworzył kurek od gazu.

„Ale to musiał być typ...”

— Dalsi.

¹⁶⁹ Lothar, Ernst, właśc. Ernst Lothar Müller (1890–1974) — austriacki pisarz i reżyser teatralny, w latach 1938–45 na emigracji, zakazany w III Rzeszy; autor m.in. powieści *Romanca F-dur* (1935), mającej formę pamiętnika młodej, uzdolnionej muzycznie dziewczyny, której pasja staje się źródłem konfliktu z ojcem. [przypis edytorski]

— Z obecnie żyjących to wiem coś jeszcze o ciotce Ewy, Mirze (naprawdę to ona nazywa się chyba Franciszka). Jest tancerką. Objechała pół świata, ale to jej nie wystarcza. Ona nie jeździ dla tańczenia, ona jeździ dla zmiany miejsca.

— A jak ci się zdaje, dlaczego mi Ewa o tym nie powiedziała?

— Po prostu zapomniała. Tak sądzę.

— Więcej nic sobie nie przypominasz?

— Nic.

Emil położył się na tapczanie.

— A teraz ja chciałam spytać o coś: co robi Janek?

— Nie przychodzi do ciebie więcej?

— Nie.

— Wiesz, że ja nie wiem, co on robi. Widziałem go z jakąś rudą dziewczyną na koncercie Hofmanna¹⁷⁰. Potem wyglądaliśmy się razem. Ta ruda dziewczyna — bardzo blada i ładna — szła o sto metrów przed nami i udawała prostytutkę. Starszy pan w futrze i meloniku krążył dookoła niej, a myśmy tak chodzili, że poszyliśmy tego starszego pana, gdy ją chciał zaczepić. Stary był zrozpaczony.

— Tę rudą widziałam. Ale czy ty myślisz, że nie ma nic między Ewą i Jankiem?

— Nie... nie myślałem o tym.

Nagle ucieszył się. „Zresztą Ewa wszystko mi mówi”. Zacerwienił się. „Czym bardziej przykre, tym dokładniej”.

— Ja też nie wiem. Tylko pytałam. Bo Janek jest świnia.

— Wiem o tym. Uroczą świnia.

„A Ewa by to zrobiła z przyjemnością. To wszystko by było dla mnie wyjątkowo przykre. Nie wiem właściwie, dlaczego tego nie zrobili”.

Emil oparł się o poduszki. Na tapczanie można było leżeć we wszystkich kierunkach: kręcić się dookoła własnej osi w pozycji poziomej. Poprosił ją o papier, na którym napisał: „Poszukać w »Acta psychologica« Szondi¹⁷¹: *Analysis of Marriage* 38 r. (?)”.

— Czy to prawda, że jesteś taka dyskretna?

— Tak mówią.

— Jak tak mówią, to opinia zobowiązuje. Więc dobrze. I był już teraz spokojny.

ZEMSTA

*Błogosławiony ten, który przyzwolił
na wszystko złe...*

*Signor Santo Barochiah*¹⁷²

Emil czytał Ksenofonta¹⁷³ *Wspomnienia o Sokratesie*:

„...Oczywistym więc jest, że gdybyś naukę swoją uważał za mającą wartość, to wymagałbyś za nią wynagrodzenia... nie mniejszego od jej wartości. Sprawiedliwym zatem może jesteś, ponieważ nie oszukujesz gwoli chciwości, ale bynajmniej nie mądrym, gdyż posiadasz znajomość rzeczy, nie mających żadnych wartości”.

W tym miejscu odłożył książkę na tapczan (zawsze czytał, leżąc) i zanotował:

„SOKRATES: — Co porabiają u ciebie moje myśli, Platonie?

PLATON: — Są owinięte w dzieła, które piszę.

SOKRATES: — Czy aby nie spleśniały?

¹⁷⁰Hofmann, Józef (1876–1957) — polski pianista, kompozytor, pedagog, a także wynalazca; w 1914 z powodu wojny opuścił Europę i osiedlił się w USA; w 1934–1935 odbył tournée po Europie, koncertując również w Polsce; jeden z najsłynniejszych wirtuozów swojej epoki. [przypis edytorski]

¹⁷¹Szondi, Léopold (1893–1986) — węgierski lekarz psychiatra i psychoanalityk, autor testu projekcyjnego (test Szondiego); w czerwcu 1944 uwięziony w obozie koncentracyjnym Bergen-Belsen, pod koniec 1944 uwolniony. [przypis edytorski]

¹⁷²Barochiah, właśc. Berechia (1725–1740) — przywódca żydowskiej grupy sabbatajczyków, wnuk Sabbataja Cwi, czczony przez nich jako kolejne wcielenie duszy mesjasza wcielonej wcześniej w Dawida, Eliasza, Jezusa, Mahometa i Sabbataja Cwi. [przypis edytorski]

¹⁷³Ksenofont z Aten (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa. [przypis edytorski]

PLATON (patrząc w ziemię): — Nie potrafię tego stwierdzić. Nie wszystko bowiem mówisz przy mnie i nie zawsze nadążam z moimi tabliczkami. (zmieszany) Dlaczego sam nie piszesz swoich myśli?

SOKRATES: — Ooo, rozmowa poważna... Powiedziałem już: bo nie umiem pisać.

PLATON: — Tego nie mówisz na serio, Sokratesie. (Po chwili). Zapewne nie zaliczasz się do nieśmiertelnych?

SOKRATES: — Skąd taka myśl? Pewnie, że nie.

PLATON (kurcząc się): — Po twoim zgonie, oby nastąpił jak najpóźniej, będę w twoje usta wkładał słowa, których nie powiedziałeś nigdy.

SOKRATES: — Do stu kurtyzan, które nieczysto pachną! (Targa sobie brodę, żuje ją, targa znów). Niech cię Hades pochłonie! O, dobra, dobra Ksantypo¹⁷⁴. (Pomału uspokaja się; potem ze słodką ironią). Powiedz mi, Platonie, wytłumacz, z jakich powodów spisujesz słowa, które powiedziałem? Czy po to, aby rozmowy nasze, gdy przechadzamy się wszyscy o zmierzchu czy w nocy pośród drzew, gdy głowa kręci się i pali, a rozmowa szumi jak najlepsze wino, i nurza się w winie, uczynić rzeczą odstręczającą? Czy też po to, aby gawędy nasze, prowadzone w takt leniwych i rytmicznych kroków, swobodnie jak piana, która się tworzy i znika na sennej wodzie, uczynić rzemiosłem ciężkim i trudnym?

PLATON milczy, SOKRATES, z zamkniętymi oczami kiwa głową na kształt waha-
dła.

SOKRATES: — Powiedz mi lepiej, Platonie, o czym plotkują na mieście, chociaż ty tak się nadajesz do tego jak... jak... Nie chcę cię obrażać, Platonie”.

Wtem weszła Ewa i usiadła na tapczanie. Nie przywitała się.

Chciał ją wziąć za rękę, ale ją cofnęła. Miała twarz niezwykle nieruchomą.

— Czy coś się stało?

— Chcę, abys przyszedł do mnie.

— Zostanę zjedzony przez twojego papę i ty też.

Uważał to raczej za życzenie, niż za propozycję.

— Mój ojciec będzie w sklepie.

— A mama?

— Mama jest u wariatów.

— Kucharka?

— Ma dziś wychodne.

— Liza?

— Wyślę ją do koleżanki.

— Więc ty to myślisz naprawdę? Mieszkańcy twojego domu mają przecież ogromne uszy i oczy.

— Nie pójdziemy zwykłą drogą. Do naszego domu jest też wejście od tyłu, od podwórka. Są drewniane schody prowadzące na... na rodzaj ganku. Tam wychodzą okna mojego pokoju.

— Więc będziemy wlaźć przez okno?

— Tak.

— To jest nieco głupawe.

Przestraszył się tego, co powiedział; przestraszył się i spocił. To ją musiało urazić, i trzeba będzie przynajmniej przez trzy dni tarzać się w prochu i tak dalej. Widział już tę męczącą perspektywę, ale jej punkt wrażliwości przesunął się niespodziewanie.

— Chcę, abys przyszedł do mnie. Nie boisz się chyba, jeśli ja się nie boję?

Teraz ta cała historia wydała mu się dziwna i podejrzana. Poza tym odezwała się w nim ta strona, która była ciekawością i niesłychaną czułością równocześnie, chęcią zobaczenia i dotknięcia jej jeszcze jednej strony. Wyobrażał sobie, że pokój pachnie nią ostro, jak klatki dzikich zwierząt w ogrodzie zoologicznym. (To było to samo, co noszenie jej zapomnianych majtek i pończoch w kieszeni, które — wiedział o tym — znalazła w jego płaszczu matka i włożyła jak gdyby nigdy nic z powrotem).

A chciał dotknąć wszystkiego, co było choć trochę nią, ustami, chciał dotknąć samego dna, i było mu trudno przełknąć ślinę.

¹⁷⁴Ksantypa — żona Sokratesa; tradycja przypisała jej nieczony charakter. [przypis edytorski]

Poruszył głową. Uśmiechnął się i pogłaskał ją po włosach. Od myśli, że ona może czuć to samo, drgały mu ręce. Był wzruszony, ukląkł i pocałował ją w kolano małej dziewczynki.

Ale zobaczył, że jest sucha i surowa. Patrzyła na niego, ale poprzez niego.

— Więc nie chodzi tylko o to — pomyślał — gdybym jej nie kochał, wiedziałbym, o co chodzi.

Był wieczór i prowadziła go przez ulice, które lubił, przez podwórza, przez ganki półśredniowieczne, wsparte na drewnianych słupach. Nie było w niej dziś strachu człowieka, którego się ściga, natomiast on był przesadnie ostrożny i zwracał jej uwagę:

— Ten typ gapi się na ciebie.

Nie odpowiadała.

Różni ludzie z okien nad ziemią i z okien pod ziemią patrzyli na nich. Śmietniki, dużo kotów, przemknął szczur. W końcu drewniane, wytarte schody, zapach klozetów, obskurny ganek.

— Przez to okno?

— Tak.

O mało nie upadł i był zły. Ona skakała jak młoda koza. Światło nocnej lampki, łóżko niebieskie, ściany popielate, szafa niebieska, dużo maskotek (same koty, tylko jedna małpa).

— Mówiłaś, że masz okropny pokój. On jest miły.

— Ale to mnie dużo kosztowało. Dwa lata awantur.

Podeszła do szafy.

— Odwróć się.

Gdy gapił się na ścianę i usiłował odnaleźć zapach pokoju jak pies:

— Nie powiedziałeś mi jeszcze: „Montherlant twierdzi, że każda młoda dziewczyna chce w końcu pokazać swojemu... (tu zawahała się i połknęła wyraz) swoich rodziców”. Zdaje się, że o pokoju nie mówi. To było wystarczającym powodem, aby mój pomysł nazwać głupim. Ty nie chciałyś, abym ja była jak każda młoda dziewczyna. A jednak ja jestem jak wiele dziewcząt.

Skurczył się cały, gdy ona połknęła ten wyraz, na podobieństwo ślimaka, który się chowa do skorupy, wydzielając śluz. Śluzem były słowa:

— Zgadzam się z tobą. (Nie zgadzał się).

I potem:

— Nie należy się wstydzić komunałów, jeśli są prawdziwe, ani uczuć, które były tyle razy źle i dobrze opisywane, że wydają się śmieszne — jeśli są szczerze, ani postępowania, które jest nieznośnie typowe — gdy jest słuszne.

Wypowiadając słowo „szczerze”, uczyniłem już koncesję na rzecz komunału. Mania indywidualności i oryginalności XX wieku — kompensacja kompleksu strachu przed myśleniem na własną odpowiedzialność. To jest tak samo bezsensowne, jak mania podporządkowywania się i anonimowości średniowiecza — kompensacja kompleksu strachu przed odpowiedzialnością zbiorową.

Słyszał, jak się rozbiera. Rozróżniał szelest jej sukni, bielizny, i nowy, nieznan, podobny do zgrzytu, odgłos, jaki daje ciężki jedwab, ocierany o ciało.

Mówił dalej, bo bał się milczenia.

— Gdy miałem piętnaście lat, uważałem za hańbę całowanie się z dziewczyną na schodach, bo tak robią gówniarze i kuchty. Gdy miałem szesnaście, uważałem za szczyt całowanie się na schodach, bo właśnie tak robią gówniarze i kuchty. Teraz...

— Nie znoszę, gdy się przeżywa coś po to tylko, by potem móc wypowiedzieć jakąś teorię czy aforyzm. Twój monolog Sokratesa. Dla siebie jestem jedyna i niepowtarzalna. Jeszcze jeden powód, dla którego jestem zwykłą dziewczyną. Możesz się obrócić.

Ubrana w długi szlafrok. Kołnierz, zapięty pod szyję. Surowość kroju, która była równocześnie perwersją. Szerokie rękawy, z których dłonie wystawały jak pręciki z korony kwiatu. Wiedział, że pod szlafrokiem jest naga, nie było to zresztą trudne.

To podziało na niego paraliżująco. Było coś niesłychanie sztucznego i programowego w ich dialogu i w tej całej wizycie. Usiadła koło niego na łóżku.

— W naszym domu pewien staruszek popełnił samobójstwo. Strzelił sobie z dubeltówki w usta. Widziałam jego mózg na ścianie. Chcę, żebyś wiedział: tu męczyłam się

i ściany są pokryte kawałkami mojego mózgu, moim strachem. Gdy jestem chora, leżę w tym łóżku, gdy mam wysoką temperaturę i majacząc, z tego kąta wychodzą postacie, szafa rozrasta się, puchnie ciągle, ciągle...; gdy mam miesiączkę, leżę tu rozkrzyżowana i przybita... ten pokój jest pełen mnie, przepelniony, już czas, żebym stąd poszła.

Mówiła to wszystko spokojnie i matowo. Była błada. Myślała: — To jest kąt, do którego ona zanosí swoje kości. Podeszła do okna. Rozpinała powoli, prawie pedantycznie szlafrok. Powiedziała ochrypłym głosem, tak jakby się dusiła:

— Chcę tutaj właśnie, w mieszkaniu mojego ojca i matki — rozumiesz? — też, kochać się z tobą.

Jakby błyskawica zapaliła się w nim i zgasła. Usiadła koło niego i przechyliła go.

Zarażała go pomału rozpaczliwą, ponurą chęcią wyduszenia rozkoszy: mieszanina zaciętości, gniewu, namiętności i wyrachowania. Odczuł, że nie jest już dla niej sobą, że jest rzeczą, służącą do spełnienia ofiary zemsty, obrządku zhańbienia. Był podwójnie przez nią wciągnięty w tej chwili, podwójnie wessany, pochłonięty i strawiony.

I wydawało mu się po raz pierwszy, że umiera. Potem fala zakryła go całkiem.

To, co działo się, nie było aktem seksualnym, ale obrzędem: prastarym, półmałpim, sprośnym i świętym.

Przez szparę w okiennicach patrzyła na nich i szczękała zębami jej młodsza siostra Liza. (Ewa nie dała zgasić światła).

Po przyjeździe do domu napisał:

„Zdaje się, zdania kreteńskie:

Wiedzieć to umrzeć. Otwiera swe usta Ea¹⁷⁵ — Ojciec; bogom powiada: Boga trzeba zarzezać — i z boskim ciałem i krwią — zamiesić glinę Mami¹⁷⁶.

(W Egipcie)... bogini miłości Izyda-Hator¹⁷⁷ karmi piersią króla młodzieńca”.

Patrzył przez długi czas na nie istniejące rzeczy. Potem oddzielił starannie, to co napisał, od tego, co miał napisać, i:

Kobiety.

Kobietom puchną jajniki, pęcznieją pochwy; obłąkane, na stosach sukien, siedzą i płaczą, albo patrzą pustymi oczyma przez okna.

Męczą je księżyce.

Epoka.

Dziwna epoka, schizofreniczna, epoka impotencji i neurozy przymusu, logistyki i fizyki, która w swojej dokładności gubi materię, a poprzez wzory matematyczne przelewa się rzeczywistość.

Jesteśmy rozpięci na przeciwieństwach jak na krzyżu, jak gdyby krzyż był symbolem kultury Zachodu.

EWA I KSIĘZYCE

Gwiazdy nad tobą

i gwiazdy pod tobą

I dwa obaczysz księżyce¹⁷⁸

A. Mickiewicz

¹⁷⁵Ea (mit.) — babiloński bóg wód słodkich, mądrości i rzemiosł, jeden z bogów stwórcy. [przypis edytorski]

¹⁷⁶Mami a. Nintu (mit.) — babilońska bogini-stwórcielka, według wskazówek boga Ea ulepiła pierwszego człowieka z gliny i krwi jednego z bogów. [przypis edytorski]

¹⁷⁷Izyda (mit.) — egipska bogini płodności, opiekunka rodzin, przedstawiana jako siedząca matka karmiąca piersią swego syna, Horusa; często utożsamiana z boginią nieba i miłości Hathor, którą wcześniej uważano za matkę Horusa. [przypis edytorski]

¹⁷⁸*Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą...* — z ballady *Świtez* A. Mickiewicza. [przypis edytorski]

Mniej więcej piąta po południu. Sama w mieszkaniu, w biustonoszu i w majtkach. Czesła się. Bardzo lubiła się czesać.

Twarzą w twarz z sobą: lustro. Śmieszne.

Kształty i barwy przepływały poprzez nią, i głowa jej podobna była do ekranu. Perspektywy, cienie, światła — płynące.

„Emil nie chce odejść, wciąż tu jest, ale tylko z boku, obecny, granatowy, smutny w moim sercu. Es jest silny, bardzo duży, na samym środku, mama... zaraz, zaraz, już... jej nie ma, Es, pomarańczowy, duży kwiat, oooo, spada w przepaść, dlaczego? mama czarna... i całkiem czerwona, wygląda jak duża dziura, znów całkiem czarna, czy nie umarła?”

Bardzo lubiła się czesać. Czesła się dla przyjemności. To były wolne ruchy rąk przy głowie, samo pieszczenie się, uczucie zasypiającej kotki.

Wolno, wolno rozpruło ją to, potem weszło cicho na palcach i zamieszkało w niej. Tak została nawiedzona.

To to był brak dążenia, stan, który jest gotowy w sobie, zaokrąglony jak kula, niepotrzebujący nikogo i niczego: coś z mrugnięcia wieczności: stan, który jest.

Eros¹⁷⁹ tworzący świat, nieskończona czułość dla ludzi, zwierząt, kamieni, marmurowa Galatea¹⁸⁰, Atum-Re¹⁸¹, mieszkający w byku czy koźle, Zeus w łabędzie¹⁸², przyjemność wachania i oglądania gwiazd, umierania, wydobywania się na wierzch, jak z dna studni, i pogrążania się, rozkosz przytomnej ekstazy; nic nie jest potrzebą, wszystko jest spełnieniem.

Grzebień tkwił we włosach. Twarzą w twarz ze sobą. Zamknęła i otworzyła oczy. Prąd obrazów, przechodzący przez nią i porywający jak pociąg w marzeniach dzieciństwa. Uśmiechnęła się i odtąd tak zostanie: uśmiech Buddy¹⁸³. (Chrystus nie śmiał się nigdy).

Bała się ruszyć, jakby to się mogło w niej stłuc. Ostrożnie przechyliła głowę, i wtedy w jej wnętrzu rozlało się ciepło, które nie było tylko ciepłem i poczuła je w końcach palców... Była nim przepelniona, rozlewało się poza nią, było dobre i szalone.

Grzebień wypadł jej z włosów, i nie podniosła go.

Około wpół do szóstej i koniec nienaturalnie pięknego lata: księżycy, słońca, księżycy, słońca. Gdy wyszła z domu, znalazła wystawę, aby obejrzeć swoją twarz. Była zdziwiona, nie znajdując w niej żadnych zmian. Wtem przeraziła się: „Nie włożyłam sukni... Jaką włożyłam? Nie wiem, w jaki sposób, ale na szczęście”...

Szła w stronę śródmieścia, pomалу, uśmiechając się, oczy półprzymknięte. Przeszła na drugą stronę jezdni, samochody krzyczały za nią, wyslizgiwała się im w ostatniej chwili, gestem matadora; tańczyła pomiędzy samochodami.

Z daleka jeszcze zobaczyła niebieskie oczy, które potem znikły za jedną szarą panią i pokazały się znowu już bliżej, i blond włosy, i jasną sukienkę: delikatna mała, dawno niewidziana Basia. Niebieskie oczy robiły się coraz większe, w miarę zbliżania się, nienaturalnie duże, pokrywały się mgłą, mały nos węszył. Poczula idący od Ewy zapach, podobny do zapachu szczęścia, nieokreśloną i niedającą się określić aurę, zapach gorzki i zwycięski.

Cofnęła się i stężała. Nie odezwała się do niej i gdy Ewa minęła ją, patrzyła za nią długo, starając się nie stracić jej z oczu w tłumie. I kiedy Ewa już była bardzo daleko, kiedy wylaniała się, unoszona przez falę, i zapadała się, i wreszcie znikła; niebieskie oczy wciąż jeszcze szły za dziewczyną, która miała być Ewą.

Ewa tymczasem weszła do parku, i tu wessała ją wielka cisza, wyolbrzymiona przez daleki hałas miasta, skrzyp wózków nianiek, bełkot dzieci. Wystawiła twarz do zachodzącego słońca.

Bachory przebierały różowymi nogami jak świerszcze, życie wchodziło powoli na tęczę, potem zanurzało się w źrenice, potem znowu wypływało; tętniło wolno. Starsze

¹⁷⁹Eros (mit. gr.) — bóg miłości; w kosmogoniach występuje jako pierwotna moc kosmiczna istniejąca od początku świata, rówieśnik Gai-Ziemi, niezbędny do zrodzenia się innych bogów. [przypis edytorski]

¹⁸⁰Galatea (mit. gr.) — tu: kobieta wyrzeźbiona przez Pigmaliona, króla Cypru i rzeźbiarza, który zakochał się we własnym dziele; bogini Afrodyta na usilne prośby Pigmaliona ożywiła posąg. [przypis edytorski]

¹⁸¹Atum-Re (mit.) — egipski bóg słońca, stwórcy świata. [przypis edytorski]

¹⁸²Zeus w łabędzie — grecki król bogów Zeus przemienił się w łabędzia, żeby uwieść żonę króla Sparty, Lede. Ze związku Ledy z Zeusem narodziła się piękna Helena, Klitajmestra oraz Kastor i Polluks. [przypis edytorski]

¹⁸³Budda Siakjamuni, właśc. Siddhattha Gotama (ok. 563–483 p.n.e.) — książę z rodu Śakjów, mędrzec, założyciel buddyzmu. [przypis edytorski]

mówiły:

— O, ten rak święty, ten robak, chodź tu, kochanie, patyk ci dam.

Mogłoby się wydawać, że rozmawiają między sobą, ale one tylko mówiły do samych siebie.

Rozmawiała z nimi o wodzie, o łabędziach, które pływały obok, o czarach.

W alei, gdzie nie było nikogo, uciekła i zobaczyła ziemię z bliska, zupełnie z bliska. Poprzez góry piasku wędrował, jak wielbłąd, mały żuk, niosąc na grzbiecie wielki błysk słońca, miniaturowa trawa, podobna do oazy, zmięty papier, który wyglądał jak szara skała, dymiący jeszcze niedopałek papierosa — mały wulkan.

Usłyszała opadanie na wodę kropel wodotrysku, szum pobliskiego mrowiska, ciche skrzypienie liści, ocierających się o siebie, przy zupełnej nieruchomości powietrza, i jeszcze jeden szmer: to wiewiórka na wysokim świerku wachlowała się ogonem.

I tak, jakby wszystko było przezroczyste, poprzez wiele warstw szyb i luster, zobaczyła małego żuka i niebo, zobaczyła w ziarnkach piasku morze, na wodzie pływająca twarz matki, fale, zalewające brzeg, na dnie muszle; i wszystko było widać poprzez wszystko: ucieczki w domu, lekcje matematyki, rozkosz, góry. Basia, łąka w górze rzeki, balon sylwestrowy, chodzący za nimi jak pies, zapach ziemi po deszczu, kołyszące się zboże, które śpiewa, i rzeczy nie widziane dawno, i rzeczy nie widziane nigdy... I poczuła strumień życia płynący przez nią, jak powietrze przez organy, poczuła, że dźwięczy jak rezonująca struna.

Podniosła głowę. Zieloność świeża i jasna, gdzieniegdzie już dojrzała i ciemna, granatowa w miejscach cieni; a na wierzchołkach drzew pienila się jeszcze zieloność.

Oplątany był drzewami kościół koloru złotawego piasku, oparty na jońskich i lekkich kolumnach, o łukach barokowych i kapryśnych, pomiędzy które wkradało się wesole i jedwabne niebo.

Na głowach świętych, którzy stali w łagodnie rzeźbionych wnękach, siedziały niebieskie gołębie. Wiatr zeskoczył z drzewa, zaszumiały gołębie, i zobaczyła je, gdy przybierały barwę dalekich gór. Znak na powstanie.

Łabędzie, białe plamy, szły spać. Spokojnie błyszcząca woda. Wieczór. Komary tańczyły i świergotały jak pisklęta. Zapach unosił się z ziemi. Odszukała ławkę, gdzie przstraszyły ją strażniczki ciemności, i przeszła koło niej. Kasztany stały wyprostowane, nad słuchujące. Kredowy błysk nad wodą. Jaskółki, latające szerokimi łukami. Bzyk nad uchem. Wyszła z parku.

Dziewczyna w jej wieku poprawia pończochę. Dwoje dziesięciolatków, obejmując się, idzie przez ulicę. Przebiegło stado dziewczynek, zatrzymało się: szepty, wierzgania kopytami, przestępują z nogi na nogę niecierpliwie. Park odchodzi w coraz głębszą ciemność. Już kapią gwiazdy.

Szła ulicami, które były oświetlone i jasne, aż weszła w kręte i brudne, gdzie wciąż jeszcze ten sam policjant wchodził do bramy, gdy ktoś wołał „Ratunku!”

Starucha o kiju uniosła głowę i mówiła, bełkotała coś do Ewy i wyrazy ginęły w bezębnej jamie, czarnej otchłani,

staruszkowie-żebracy kładli się do snu na dużej skrzyni, jak jaskółki, jak kochankowie, bo marzli bardzo, bo marzli, jak marzył Dawid na starość¹⁸⁴,

czarny pies, czarny duży pies, pies duży jak cielę, chodził za nią i z czułości lizał jej łydki,

bachory bawiące się w pyle jak wróble, bachory pełzające po ziemi jak glisty, patrzyły na nią albo pisały za nią szerokimi strumieniami rekordzistów.

I ona nie wiedziała o tym.

Znalazła się w ślepej uliczce, weszła do bramy i napisała ołówkiem: „Tu była Ewa”, i szła przez podwórza, bramy, podwórza, bramy — instynktem miejsc nieznanych.

I przed bramami domów siedziały kobiety, siedziały kobiety okrakiem na krzesłach, siedziały kobiety bez majtek, i siedziały znużone praniem,

prostytutki i półprostytutki wołały i pluły za nią z okien jednopiętrowych domków albo przyklejały się do niej nieruchomymi oczami,

z szynków wychodzili mężczyźni weseli i pijani, podchodzili do niej i cofali się.

¹⁸⁴jak marzył Dawid na starość — kiedy biblijny król Dawid na starość marzył mimo okrywania go kocami, wyszukano młodą dziewczynę, aby rozgrzewała go w łóżu swoim ciałem (1 Krl 1, 1–4). [przypis edytorski]

I ona nie wiedziała o tym.

Słyszała ochryply głos: „Dziewczynko”, słyszała go podwójnie, dzieciństwem i teraz, dalekimi ośmiu latami i teraz, podeszła do niego, ile, milczenie, ile, milczenie, wziął ją na kolana, wziął ją na siedząco,

nie widzę twojej twarzy, nie trzeba, dlaczego jesteś taka dziwna, niczego nie trzeba, już pójdę, zostań, masz mokre ręce i nie ruszaj mnie.

Wstała, próbował ją zatrzymać, ale czarny pies, czarny, duży jak cielę pies, pokazał zęby i warknął.

„Jak obwód koła, który się domyka” — powiedział Filip o obwodzie koła, które się zamknęło, życie, które jest wypełnione po brzegi, przepelnione, życie, które donikąd nie dąży, które spełniło ostatnie pragnienie dzieciństwa, aby się zamknąć.

Weszła pod arkady mostu, pod wielki cień, i słyszała małe fale morza, które dotarły aż tutaj, jak pukały w brzeg i o coś się dopominały. Położyła się na trawie, twarzą do ziemi, i oddychała głęboko, jak ziemia i morze przed burzą.

Poszła powoli wzdłuż przystani, jak ślepa, po omacku, instynktem miejsc nieznanymi, znalazła jedną łódkę, która nie była przywiązana.

Z daleka zawył holownik, a ona, leżąc pod wielkim niebem, dawała się unosić prądowi, pomału, bo rzeka przy ujściu zmęczona jest przebyciem dalekiej drogi,

wyrzeźbione między ziemią a niebem, przesuwają się cienie kutrów rybackich i widma żaglówek,

skały nadbrzeżne schodziły do morza i kąpały się,

strażnicy trąbili, trąbili na nią mało gorliwie,

bo morze, rozedrżane lekko, jak pokryta łuskami skóra jaszczurki, było spokojne, morze ciemnogranatowe, po którym ciągnęły się i błyszcząły, jak białe szosy w nocy, pasma zupełnego spokoju.

Patrzyła nic- i wszystko widzącymi oczami na molo portowe i oświetlone okręty i chciała, by wyły i odjeżdżały, patrzyła na niebo, wstępujące po drabinie Jakubowej¹⁸⁵, na księżyc nierzeczywisty i gwiazdy fioletowokryształowe, czerwone, lila, i jeszcze raz poczuła, jak płynie przez nią prąd życia, podobny do wiatru między nadmorskimi krzakami, jak ją łamie, rozdziera, aż przestaje pomału istnieć, aż nic z niej nie pozostaje, tylko strzęp, unoszony i targany przez wiatr.

W górze i w dole słychać było szelest gwiazd.

Księżyc — czarodziejski kamień, z którego powodu wyją psy, wrzeszczą koty, nawiedzeni luną wychodzą z pokojów, miesięczka płynie, Murzyni tańczą, a na ludzi schodzi cisza lub dziwny niepokój — pływał po wodzie.

Czyjaś matka zasłaniała okno w dzieciennym pokoju, była dziewczyna, która suszyła sobie włosy, nieznani chorzy umierali po szpitalach, lampa naftowa, którą staruszek zapomniiał zgasić, syczała i kopciła, i był pies, czarny i duży jak cielę, pozostawiony samotnie na brzegu.

Niesłyszana tęsknota za księżycem, pragnienie, by go mieć... a już dawno wiedziała, że jest wszechmogąca.

Przechyliła się, wzięła go w ręce, i woda rozstała się łagodnie pod ciężarem jej ciała i zamknęła się ponad nią.

Jezus Nazareński chodził po falach. I ona powinna móc leżeć na powierzchni wód.

Kilka baniek powietrza z płuc. Mięśnie wyczerpały się szybko. Trzy razy wypływała, nim zaczęła tonąć. Opadała powoli. Przechodziły przez nią jeszcze gwałtowne drgania: głowę odrzuciła do tyłu, przeżyła się, kurczyła i wyprostowywała nogi. W końcu wszystko ustało.

Ryby o smutnych twarzach przepływały koło niej. Mijała, opadając, meduzy, które wyglądały jak kwiaty o mięsistych płatkach. Zdenerwowane ruchem, świeciły fioletowo i zielono.

Świecąca kropla oczu, zawieszony w wodzie przezroczysty *Cestus veneris*¹⁸⁶, potem rybki-laternie, latające mięczaki koloru ciemnego złota, kręgousty ryby, kałamarnica

¹⁸⁵*drabina Jakubowa* — ze snu biblijnego patriarchy Jakuba, o drabinie łączącej niebo z ziemią, po której chodzili aniołowie (Rdz 28). [przypis edytorski]

¹⁸⁶*Cestus veneris* (łac.: przepaska Wenery) — duży bezkręgowiec morski o przezroczystym, fluorującym, wstęgowatym ciele. [przypis edytorski]

o białych światłach...

Wśród wodorostów, już na samym dnie, siedziała z podwiniętymi nogami jak Budda, i ciążyły jej złote powieki.

A pod niebem był wielki wiatr i porywał gwiazdy jak liście.

EMIL I NOC TA SAMA

Emil nudził się tego wieczoru.

Chodził wzdłuż ścian pięciu pokoi jak kot, ocierał się ramieniem i ustami o szafy i półki.

Czytał w odcinku *Mariannę*, czwartą część Montherlanta, potem zapalał zapalki, jedną za drugą, wpatrywał się w płomień, wachał eter.

Potem poszedł do pokoju ojca, i patrzył przez mikroskop, przez który ujrzał przed pięciu laty plemniki; własne. Nie miał absolutnie chęci wyjść tego wieczoru, chociaż był księżyc i noc, ciepła jak wata. Chociaż się nudził.

Potem telefonował na wszystkie strony świata i nikogo nie zastał.

Podszedł do okna. Dwie dziewczyny przechadzały się przed jego domem, czekając na kogoś albo nie. „One fałują zadkami w sposób może interesujący, ale ja ziewam”. I nie ziewnął, jak na złość.

Potem jak oparzony pobiegł do swojego pokoju i zapisał: „Nakłuta na rozkosz, jak motyl na szpilkę”. Ziewnął w końcu.

Wieczór robił się beznadziejny. Potem znów do okna. Szelest, szelest kroków. Nie miał porywu, aby wyjść z domu, aby iść dokądkolwiek. Świadomie gnął, rozkładał się tego wieczoru. Na złość sobie. Czym bardziej wchodził w nastrój, tym głębiej brnął dalej. Jak zwykle.

Wiatr puszysty okręca się dookoła szyi, jak szal. „Wiem, że wielu ludzi umiera w tej chwili, czuję to dokładnie, i to nie pomaga. Gdybym był kobietą, to puszczałbym się bardzo i męczyłbym takich mężczyzn, jak ja. Księżyc »rudy«, jak »trup«, »jak czółno« jest taki nudny i »wszelkie wiatry« też. Mam to w dupie”.

Podszedł do fortepianu i próbował grać à la Józef Hofmann pierwszy temat z koncertu e-moll: szybko, niesłychanie lekko, z wdziękiem i niesentymentalnie. Nie udało się. Odskokczył od fortepianu. Wydał z siebie dźwięk złego kota: ffff.

Krążył dłuższy czas pomiędzy fortepianem a oknem, jak sęp nad pustynią; nad pustynią, i nie mógł znaleźć żeru.

Poszedł do królikarni ojca, wziął jednego małego za uszy, patrzył w jego czerwone oczy, rzucił go, potem oglądał myszy, ale żadna mu się nie spodobała. Oglądał etykiety na flaszkach, pomyślał, że za pomocą tych środków może ze sobą wszystko zrobić (eukodal¹⁸⁷, meskalina¹⁸⁸, johimbina¹⁸⁹...), i ta myśl nie dała mu zadowolenia. Nie miał porywu do niczego i doszedł do błędnego wniosku, że jest skazany na tę noc. Więc położył się w piżamie (cały czas był w piżamie) i patrzył na sufit, przez który nie widać było gwiazd.

Po pół godzinie podniósł się i szwendał się znów wzdłuż ścian pięciu pokoi, aż doszedł do kuchni.

— Józia tu jest? Przecież Józia ma dziś wychodne.

Józia to była dwudziestoletnia pokojówka, z którą go łączyły prowadzone od czasu do czasu przyjemne rozmówki.

— Tak, ja jestem tu.

W kuchni paliło się małe światło i kuchnia była pełna czerwonych błysków (moździerzy) i pełna niebieskich błysków (aluminium), i tam stały ułożone białe dyski, drżące w oczekiwaniu (drgała świeca), i tam w kącie magiczne puszki o dziwnym kształcie z magicznymi napisami, które były na pewno w sanskrycie¹⁹⁰. Imbryk sapał cicho, jak mała

¹⁸⁷*eukodal (oksykodon)* — syntetyczny lek narkotyczny stosowany jako środek przeciwbólowy, mający właściwości podobne do morfiny. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*meskalina* — silnie psychoaktywny związek chem. o właściwościach halucynogennych, występujący naturalnie w niektórych kaktusach; dawniej używana w formie ekstraktu z pejotlu, otrzymywana syntetycznie od 1919. [przypis edytorski]

¹⁸⁹*johimbina* — alkaloid uzyskiwany z kory drzewa johimby lekarskiej, występującego w zach. Afryce; wykorzystywana jako afrodyzjak. [przypis edytorski]

¹⁹⁰*sanskryt* — język indoaryjski z rodziny indoeuropejskiej, używany w staroż. Indiach, później jako język liturgiczny i literacki pełnił funkcję podobną do łaciny w Europie; zapisywany zwykle sylabicznym pismem

lokomotywa.

Jego zahamowana fantazja ruszyła naprzód, jak koń rusza z kopyta. Zobaczył, że Józia jest ubrana do wyjścia, ale siedzi na stolku i płacze.

— Czy wychodzisz gdzieś jeszcze?

To przejście z „Józia” i „pan” na „ty” odbywało się zawsze, gdy wiedzieli, że będą dłużej rozmawiać.

Więc Józia płakała, a Emil zapytał:

— Chłopak?

W tej chwili wśród błysków i grzmotów, jak w chwili śmierci, przemknęła cała historia z Ewą i uspokoiło się wszystko.

Ona pokiwała głową w nieokreślonym i jednoznacznym kierunku. On usiadł, oglądał się z niepokojem wokół i cała kuchnia pełna była błyskawic: światełek, gasnących i zapalających się, i ona wśród nich była jak czarownica.

— Dlaczego nie zapalisz lampy, tylko siedzisz przy świecy?

— Bo tak było na wsi. A ja teraz chcę, żeby tak jak dawniej.

„Ochronne cofanie się. Ona chce, żeby było tak jak dawniej, bo jej jest źle”.

Poczuł dla niej sympatię i pogłaskał ją po głowie.

— Nie martw się, nie martw się.

— A żebyś ty wiedział, co to jest, tobyś nie mówił „nie martw się”.

— Co to jest, na miłość boską?

— Dziecko jest.

— Gdzie?

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Ona popatrzyła na niego z wyrzutem, a on pomyślał sobie, jaki jest idiota.

— Ach, tak.

— Ja ci się chcę coś zapytać. Czy to jest prawda, taki sposób próbowania, czy dziecko jest, czy nie? Wpuszcza się kobiecie mysz... no tam, jak mysz zdechnie, to jest, jak nie, to nie. Czy to prawda?

„W tej postaci dotarła do niej próba Ascheima-Zondeka¹⁹¹” — pomyślał, a jednocześnie miał wrażenie, że cofa się daleko.

— To nie jest prawda. Ale nie martw się. Wypisasz się do flaszki i ja zaniosę to mojemu tacie, że to niby moja znajoma.

Już raz to robił. Sam zastrzykiwał mocz myszkom i jego ojciec tylko stwierdzał wyniki.

— Tak?

— Tak.

Ona była w dalszym ciągu zamyślona.

— A jak on mi zrobił dziecko?

— To będzie ci trzeba skrobać.

— Co to jest?

— To jest taka mała, mała operacja.

Blaski w kuchni wprawiały go w niepokój. Coraz wyraźniej błyszczał rondel, tak że jej głowa była otoczona aureolą, jak głowa świętej.

— A czy trzeba leżeć potem?

— Jak będę na mieście, to wyślę telegram, że twoja mama jest chora, i tak to ty poleżysz ze dwa dni.

— Nie chcę.

— Dlaczego?

— Bo... nie. Bo takich żartów się nie robi.

Pauza.

— Bo ja widzę co nocy twoją mamę.

— Głupia.

— Niech będzie głupia.

— Śni ci się.

dewanagari. [przypis edytorski]

¹⁹¹Ascheima-Zondeka test — pierwszy stosunkowo wiarygodny test ciążowy, wynaleziony w 1929 w Niemczech przez B. Ascheima i A. Zondeka, którzy odkryli, że wstrzyknięcie moczu kobiet ciężarnych niedojrzałym płciowym myszom powoduje przyspieszone dojrzewanie ich narządów płciowych. [przypis edytorski]

— Nie, widzę.
— Głupia.
— Bałam ci się mówić, ale teraz to jest wszystko jedno.
— Jak widzisz?
— Przychodzi taki biały duch i się nachyla nade mną. I czuję ja chłód, i wiem na pewno już, że to jest twoja mama. Przekłada rondle, tak jak to ona zawsze robiła, wyjmując spodki, wkłada je z powrotem i zawsze zapomni choć jednego spodka włożyć.
Aureola przesunęła się.
— Jak wstaję rano, to pokazuję zawsze Meduzie.
— A nie boisz się?
— Gdzie tam.
On przelknął ślinę i zaczął się bać trochę, bać pytania, które zada.
— No, to powiedz mi, jak myślisz, dlaczego do mnie mama nie przychodzi?
Ona zbladła, wyraźnie, nawet w świetle świecy. On nie patrzył na nią, tylko skrobał szczyrykiem kuchenny stół. Odpowiedziała bardzo wolno, jękając się:
— Widzisz, ty... ty jesteś chłopak wykształcony i ty nie wierzysz w takie babskie rzeczy... (słuchał z napięciem i nadzieją) to może twoja mama nie chciała cię straszyć... albo myślała, myślała, że ty... (tutaj dusiła się), że ty nie potrafisz żyć z tą wiadomością... że się dzieją takie rzeczy. (Ostatnią część zdania wypowiedziała jednym tchem).
Nadzieję diabli wzięli, napięcie rosło. Położyła swoją rękę na jego ręce.
— Słuchaj, słuchaj, ja byłam głupia, że ci to powiedziałam. Ty jesteś nerwowy. Twoje myśli niepotrzebnie się będą koło tego plątać. Ja wiem, jak to jest. Mój wuj zwariował z tego. Ja bardzo lubiłam twoją mamę. Nikt, nawet tata nie wiedział, jak szła na operację. O tym trzeba albo zapomnieć, albo...
Woda w imbryku zaśmiała się i z sykiem wyskoczyła na blachę. Aureola spadła z hukiem na ziemię.
Pisane w Teheranie, Bejrucie i Tel Awiwie, skończone w grudniu 1948 r.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0. PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lipski-niespokojni>

Tekst opracowany na podstawie: Leo Lipski, *Niespokojni*, Oficyna Druków Niskonakładowych, Olsztyn 1998

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Paulina Patoka, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Seniju@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5460-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).